

Rozdział I

Wiktor Lambert trącił mnie lekko w ramię.

— Spójrz tylko — powiedział ciepłym, rozradowanym głosem. — Kirsti wygląda jak dziewczynka w pierwszym dniu wakacji.

Odwrociłem się i zamiast na Kirsti, spojrzałem wprost w roześmiane oczy Wiktora. Zwykle jasnoniebieskie, teraz w oprawie kre-dowobiałej twarzy, świeciły jak szafiry. Oswoiliśmy się z tą naszą jedyną w swoim rodzaju bladością, jaką kosmos naznacza ludzi, którzy zbyt długo obcowali z jego ślełą pustką, zaczęliśmy ją dostrzegać dopiero tutaj, po zetknięciu z miejscową załogą, tak często uciekającą stąd na słoneczne, ziemskie weekendy.

— Przecież naprawdę zaczyna wakacje... jak ty i ja — zrewanżowałem mu się uśmiechem.

— Dwa tygodnie... — pokiwał głową i wzruszył ramionami. — Dwa tygodnie! Piętnaście dni... po sześciomiesięcznej mordędzie w przytulnej, przeklętej, plamentowej klatce. Niby cała wieczność, ale ani się obejrzymy, a już znowu wylądujemy w tej pięknej sali. Chociaż — przybrał wyraz zabawnej powagi — może zafundują nam pożegnalny rejs bez przesiadki na Lunie? Kurs bezpośredni:

Alpy — orbita Marsa — Wega i od razu hop! — poza horyzont zdarzeń! — zaśmiał się.

— Alpy? — powtórzyłem z mimowolnym zdziwieniem. Wiedziałem, że pochodzi z Europy, jednak ilekroć wspominał o swoim domu, zawsze wymieniał Instytut Inżynierii Klimatycznej nad Morzem Północnym, gdzie jego rodzice opiekowali się kompleksem sanatoriów geobionicznych i terenami upraw na obu brzegach Cieśniny Duńskiej.

— Alpy — przytaknął. — Widzisz, wisząc pod jakąś paskudną przewieszką, popatrzę za siebie w dół i będę ryczał z radości na myśl, że mogę w każdej chwili wrócić, ułożyć się wygodnie w leżaku i spoglądać spod przymkniętych leniwie powiek na jeziora, drzewa, na górskie wioski zamieszkałe przez normalnych ludzi." To będzie wspaniałe! A ty?

W ciągu kilku minionych dni parokrotnie już musiałem odpowiadać na to pytanie. Przecież ostatnio w naszym gronie mówiło się niemal wyłącznie o tych czekających nas dwóch tygodniach na Ziemi.

— Zamówiłem bungalow nad Pacyfikiem — rzuciłem lekko. — Błękit, trochę białych obłoków, rozpalony piasek i biegnące spod widnokregu długie fale, pod którymi można nurkować bez zmęczenia całymi godzinami. Słowem *dolce far niente*, nie skażone nawet, jak w twoim wypadku, przekornym i miłym trudem wspinaczki. Przepraszam cię, muszę to odnieść — nie przestając się uśmiechać wskazałem oczami talerz, który trzymałem w lewej ręce, po czym niezwłocznie ruszyłem w stronę srebrzystego bufetu, biegnącego łukiem od bocznej ściany do obłożonego kamieniami ogródka; gdzie wśród rachitycznych palm kwitły wielkie orchidee. Wrzuciłem talerz do promiennika i nie zatrzymując się poszedłem do eskalatora.

Dopiero sunąc już miękko w górę, poszukałem wzrokiem Kirsti. Stała pośrodku sali, otoczona grupką „galaktydów”, jak nazwał nas Dawid Lumb, koordynator Stacji Alberta, w wygłoszonym przed kwadransiem toaście powitalnym. Wiktor trafił w sedno. Tak właśnie powinna wyglądać licealistka po ostatniej lekcji, a przed wyjazdem na obóz w andyjskim rezerwacie, gdzie blask bijący od białych szczytów i wiatr znad wysokogórskich jezior w ciągu dwóch dni zetrą z jej twarzy ślady godzin, spędzonych w domu, w czterech ścianach uczniowskiego pokoju.

Kirsti Langell... Jasne, krótko ścięte włosy, brązowe oczy z drobnymi złotymi cętkami wokół źrenic, smukła, nieco chłopięca sylwetka. Uroda ujmująca raczej, niż niezwykła. Jeszcze na Ziemi, pięć lat temu pytano mnie o nią, bo ludzie byli ciekawi, jak wyglądają kobiety, które wyruszą na taką wyprawę, ale już wtedy zrozumiałem, że gdybym zaczął opisywać jej czoło, brwi, nos, usta, jej pojedyncze gesty, zawsze nieco zaskakujące, to postawiłbym się w sytuacji głupca, pragnącego oddać piękno symfonii poprzez geometryczną analizę poszczególnych nut, zapisanych w partyturze. Nikomu chyba nie przyszłoby na myśl nazwać Kirsti piękną. O jej urodzie i wdzięku trzeba by mówić najprostszymi słowami, jeśli się umiało nadać tym słowom ich pierwotną świeżość i odkrywczą, dziecięcą siłę.

Płynąc wciąż wyżej, stopniowo ogarniałem wzrokiem całą salę recepcyjną Stacji Alberta.

Była niemal pusta. Trzydziestu ludzi w pomieszczeniu przeznaczonym dla trzystu. Trzech członków tutejszej załogi oraz dwudziestosiedmioosobowa gromadka „galaktydów”, po półrocznym stażu w próżni, wypełnionym na zmianę czujną pracą w komorach stymulatorów, ciasnych kabinach datorów i ciaśniejszych jeszcze sterowniach sond, udająca się na wymarzony ziemski urlop. Po nim czekało nas zaledwie dwadzieścia dni, znowu w panczernej muszli „Araratu”, na orbicie Marsa. Trzy tygodnie. Przelotna chwilka w porównaniu z pięcioletnimi przygotowaniem na wyspach Antarktyki, no i z ostatnim półroczem; końcowy szlif, bo już nawet nie trening, bezpośrednio poprzedzający moment STARTU.

I wreszcie pionierska podróż, obliczona na trzydzieści lat. Podróż, której zazdrościł nam każdy Ziemianin, a o której my wiedzieliśmy już, że niezależnie od szans powodzenia, ponoć niemałych, oraz szans powrotu, także — przynajmniej głośno — przez nikogo nie kwestionowanych, będzie nieustającym pasmem morderczej pracy i udręki, przeplatanych, przy odrobinie szczęścia, wielkimi, choć może sekundowymi olśnieniami.

Zaraz znajdę się na wyższym piętrze i przestanę ich widzieć. Lukas Page powiedział właśnie coś, co Kirsti powitała wybuchem śmiechu. Prześliznąłem się wzrokiem po twarzach pozostałych. Bengt Salmia, Nik Reilly, Oleg Dikin, Wiktor, Lukas, Arnolf Bieler... Mężczyźni, otaczający obie nasze kobiety, Kirsti i Jane Fowler, sprawiali takie wrażenie, jakby nagle przypomnieli sobie, że różnica płci może łączyć nie tylko poprzez wspólną fascynację cywilizacjami Galaktyki i jakby to odkrycie w jednej chwili odmłodziło ich o wszystkie ostatnie, wspólnie spędzone lata.

Wyglądali na uszczęśliwionych i to mnie cieszyło. Lubiłem ich. Nigdy też, jeśli nie liczyć pierwszych tygodni, nie odczuwałem braku wzajemności z ich strony. Zaakceptowali mnie, wraz z moimi nawykami, tak niezwykłymi w naszych czasach. Z moją manią nieustannego kontrolowania własnych zachowań, gestów i słów, z moją rezerwą, której w gruncie rzeczy wstydzilem się sam przed sobą i chyba jedynie dlatego nie nazywałem jej w myślach po imieniu: nieśmiałością, wreszcie z moimi ucieczkami, takimi jak w tej chwili. Ale byliśmy wszyscy astronautami, połączył nas kosmos, a to oznaczało, że ta nigdy nie wyrażona słowami przyjacielska umowa między nimi a mną musiała mieć swoje rozsądne granice.

Dzisiaj na przykład nie ośmieliłbym się im powiedzieć, że z jakichś nieokreślonych i pozbawionych rozumowych przesłanek powodów, perspektywa urlopu na Ziemi nie budzi we mnie entuzjazmu. Że wolałbym już pozostać choćby tutaj, by powałęsać się samotnie po księżycowych górach. Nikt nie chciałby lecieć w najdalsze gwiazdy z człowiekiem, przekładającym dzikość martwego globu nad błękit i .zielen ojczystej planety. Nikt bowiem nie miałby pewności, że taki człowiek zrobi naprawdę wszystko, co w ludzkiej mocy, aby wrócić. ' Zawsze najlepiej czułem się sam. Dlaczego?

Był czas, gdy uparcie szukałem odpowiedzi na to pytanie. Wracałem wtedy myślami do tragicznie nonsensownej śmierci rodziców, do stryja, którego dom, potem, nie stał się już nigdy moim, chociaż dom pozostał ten sam, ponieważ najstarszy brat ojca, zaraz po oznajmieniu mi smutnej nowiny, zamieszkał u mnie.

Do dziś nie wiem, czy ten gest skrupulatnego i troskliwego — to muszę przyznać — opiekuna, mający ułatwić mi otrząśnięcie się z głębokiego szoku, jakim dla dwunastoletniego chłopca była utrata najbliższych, stanowił szczęśliwe pociągnięcie. Ale zarówno te poszukiwania w czasie minionym, jak i naiwne próby zestawiania własnych losów z życiem innych ludzi, tak jakby mógł istnieć jeden klucz do dwóch różnych zamkniętych osobowości, nic mi nie powiedziały, a już na pewno nie wzbogaciły mnie o wiedzę, którą mógłbym spożytkować w praktyce. Dziś tak czy owak czas wytężonej introspekcji należał do przeszłości. Pogodziłem się z sobą i ze światem, do którego należałem, chociaż on nie należał do mnie. Może, gdybym się zakochał... Może, gdyby Kirsti...

Zszedłem z eskalatora i zatrzymałem się pośrodku prześwietlonej słońcem, zupełnie pustej sali trzeciego poziomu Stacji. Niewiele wiedziałem o dziewczynach i miłości, byłem jednak przekonany, że jeśli już ktoś z naszego zespołu miałby się podobać kobietom, to Oleg, Bruno, a przede wszystkim Wiktor. Wiktor Lambert był przystojny, wesoły i pełen życia. Umiał harować jak automat i bawić się Jak dziecko. A ja? Ja byłem odludkiem. Zresztą Kirsti pociągała mnie, niepokoiła nawet, lecz nigdy, ani przez moment, jej bliskość nie przejęła mnie ową kojącą, twórczą radością, której istnienie przeczuwałem zaledwie, bo sam dotąd jej nie

zaznałem. Może, gdyby ona...

Potrząsnąłem głową i ruszyłem przed siebie. Po chwili stanąłem przed przezroczystą, panoramiczną ścianą sali obserwacyjnej.

Widok był istotnie przepyszny. Stację Alberta osadzono na wysokim skalnym zębie, należącym do krateru Pliniusza. Stanowiła centralny punkt wypadowy dla wycieczek udających się na Mare Serenifatis i Mare Tranquillitatis oraz w otaczające je góry. Tarasowate struktury obu mórz były widoczne jak na dłoni. Z lewej strony horyzont zamykał się płaskim łukiem nad pustynią, z której sterczały pojedyncze kamienne kolce. Z prawej, o wiele bliżej, obejmowała gorejący światłem łąd nieregularna obręcz czerni. Stamtąd szła linia terminatora, a za nią lodowata, księżycowa noc. Zanim spadnie na Stację, nas już nie będzie. Za dziesięć minut zjedziemy na poziom turystyczny i udamy się na lądowisko, gdzie przyjmie nas jeden z tych wymuskanych, komfortowych statków regularnych linii wycieczkowych. Pocisk, przystosowany również do lotów bez żywej załogi, który przywiózł nas tutaj z „Araratu”, jest już zapewne z powrotem w bazie.

Stałem chwilę, wodząc wzrokiem po błyszczących od słońca skałach i czarnych, wydłużonych skrzydłach cienia, po czym odwróciłem się. Z przeciwległej ściany spojrział na mnie patron Stacji, Albert Schweitzer. Duży portret o przygaszonych barwach tkwił w prostych, brązowych ramach. Szpakowata czupryna, wysokie czoło, żywe, pełne lśnienia oczy, przeczące zmęczeniu, które przebijało z ciężkich, obrzmiałych powiek. Mięsisty nos, siwe, sumiaste wąsy. Szlachetna twarz mądrego panteisty z początków kryzysu cywilizacyjnego. Przeczuł rozmiary tego kryzysu, może je nawet przewidział. Próbował zaszczepić ludzkości antidotum głosząc chwałę pięknej, rozumnej dobroci i własnym życiem przekonując współczesnych o jej sile. Przyszło mi na myśl, że umieszczenie na tym pustkowiu portretu człowieka, tak bezgranicznie związanego nie z Ziemią nawet, ale po prostu, z życiem, jest jakimś okrutnym nieporozumieniem, jakąś krzyczącą niesprawiedliwością. Zęby tak dzień po dniu, miesiąc po miesiącu, rok po roku, musiał patrzeć przez przezroczystą ścianę na martwy, księżycowy krajobraz. „Etyka poszanowania życia”...

Uśmiechnąłem się mimo woli. Co też przychodzi mi do głowy. Schweitzerowi, teraz, rzecz jest z pewnością najdoskonalej obojętna, a w oczach świata liczne ziemskie rezerваты, szkoły i instytuty jego imienia wynagradzają mu z nawiązką tutejsze niezasłużone wygnanie.

Pod portretem umieszczono tablicę z lakonicznym curriculum vitae myśliciela i świetlny napis: „Postępować ze świadomością mądrej, lecz bezgranicznej odpowiedzialności, wobec wszystkiego, co żyje”.

To chyba dobrze, że ludzie, wyruszając w kosmos, zabrali ze sobą tę myśl wielkiego, starego humanisty. Czyż nie była ona jakby *prze-*znaczona specjalnie dla nas, przyszłych realizatorów programu „P—G”? Mogła, a kto wie, czy nawet nie powinna stać się naczelnym hasłem wyprawy. Brzmiało ono zresztą bardzo podobnie, przynajmniej jeśli chodzi o słowa. „Nieograniczona odpowiedzialność wobec Ziemi”. Można i tak. Należałoby sobie tylko życzyć, aby istotny sens obu tych sformułowań okazał się zbieżny, kiedy naprawdę odkryjemy inne żywe światy.

Pod boczną ścianą sali, przed wąskim eskalatorern prowadzącym na wyższe piętra, mieszczące pracownie i obserwatoria Stacji, ustawiono ogromną planszę z mapą oraz skrótową charakterystyką etapów naszej podróży. U góry napisano rozstrzelonymi literami: P — G, Pierścień Galaktyki, pierwsza w dziejach wyprawa człowieka do kosmicznych braci. Niżej, przez świecące słońca i konstelacje przestrzennego modelu naszego gwiazdnego dysku, biegła żółta linia, tworząca zamknięty owal. Jaskrawe punkty wskazywały miejsca zamierzonych rekonesansów. Oczywiście tam, gdzie tor naszej drogi uciekał w głąb, zaznaczono jedynie orientacyjne odległości między postojami, tak żeby łączna suma tych ostatnich zgadzała się z planem. Nikt przecież nie wiedział, co zastaniemy po przeciwnej stronie dysku Galaktyki, a raczej jej płaszczyzny, ponieważ mieliśmy lecieć po promieniu, stale w odległości trzydziestu dwóch do trzydziestu czterech tysięcy lat światła od jądra. Chodziło o zbadanie gwiazd leżących na orbitach ; zbliżonych do słonecznej, z których większość musiała powstać we wstęgach ramion spiralnych w tym samym mniej więcej czasie. Inaczej mówiąc, mieliśmy odbyć drogę podobną

w przybliżeniu do drogi Słońca, którą przemierza ono w ciągu dwustu pięćdziesięciu milionów lat. Z tym że Słońce biegnie ze ściśle określoną szybkością, natomiast wyprawę „P — G” opisywały odległości, kursy kątowe z tysiącami poprawek, lecz w żadnym wypadku czas, jako jeden z wymiarów kontinuum wszechświata. W naszej bibliotece specjalnie umieszczono dzieła z dwudziestego i początków dwudziestego pierwszego wieku, których autorzy, żyjący w przededniu rozwoju i praktycznych zastosowań geoniki, a nawet już w dobie Krentza i Barcewa, udawadniali, że człowiek nigdy nie będzie w stanie przekroczyć szybkości światła. Ta lektura miała nas zapewne podnieść na duchu i zaszczerpić w nas wątplenie we wszelkie bariery, wskazywane przez współczesną naukę. Choć, rzecz jasna, żadna z nich nie dotyczy czasu. Nawet przecież na te trzydzieści lat, które miała trwać nasza podróż, złożą się jedynie okresy hamowania, rekonesansów, penetracji i wreszcie ponownego rozpędzania do prędkości progowej. Nie licząc godzin, spędzonych na miłych pogawędkach w miejscach eksploracji. Tych miejsc było w sumie sto dwadzieścia. Po trzy miesiące na każde.

U dołu planszy znajdowała się krótka legenda. Pierwsza wyprawa załogowa, wyruszająca z konkretnym i jedynym celem, którym jest nawiązanie kontaktu z innymi cywilizacjami. Pierwsza — tak daleka. Pierwsza skierowana nie ku środkowi Galaktyki, lecz po jej obrzeżu, torem biegnącym stale szesnaście do siedemnastu tysięcy lat światła od jej krańców. Pierwsza z realnymi szansami, właśnie ze względu na obraną trasę. Cywilizacji podobnych do ziemskiej warto bowiem szukać, przynajmniej na razie, głównie w rejonach słońc takich jak nasze, na peryferiach mgławicy. Twórcy programu „P — G” nie mówili zresztą o szansach. Byli pewni powodzenia, o czym świadczyły dalsze punkty legendy, załączonej do planszy. Dotyczyły one uniwersalnego języka technologicznego, porządku, w jakim nastąpi uzgadnianie podstawowych pojęć, oraz... ostrożności.

Rozległ się dyskretny, dźwięczny sygnał. Ciepły alt wezwał przybyszów z „Araratu” na poziom pasażerski.

Oderwałem wzrok od gwiazd, migoczących w trójwymiarowym modelu nieba, omiotłem pożegnalnym spojrzeniem krajobraz za panoramiczną ścianą, w połowie zagarnięty już przez nadchodzącą noc, po czym skierowałem się ku eskalatorowi.

Rozstaliśmy się na głównym peronie Centralnego Dworca Atlantyckiego, rzuconego wielopłaszczyznową bryłą na zawsze spokojne wody Zatoki Kadyksu. Kirsti odlatywała na północ. Kiedy ją mijałem, usłyszałem, jak mówi do Wiktora:

— Będę żeglować po jeziorze. Kanale Gotajskim i po morzu. Nie miałbyś ochoty wpaść na dzień lub dwa? Znad Loary to przecież pół godziny drogi. Adres: rezerwat Wener, wyspa Gosie. Mamy tam domek, takie pudełeczko przyklepione do niewielkiej skały, ale znajdziesz w nim komplet sprzętu podwodnego i żeglarskiego. A w każdym razie zapewniamy naszym gościom dużo wody do pływania.

— Może wpadnę, dziękuję — Lambert przytrzymał chwilę jej dłonie, po czym puścił je, odwrócił się i zobaczył mnie.

— Powodzenia, galaktydo! — krzyknął wesoło. — A strzeż się Komanczów.

— Nie ma ich po zachodniej stronie Sierra — wpadłem w jego ton. Wciąż uśmiechnięty, pożegnałem Kirsti i poszedłem prosto w stronę mojego statku, którego odlot z sąsiedniego peronu zapowiedział właśnie obojętny głos automatu.

Nikt mi nie towarzyszył. Jane, Dag Blandon i Bruno Churfelt lecieli wprawdzie w tym samym kierunku, ale nie dalej niż na Florydę, musieli więc wsiąść do innego trioplanu. Zaledwie trzech członków naszej wyprawy kierowało się na Wschód. Oleg Dikin, Paweł Kurski i Arnolf Bieler. Zabawne. Trzeba było takich okoliczności jak ta, aby uprzytomnić sobie, że tu, na Ziemi/należymy do przeciwstawnych obozów. „Wschód” był, rzecz jasna, pojęciem umownym, nie tylko w sensie geograficznym. Dzielące nas różnice nie były umowne, chociaż od likwidacji ostatniego wielkiego koncernu, czyli od stu mniej więcej lat, oficjalne, a tym bardziej prywatne stosunki między wszystkimi ludźmi zostały oczyszczone z trujących cierni wzajemnej nieufności. Ale na przykład Oleg, kiedy znajdzie się u siebie, pójdzie do banku, by oddać pieniądze, niepotrzebne mu w codziennym życiu. Ja przeciwnie, nie miałem ich w kosmosie, lecz teraz nie mógłbym bez nich spędzić urlopu nad Pa

cyfikiem. Inicjatorem- naszej wyprawy był Zachód. Wschód stał na stanowisku, że myśl jest, owszem, interesująca, ale na razie mamy jeszcze zbyt wiele do zrobienia w kręgu własnej cywilizacji. Aby jednak okazać dobrą wolę, uczestniczył w opracowaniu programu „P—G” i w przygotowaniach, a wreszcie wydelegował do załogi trzech swoich przedstawicieli.

Po dwóch przesiadkach wylądowałem na małym dworcu, pomiędzy brzegiem oceanu a bielejącymi nad pasem zieleni zabudowaniami Santa Rosa. Kiedyś znałem w tej okolicy każdą ścieżkę, jednak przez ostatnie pięć i pół roku krajobraz bardzo się zmienił. Myliły przede wszystkim regularne, szerokie wstęgi lasów, wyrosłych na dawnych, wielopasmowych tachostadach. Gdybym zamierzał udać się na zachód, w stronę Gór Nadbrzeżnych, by potem, przekroczywszy Dolinę Kalifornijską dotrzeć do rodzinnego domu, leżącego opodal Carson City, u stóp Sierra Nevada, musiałbym szukać pomocy automatów, aby nie zabłądzić. Nad ocean dotarłem jednak bez trudu. Po drodze minąłem trzy letniskowe wioski, których niska zabudowa uderzała dysharmonią między nowoczesnością ptasich konstrukcji a ich pseudoklasykcznym wystrojem, polegającym głównie na dolepianiu do pastelowych daszków trójkątnych, wydłużonych attyk oraz na zdobieniu frontonów, tarasów i ogrodów chudymi kolumnadami. Moda na Starą Grecję w budownictwie zaczęła się jakieś dwadzieścia lat temu, właśnie od architektury letniskowej, by przeorawszy mniejsze osiedla utknąć na szczęście przed progami wielkich miast, zanim klan współczesnych Kallikratesów i Hippo-damosów zdążył upamiętnić się nowymi dzielnicami lub przeróbką gmachów dawnych parlamentów. Osiągnąwszy brzeg odprawiłem autofon i, brnąc w miążskim piasku, poszedłem nad samą wodę, tam, gdzie ruchliwymi wstążkami białej piany sięgały pojedyncze języki fal, bijących wolnym, majestatycznym rytmem. Pobiegłem wzrokiem po kres horyzontu, a następnie wolno przechyliłem się do tyłu, zatrzymując spojrzenie w czystym błękitie wprost nad sobą. Pozostałem jakiś czas w tej pozycji, z oczami pełnymi blasku, wsłuchany w głęboki huk oceanu, po czym odetchnąłem głęboko, poczułem lekki zawrót głowy i nagle zdałem sobie sprawę, że jestem na Ziemi. Rzuciłem na piasek moją lekką, brązową torbę, służącą mi wiernie od tyłu już lat, rozebrałem się i wbiegłem do wody. Była dość chłodna. Rozgrzałem się, prac całą siłą mięśni pod fale, następnie przepłynąłem czałkiem jakieś sto metrów i wreszcie zacząłem nurkować.

Wyszedłem po dwudziestu minutach świeży, młody i jakby pocieszony po jakiejś przelotnej przykrości, której przecież nie zaznałem, a w dodatku zgłodniały. Włożyłem ubranie na mokre ciało i puściłem się biegiem. Zaraz za pierwszą zatoczką ujrzałem przed sobą małą przystań, osłoniętą półpięścieniem kamiennego falochronu. W basenie, obok dwóch większych lotek, kołysały się pozbawione żagli maszty śmigłych jachtów. Na jasnozielonym budynku, zamkniętym po przeciwnej stronie wąską płaszczyzną kei, widniał napis: AITHEROPOL. Byłem na miejscu.

Zatrzymałem się, przyglądałem nastroszone włosy i stwierdziwszy, że zdążyłem już wyschnąć, zacząłem iść w stronę kolorowych domków, przylepionych do niewysokiego, zielonego wzgórza. Za wzgórzem i domkami, w odległości mniej więcej kilometra, ciemniała wysoka, stroma skarpa, a raczej gliniasto-skalne urwisko, porośnięte niską trawą i poprzerzynane głębokimi, wąskimi parowami, odbiegającymi w głąb lasu.

Przeciąłem plażę i wszedłem na dróżkę wspinającą się łagodnie wśród kwitnących kaktusów, twardolistnych krzewów makii, pojedynczych eukaliptusów, karłowatych sołen i rozłożystych, wypielęgowanych palm. Od głównej alejki odbijały w regularnych odstępach wysypane żwirem ścieżki, ginące w zaroślach, przez które momentami prześwitały lśniące szyby domków. Na skrzyżowaniach umieszczono małe, dyskretne tabliczki z numerami. Przy liczbie dwanaście skręciłem, przeszedłem jeszcze jakieś pięćdziesiąt kroków i stanąłem przed niskim, jasnobieżowym bungalowem. Był on, rzecz jasna, zwieńczony miniaturową attyką, ozdobioną dodatkowo wklęsłym reliefem, przedstawiającym z powodów znanych jedynie jego rozmówianemu w grecczyźnie twórcy typowy asyryjski rydwan bojowy. Z boku, od strony plaży, przylegał do budynek do dość szeroki taras obudowany białymi kolumnkami,

podtrzymującymi plastikowy daszek. Z tarasu można było zejść po kilku niskich stopniach na trawiasty chodnik, wpadający dalej w pergolę, gęsto obsypaną kwiatami glicynii.

— Dzień dobry — zabrzmiał matowy głos. — Pan Lindsay Hagert, prawda?

— Tak, to ja — potwierdziłem, uśmiechając się do robota, który wyszedł na taras. — Widzę, że dobrze trafiłem?

— Oczywiście, proszę pana. Wszystko jest przygotowane — cofnął się, żeby mnie przepuścić. Przeszedłem między dwiema kolumnkami, minąłem go i wszedłem do pokoju, obszerniejszego, niż mogłoby się zdawać komuś patrzącemu na domek z zewnątrz.

— To jest hali, służący zarazem jako living room — usłyszałem za sobą usłużny głos. — Drzwi na lewo prowadzą do łazienki. W tej wnęce — wskazał zgrabnie wymodelowanym wysięgnikiem ciemną niszę, stanowiącą przedłużenie pokoju — mamy automatyczną kuchnię. Naturalnie nie musi pan z niej korzystać. Jesteśmy podłączeni do centralnej sieci aprowizacyjnej, a troska o posiłki należy do mnie. Na górze — zwrócił się w stronę krętych, drewnianych schodków — jest pokój kąpielowy z małą sauną i dwie sypialnie. W jednej z nich, z oknami wychodzącymi na ocean, przygotowałem panu pościel, trochę nowości wydawniczych i przedmioty osobistego użytku. Ale, gdyby pan sobie życzył, mogę to wszystko od razu przenieść do drugiego pokoju.

— Nie przenoś — uśmiechnąłem się znowu. — Lubię patrzeć na morze. Jesteś bardzo troskliwy.

— To mój obowiązek — rzekł nie zmienionym, monotonnym głosem.

— Czy wszystkie formalności są załatwione? — spytałem.

— Tak, proszę pana. Instytut Galaktyczny przysłał bardzo dokładne zamówienie. Na górze leży także wyciąg z pańskiego konta. Ma pan opłacony pobyt z pełnym utrzymaniem oraz prawem j^orzy-stania ze sprzętu pływającego. Mam nadzieję, że będzie się pan dobrze czuł w Aitheropolu.

— Na pewno dobrze. Dziękuję...

Aitheropol. Nazwa osiedla oczywiście także pochodziła z okresu mody na „stare Ateny”. Miasto „eteru”. Pierwotnej substancji, wypełniającej wszechświat, piątej, po czterech żywiołach, zasady bytu oraz źródła życia. Rzecz jasna, w wyobrażeniach starogreckich myślicieli, a nie współczesnych architektów.

Po obiedzie, smacznym i urozmaiconym sałatkami z żywych, zielonych jarzyn, poczułem się senny. Zaczęły dawać o sobie znać podróż, nagłe zmiany klimatów, a nade wszystko pierwsza od lat prawdziwa morska kąpiel. Usiadłem w fotelu pod oknem, przez chwilę patrzyłem ponad szczytami palm na ocean i plażę, która, jak to dopiero teraz spostrzegłem, od strony tarasu dochodziła niemal pod sam domek, po czym zamknąłem oczy.

Kiedy się obudziłem, niebo nad poszarzałym horyzontem nabrało barwy głębokiej, matowej czerwieni. Zerwałem się, przestraszony, z poczuciem winy. Wydawało mi się, że przegapiłem swoją kolejkę w kabinie datorów lub moment startu sondy. Odwróciłem się błyskawicznie i ujrzałem komfortowy pokój z nielicznymi miękkimi meblami. Zwabiony moim ruchem robot zjawił się jak spod ziemi i zapalił ukryte lampy, których łagodne światło zagrało w szybach uchylonych okien.

Oprzytomniałem. Zacząłem urlop. Przede mną jeszcze pełne dwa tygodnie. Dwa tygodnie nieustannych zaskoczeń czy tylko nudy?...

— Pozwoli pan podać teraz kolację? Potem doradzałbym krótki spacer. O tej porze powietrze jest bardzo zdrowe.

— Masz rację — powiedziałem. — Kiedyś mieszkałem niedaleko stąd. Przyjeżdżaliśmy na wakacje w te okolice. Wtedy mówiono mi to samo. Ponadto musiałem spacerować wcześniej rano.

— Nasz Aitheropol powstał siedemnaście lat temu — zauważył robot. — Jeśli pan...

— Nie, to było dawniej — przerwałem mu. — Wtedy na tym wybrzeżu pokazywano mi jeszcze miejsca, gdzie niegdyś stały domy wielkiego miasta oraz ruiny portu. Ludzie, zanim zmądrzeli, budo- . wali dosłownie wszędzie, nie oglądając się ani na przyrodę, ani na jej rolę w ich własnym życiu.

— Tak, oczywiście — odrzekł uprzejmie i oddalił się, aby przynieść kolację. Odprowadziłem

go wzrokiem. Co mnie podkusiło częstować go bananami, jakich dziś unikają już nawet autorzy szkolnych podręczników historii? I czy potrzebowałem akurat takiego służalczego robota, żeby mówić z nim o własnym dzieciństwie?

Dwadzieścia minut później szedłem ścieżką w kierunku plaży. Wychodząc wysłuchałem jeszcze jednej rady mojej świeżo pozyskanej elektronicznej niańki i narzuciłem na plecy gruby, biały sweter, wliczony w koszt wynajęcia domku. Kiedy jednak znalazłem się na otwartej przestrzeni, owiał mnie ciepły prąd powietrza, płynący od oceanu. Wieczór był niemal upalny. Okrągły Księżyc stał już wysoko nad widnokregiem, oblewając wodę i wybrzeże intrygującym blaskiem. Świat wyglądał jak marzenie astronauty, zasypiającego w jakiejś mikroskopijnej klatce tam, gdzie Słońce jest maleńkim, ledwie widocznym punkcikiem na zawsze wywieżdżonym i zawsze czarnym niebie.

Zamiast iść prosto w stronę brzegu, skręciłem i niebawem dostałem się na twardą drogę, prowadzącą do przystani. Ominąłem lekki, płaski budynek, dotarłem do kei i usiadłem na jej krawędzi, zwieszając nogi nad wodę. Pomimo późnej pory ocean był głośny. Fale szły nieco skośnie, z południa, niosąc na grzbietach srebrno-białe grzywy. Tylko w obrębie samej przystani powierzchnia wody była spokojna, niemal gładka. Spojrzałem w stronę falochronu, wybiegającego z lądu jakieś trzysta metrów dalej i dostrzegłem na jego zaokrąglonym cyplu drobną, niewyraźną postać, która chwilę później znikła mi z oczu. Samotnik, taki jak ja?

— Czy chce pan wziąć łódkę? — rozległ się moimi plecami przyciszony głos.

— Nie — potrząsnąłem głową. — Posiedzę sobie po prostu.

— Ummm... tak. Rozumiem... — usłyszałem w odpowiedzi.

Odrzuciłem się, zdziwiony. Mrużąc automat?

Z mroku zalegającego skrawek kei pod skośnym daszkiem portowego pawilonu wystąpiła wysoka, chuda sylwetka. Pomyliłem się. To nie robot obsługujący przystań oferował mi wieczorną przejażdżkę łódką. Ujrzałem przed sobą starszego mężczyznę w drelichowym ubraniu. Na głowie miał zmiętą, okrągłą czapkę. Podeszedł bliżej, przypatrzył mi się uważnie, po czym zerknął na boki, jakby sprawdzając, czy nikt trzeci nie usłyszy, o czym będziemy mówić i wreszcie usiadł tuż obok mnie, na skraju nabrzeża.

— Można? — bąknął.

— Oczywiście — uśmiechnąłem się, nie przestając lustrować go wzrokiem. Miał taką twarz, jakie widuje się na portretach Vignie-go, Boukina oraz pokrewnych im twórców, którzy próbowali streszczać konflikty i doświadczenia minionych epok, zatrzymując bieg czasu w spojrzeniach ludzi, żyjących dłużej niż inni. — Przepraszam. Myślałem, że rozmawiam z automatem — dodałem.

— Niewiele się pan pomylił — mruknął po chwili. Nie patrzył na mnie, tylko prosto przed siebie, tam, gdzie ocean zlewał się z pociemniałym nieboskłonem. — Pracuję tutaj - wyjaśnił. — Kon-

serwuję roboty. Codziennie dwa. To niewielkie osiedle... A pan przyjechał na urlop?

— Tak. Mieszkam w domku numer dwanaście. Skinął nieznacznie głową.

— Kiedyś było tu miasto. Jeden dom obok drugiego. Mój ojciec urodził się na pięćdziesiątym drugim piętrze... ale z jego mieszkania nie było widać morza. Zastłaniały je inne wieżowce. Pływał na statku wycieczkowym...

— O mieście słyszałem — powiedziałem. — Jako chłopiec przyjeżdżałem tutaj na wakacje. Pochodzę z tych stron.

— Z wybrzeża? — spytał z nagłym ożywieniem.

— Nie. Spod Carson City. Kapać się jeździłem najczęściej nad jezioro Tahoe.

— Tak — westchnął. — A obecnie mieszka pan gdzie indziej?

— Gdzie indziej — potwierdziłem.

— I dawno pana tutaj nie było?

— Bardzo dawno.

— To musi pan czuć się teraz szczęśliwy. Ludzie zawsze z uczuciem wspominają rodzinne strony i są szczęśliwi, kiedy do nich wracają. Choćby nawet ogarniał ich wtedy także smutek i żal za minionym czasem. Ale czy istnieje szczęście bez smutku?

Ta prościutka sentencja, wypowiedziana w gęstniejącym półmroku zwyczajnie i od niechcienia, jakby chodziło, powiedzmy, o pogodę, stanowiła tak bardzo harmonijne uzupełnienie nastroju, w jaki wciągnął mnie ten wieczór, że powitałem ją mimowolnym uśmie-

chem, Tak samo mógłbym się uśmiechnąć do jakiejś pięknej, bezpretensjonalnej rzeźby lub skrawka krajobrazu.

— A pan? — spytałem niespodziewanie dla samego siebie. — Czy pan jest szczęśliwy? Przecież pozostał pan w rodzinnych stronach?

— Ja? Nie — odrzekł od razu bez zastanowienia i bez cienia skargi w głosie. — W całym życiu nie przytrafiło mi się nic takiego, do czego dzisiaj mógłbym wracać myślami z poczuciem, że to coś pozwoliło mi poznać smak szczęścia. Nie jestem także nieszczęśliwy. Robię swoje, zdrowie mi dopisuje, a w takie wieczory jak ten lubię popatrzeć na ocean. To wszystko...

— Nie ma pan rodziny?

— Nie mam. Od dziewięćdziesięciu lat, to znaczy, od kiedy opuściłem dom.

— Ja także jestem sam — powiedziałem. — Moi rodzice zginęli, gdy byłem dwunastoletnim chłopcem. Tam — -wskazałem ręką Księżyc.

— Rozumiem. Astronaucci?

— W pewnym sensie. Właściwie prowadzili badania na Ziemi, ale niektóre obliczenia musieli sprawdzać w stacjach orbitalnych. Bardzo lubili muzykę. Wszędzie zabierali ze sobą kompletną aparaturę sferoramiczną. Właśnie ta muzyka ich zabiła.

— Muzyka... — powtórzył bez zdziwienia.

— Tak. Tego dnia skończyli pracę i postanowili posłuchać jakiejś symfonii. Znajdowali się na stacjonarnej orbicie księżycowej, wewnątrz maleńkiej, idealnie kulistej sondy, pozbawionej własnego napędu. Był pan kiedyś na koncercie sferoramicznym? Rozpętali burzę dźwięków — ciągnąłem, nie czekając na odpowiedź. — Przyszedł rezonans, sonda wpadła w wibracje i rozpadła, się na dwie półkule, jak pęknięta piłeczka pingpongowa. Tak przynajmniej brzmiało orzeczenie komisji, badającej przyczyny wypadku.

— Więc to tak — odezwał się po krótkiej pauzie. — Pan także lata?

— Owszem — poczułem ^suchość w gardle i musiałem odchrząknąć.

— Dlatego nie było pana tutaj tak długo — stwierdził. Znowu pokiwał głową, po czym nie zmienionym tonem zapytał: — A muzyka?

Mimo woli ściągnąłem brwi i spojrzałem na niego z niedowierzaniem.

— Co muzyka?...

— No, czy pan lubi muzykę?...

Umilkłem. Kiedy i jak to się stało? Co spowodowało, że tak swobodnie i niewinnie, a raczej należałoby rzec: bezmyślnie, przekroczyłem ową granicę, która zawsze, także bez udziału mojej woli, wyrastała pomiędzy mną a ludźmi, gdy ci, nawet w najlepszej wierze, dotykali w rozmowie tej nazbyt unerwionej błonki, opinającej sferę uznaną przeze mnie za intymną? Czy nie chciałem nieświadomie wykorzystać obcego mi przecież człowieka, ponieważ on miał już wszystko za sobą? Ale jego ostatnie pytanie otwierało drogę, która wiodła w ślepy zaułek. Gdybym mu wyznał, że nigdy dotychczas nie rozmawiałem z nikim tak jak z nim, powiedziałby zapewne „to dlatego, że obydwa jesteśmy samotni” albo coś podobnego. I znowu musiałbym zamilknąć.

Cisza przeciągała się i wreszcie nadeszła chwila, kiedy nie mógł już oczekiwać odpowiedzi. Wtedy uśmiechnąłem się do niego.

— Często przychodzi pan tutaj o tej porze?

— Prawie codziennie.

— To dobrze — powiedziałem. — Mam nadzieję, że nie weźmie mi pan za złe, jeśli czasem dotrzymam panu towarzystwa. Będę tutaj tylko dwa tygodnie...

— Skądże — odrzekł natychmiast. — Myślałem, że to ja panu przeszkadzam.

A jednak w jego stosunku do mnie nastąpiła jakaś zmiana. Może próbowałbym ją nawet uchwycić i zrozumieć, ale w tej samej chwili daleko przed nami 2budził się głęboki grzmot, który narastając, niespiesznie biegł w naszą stronę.

— Idzie — stary konserwator wskazał ruchem głowy przestrzeń oceanu. — Zawsze przed nocą przylatują, tak co piętnaście, dwadzieścia minut. Ktoś mi kiedyś tłumaczył, skąd się biorą, tylko że zapomniałem.

— Fale? — odruchowo spojrzałem na moje stopy wiszące zaledwie metr nad lustrem wody.

— Tutaj nie dojdzie — uspokoił mnie. — Tak, fale. Cicho, cicho... i nagle przylatuje jedna, pojedyncza, jakby zmyliła drogę albo uciekła z miejsca, gdzie w tej chwili szaleje huragan. A potem znowu nastaje spokój i człowiek myśli, że coś mu się przywidziało. Niech się pan nie boi, nie przeskoczy falochronu. Trzeba się jej strzec[^] tylko...

Nie skończył. Zza kamiennego cypla strzeliła wysoko w górę ciemna, zwarta ściana, rozpadła się na pojaśnione pióropusze i zniknęła. Przez brzeg przetoczył się potężny, basowy huk, od którego zadrżały betonowe przypory kei. Ale ułamek sekundy wcześniej dobiegł nas wysoki, rozpaczliwy krzyk.

— Tam ktoś jest! — przypomniałem sobie, że kiedy przyszedłem, widziałem przez moment drobną sylwetkę człowieka, spacerującego po falochronie. — Niech pan wezwie automaty! — rzuciłem, nie oglądając się.

Biegłam już w stronę drogi, która przecinała plażę i przechodziła w kamienny rożek, osłaniający akwen przystani. Nagle stanąłem. Zostało mi dobre dwieście metrów. Potem musiałbym przebiec następne dwieście nawierzchnią falochronu. Jeśli tam ktoś naprawdę potrzebuje pomocy, przybędę **za** późno. Wysoka fala już przeszła, a następna uderzy nie wcześniej niż za piętnaście minut. Zresztą zawsze byłem lepszym pływakiem niż biegaczem. Biorąc to wszystko pod uwagę...

— Jeśli pan kogoś zauważy, proszę krzyknąć! — zawołałem zrzucając ubranie. Spojrzałem jeszcze raz w stronę plackowatego cypla, mrugającego żółtym okiem portowej latarni i skoczyłem. Woda zamknęła się nade mną, a kiedy wypłynąłem, latarnia świeciła o kilkanaście metrów bliżej. Zaczepiłem powietrze i zacząłem płynąć równo, mocno, jak w czasach, kiedy biłem rekordy uczelni na ostatnich przed wakacjami studenckich zawodach. W pewnym momencie z brzegu dogonił mnie okrzyk; „Jest! Jest!”.

Uniosłem głowę i rozejrzałem się. Miałem szczęście. Nie brakło go również temu komuś w białym czepku kąpielowym, na który akurat w tej chwili padło przelotne światło latarni. Czepok natychmiast zniknął pod powierzchnią wody, ale od miejsca, gdzie to się stało, dzieliło mnie nie więcej niż pięć, sześć metrów, W dodatku **za** sobą słyszałem już wysokie granie automatów ratowniczych. Zanurkowałem i niemal od razu dostrzegłem tuż przed sobą unoszący się bezwładnie biały kształt. Wystarczył jeden ruch ręki, a następnie jedno odbicie się nogami, abym wraz z tonącym wrócił na powierzchnię. W tym samym momencie znalazłem się w objęciu giętkich, silnych ramion, które uniosły mnie nad wodę i ułożyły na ciepłym, elastycznym pościeliu. Chwilę później poczułem na czole i piersi dotyk zimnych, kolistych płytek. Chciałem zobaczyć, co się dzieje z człowiekiem, którego wyciągnąłem, ale te płytki trzymały tak mocno, że nie mogłem wykonać najmniejszego ruchu,

— Przepraszam — usłyszałem obojętny, uprzejmy głos. — Pan jest zdrowy. Mogę panu usłużyć jedynie preparatem wzmacniającym. Ma on również działanie neurostatyczne.

— Nie trzeba... — zacząłem, ale przerwało mi uczucie nagłego chłodu w lewym ramieniu. Zupełnie, jakby mnie ktoś musnął koniuszkiem lodowego sopła. Zrozumiałem, że robot, nie czekając na moją zgodę, uruchomił automatyczną strzykawkę. Zaraz potem odzyskałem swobodę ruchów. Usiadłem i rozejrzałem się. Tkwiłem w podłużnym zagłębieniu, pośrodku górnej pokrywy pojazdu ratowniczego. Za moją głową znajdowała się niska, gruba kolumnienka z zamykanym dwiema klapkami otworem, w którym zniknęły właśnie wysięgniki, połączone, jak zdażyłem zauważyć, wiązką cieniutkich kabli. Skrzydła kolumnienki zatrzęsnęły się i w tej samej chwili pojazd ruszył w stronę przystani.

— Poczekał! — zawołałem. — Co z tym drugim?!

— Myśli pan o kobiecie, która tonęła? Jest już przytomna. Zastosowano sztuczne oddychanie oraz zastrzyk podtrzymujący akcję serca.

— Kobieta? Jak to kobieta? — bąknąłem zaskoczony.

— Niestety, w tej chwili nie jestem w stanie udzielić panu dokładniejszych informacji. Nie przybyliśmy na czas,¹ ponieważ właśnie ładowaliśmy ogniwa, a przystań pozostawała chwilowo pod opieką konserwatora. Uruchomiwszy nas na powrót, musiał nam sam wskazać kierunek, bo przecież nie utrwaliliśmy w pamięci okoliczności alarmu.

A więc to dlatego staruszek, przysiadł do mnie i cierpliwu wysłuchiwał moich zwierzeń. Po prostu czekał, aż automaty uzupełnią zapas energii. A ja mówiłem, mówiłem...

Pojazd opadł na powierzchnię wody i znieruchomiał. Uniosłem głowę i ujrzałem chudą,

wysoką postać, stojącą na kei. .

— Jesteście — usłyszałem jego odrobinę zdyszany głos. — Bardzo panu dziękuję. Gdyby ta dziewczyna zginęła, cała wina spadłaby na mnie. Powinienem się być upewnić, czy kogoś nie ma w rejonie przystani, zaaim wyłączyłem automaty. Nie zrobiłem tego. Byłby to pierwszy nieszczęśliwy wypadek od wielu, wielu lat.

— Przecież te automaty i tak w końcu wyciągnęły nas oboje — powiedziałem. Aparat, na którym stałem, uruchomił wysięgnik, by pomóc mi wspiąć się na nabrzeże. Dwa metry dalej drugi robot w identyczny sposób usłużył uratowanej. Kiedy znalazła się na jed-nym poziomie z nami, zauważyłem, że była szczupła, zgrabna i bardzo zmarznięta. Miała na sobie jedynie skąpy biały kostium kąpielowy, zapinany z przodu na dużą kłamrę, utworzoną z trzech cienkich, srebrnych kółek. Podobne demonstrowały nam na „Araracie” Kirsti i Jane, ilekroć udawały się „do wód”, jak mawiał Wiktor, to znaczy do malutkiej komórki z gazowym prysznicem.

Odrzuciłem się i pobiegłem po ubranie. Włożyłem koszulę i spodnie, po czym zaorałem sweter, błogosławiąc w duchu zapobiegliwość mojego tutejszego domowego robota i wróciłem do czekającej bez ruchu pary.

— Proszę iść wziąć — podszedłem do uratowanej, uśmiechnąłem się do niej i teraz dopiero przyjrzałem się jej z bliska. Zmartwiałem. Moja ręka, trzymająca sweter, zatrzymała się wpół drogi.

Kobieta zdjęła czepek i potrząsnęła głową. Jej jasne, krótko przycięte włosy rozsypały się i ułożyły w znaną mi, tak dobrze prostą fryzurę.

— Kirsti — wykrztusiłem. — Kirsti... Ty tutaj?... Dziewczyna znieruchomiała. Przez jej twarz przelatywały co chwilę fioletowe błyski wirujących niżej lampek automatów ratowniczych. Cała scena wydała mi się nagle tak nierealna, że mało brakowało, a byłbym się głośno roześmiał. Kirsti! Też coś!

To nie była Kirsti. Wiedziałem o tym, zanim jeszcze zrobiłem następny krok w jej stronę i ujrzałem jej[^] oczy. Jeśli nawet były brązowe, czego teraz mogłem się tylko domyślać, to ich wyraz stanowił dla mnie kolejne zaskoczenie. Oprzytomniałem od razu. Tak ostro, nie, nie ostro, raczej oschle, właśnie: oschle, Kirsti nie patrzyłaby na nikogo, a już na pewno nie na człowieka, który przed kilkoma minutami ocalił jej życie.

— Przepraszam — powiedziałem siląc się na spokój. — Jest pani niebywale podobna do mojej koleżanki, która teraz powinna być bardzo daleko stąd. W pierwszej chwili pomyślałem... a raczej właśnie nie zadałem sobie trudu, żeby pomyśleć i dlatego tak mądrze się zachowałem. Proszę włożyć ten sweter. Inaazej nabawi się pani kataru, a to podobno jedyna choroba, której jeszcze nie leczą nasze niezawodne automaty medyczne. Szkoda byłoby przerywać urlop, żeby szukać pomocy u żywego lekarza.

— Sama jestem lekarzem — jej głos był nieco łagodniejszy niż jej spojrzenie. — Dziękuję za pomoc. Podobno, gdyby nie pan, roboty nie zdążyłyby mnie wyciągnąć. Ale to moja wina. Siedziałam na falochronie i myślałam o niebieskich migdałach. Kiedy usłyszałam falę, zdążyłam już tylko krzyknąć. Dziękuję — powtórzyła, biorąc ode mnie sweter, który natychmiast wciągnęła przez głowę. Zawinęła zwisające rękawy i mówiła dalej: — Miałam dzisiaj dyżur. Postanowiłam popływać trochę przed snem i... popływałam. Jeszcze raz dziękuję. Moją sukienką bawią się teraz ryby... czy odwiezie mnie pan do domu, żebym mogła to zwrócić? — spojrzała na sweter, sięgający jej niemal do kolan.

— Właściwie automaty powinny wezwać pogotowie — zdołał wtrącić stary konserwator. — Ale skoro pani sama jest lekarzem i skoro naprawdę czuje się pani już dobrze...

— Karetka czeka — odpowiedział mu z dołu, jakby spod ziemi, spokojny głos. Odruchowo spojrzałem w stronę aparatów ratowniczych. Nikt z nas nie zauważył, kiedy obok nich pojawił się trzeci pojazd, łódkowaty, z mlecznobiałą, otwartą zapraszającą kabiną.

— Oczywiście, że panią odprowadzę — zreflektowałem się poniewczasie. Usłyszałem jej śmiech.

— Niestety! — zawołała z udanym ubolewaniem. — Moi uczeni koledzy, programujący automaty pogotowia, zatroszczyli się o to, żeby kobiety, uratowane przez dzielnych pływaków, wracały grzecznie do domu! Nawet jeśli nie wsiądę, karetka i tak będzie sunąć tuż za mną. Nici z naszej randki! Proszę — ściągnęła sweter i podała mi go. — Tam — wskazała

czekający pojazd — będzie ciepło, a poza tym mieszkam niedaleko stąd. Piechotą mam z domu pół godziny na plażę. No to... do widzenia — wyciągnęła do mnie szczupłą dłoń, którą zupełnie odruchowo uściśnałem. Wyszła z cienia i światło Księżycy padało teraz prosto na jej twarz. Była wręcz niesamowicie podobna do Kirsti. Trudno to nawet nazwać podobieństwem. Miała dokładnie takie same włosy, nos, usta, taką samą zgrabną, nieco chłopięcą figurę. Podobała mi się bardzo.

— Do widzenia — wymamrotałem, bezwiednie mnąc w dłoniach wilgotny sweter. *

Karetka z cichym szmerem silnika uniosła się nad wodą, zatoczyła łuk i zniknęła za budynkiem przystani. Automaty ratownicze zgasiły fioletowe lampki i ukryły się w mroku pod ścianą kei.

— Jeszcze raz panu dziękuję — powiedział stary.— Najadłbym się wstydu...

— Nie ma za co...

— A swoją drogą— w jego głosie zabrzmiała nagle jakaś fałszywa nuta, jakby wbrew sobie siłił się na żartobliwy ton, co nie wiedzieć czemu sprawiło mi przykrość — powinien pan być chociaż zapytać: o jej adres. Jutro mógłby ją pan odwiedzić, żeby spytać, jak się czuje, Taka ładna dziewczyna...

Wyprostowałem się.

— Zimno — stwierdziłem. Włożyłem sweter, uśmiechnąłem się przeproszająco i wyciągnąłem rękę do tego człowieka, który, jak wynikało bardziej z jego zachowania aniżeli z jego słów, od dawna pogodził się z tym, że los poskąpił mu szczęścia w życiu. Uścisk chudej, kościstej dłoni okazał się nadspodziewanie silny.

— Dobranoc — powiedział, — I niech pan nie zapomina, że zawsze przychodzę tutaj o tej porze.

— Dobranoc. Nie zapomnę — odrzekłem, postanawiając w duchu, że trasa moich wieczornych spacerów przez najbliższe dwa tygodnie będzie z daleka omijać miejscową przystań, z jej spokojną zatoczką, jej automatami i keją, położoną na wprost wschodzącego Księżycy, którego widok czasem tak bezsensownie rozwiązuje ludziom języki

Robot przyniósł mi gorącą jak piekło herbatę i pomógł mi się przebrać. Udzielił mi też kilku ojcowskich przestróg, dotyczących wieczornych kąpiei. Kiedy mu podziękowałem, życzył mi dobrej nocy i zniknął.

Zostałem sam w dużym pokoju na dole. Usiadłem naprzeciw okna, z którego mogłem widzieć jedynie szczyty mniejszych palm, dziwnie zmienionych w nocnym świetle. Ułożyłem się wygodnie w fotelu i zamknąłem oczy, ale sen nie przychodził. Widać za długo spałem po obiedzie.

Po chwili wstałem, przeszedłem się od ściany do ściany, a następnie uruchomiłem holowizor, Nadawano właśnie ostatni dziennik. Wzajemne kurtuazyjne wizyty w sześciu pozostałych na planecie bazach wojennych. Obrady przy drzwiach otwartych podkomitetu prawnego Komisji Kosmicznej ONZ. Prezentacja nowej generacji orbitalnych komputerów dwóch światowych banków informacji. Dyskusja na temat sytuacji żywnościowej na subkontynencie indyjskim, I pomyśleć, że tu, u nas, nawet do takich nadmorskich domków jedzenie dociera za pośrednictwem centralnej, całkowicie zautomatyzowanej sieci. aprowizacyjnej. Reportaż z nowej osady -kosmicznej w rejonie asteroidów. Wywiad z jakimś uczonym socjologiem na temat funkcjonowania kanałów demokracji w szesnastomiliardowym, globalnym społeczeństwie. Odkrycia archeologiczne na dnie Zatoki Gwinejskiej. Festiwal widowisk sferofetycznych w Ał-ma-Acie. Pierwsza kobieta na szczycie Olimpu, jednej z najwyższych gór Marsa...

Wyłączyłem odbiornik. Jakże to wszystko ważne. Jak nic z tego nie dotyczy osobiście mnie. Albo tego starego konserwatora. Ale może zainteresowałoby panią doktor?...

Poszedłem na górę, rozebrałem się i zasnąłem. W końcu nie darmo tak długo uczono mnie zasypiać na zamówienie.

Rozdział II

Niebo tego ranka było bezchmurne, zresztą już wczoraj mój domowy robot zapewniał, że

pogoda nie zmieni się przez najbliższe trzy tygodnie. Kiedy wyszedłem z łazienki, na stole stało śniadanie. Grzanki z dwoma grubymi plasterkami goletu, nad którymi unosił się apetyczny dymek, wysoka szklanka pełna musującego witu i mały przezroczysty termos z kawą. Natomiast za stołem siedział najspokojniej mężczyzna, spowity w długą, niebieską pelerynę, pod którą miał zielonkawą bluzę z wysokim golfem. Jego twarz była nie tyle opalona, ile po prostu ciemna, w dodatku ocieniona długim daszkiem sztywnej, owalnej czapki. W pierwszej chwili pomyślałem, że to ktoś z zarządu Aitheropolu przyszedł z grzecznościową wizytą, by przy okazji spytać, czy nie mam jakichś dodatkowych życzeń, których spełnienie uszczupliłoby stan mojego konta na rzecz miejscowej administracji, ale nieznajomy od razu wyprowadził mnie z błędu. Wstał i nie zdejmując czapki ani też nie kwapiąc się z podaniem dłoni, powiedział:

— Jestem Robert Stanza. Dla przyjaciół Bob. Wspominam o tym, bo sądzę, że niebawem będziemy sobie mówić po imieniu. Lin Ha-gert, prawda?

Wariat albo jakiś miejscowy dziwak. Może na etacie, jako nadprogramowa atrakcja dla samotnych urlopowiczów? Ale jak to się stało, że robot wpuścił go do środka? I skąd ten typ znał moje nazwisko?

-- Dla przyjaciół — odpowiedziałem wpadając w jego ton. — W innym wypadku nie Lin, a raczej Lindsay, Czy ma pan zamiar mnie zabić, czy tylko wyrzucić z tego pięknego domku?

Uśmiechnął się. Jego twarz rozciągnęła się przy tym jak źle dopasowana maska.

— - To prawda, że przyszedłem pana stąd zabrać — rzekł odrobinę zbyt miękko, głębokim głosem. — Ale dopiero po śniadaniu. Proszę, niech się pan nie krępuje — przeniósł spojrzenie na zastawiony stół, — O zabijaniu nie ma, rzecz jasna, mowy. Powiedziałbym nawet, że chodzi o coś wręcz przeciwnego — spoważniał nagle. - Dobry humor opuścił i mnie. Odwróciłem się, żeby zawołać robota.

— Tutejszy automat jest chwilowo w konserwacji — usłyszałem głos nieznajomego, zanim zdążyłem otworzyć usta. — Ale Jeśli pan czegoś potrzebuje, to proszę mi tylko powiedzieć. Umiem zastępować roboty.

Przyjrzałem mu się. Nie żartował. Pochylił lekko głowę i patrzył na mnie, jakby czekając, czy każe mu posprzątać dom, czy też zająć się strzyżeniem krzewów w ogrodzie.

Usiadłem i położyłem ręce na stole.

— Jeśli naprawdę chce mi pan zastąpić robota — powiedziałem — to proszę sprawić, żebym mógł zjeść śniadanie bez świadków. Jestem tu na urlopie i nie chciałbym się denerwować.

— Służę uprzejmie — odrzekł, wstając. Odwrócił się i odszedł. Usłyszałem jego lekkie kroki na schodach. Chwilę później na dole stuknęły drzwi.

Skończyłem jeść, sam wrzuciłem brudne naczynia do promiennika, bo robota rzeczywiście nie mogłem się dowołać, po czym powąłęsa-łem się chwilę po domu. Wreszcie wziąłem z półki nad tapczanem pierwszą z brzegu książkę, rzuciłem okiem na nazwisko autora, które nic mi nie powiedziało, i zszedłem na dół. Miałem zamiar posiedzieć na tarasie i poczytać. Ciekaw byłem tych „wybranych nowości wydawniczych”. Ostatni raz książkę, to znaczy powieść, a nie podręcznik, miałem w rękach przeszło sześć lat -temu. ^

Czekał na mnie, oparty o kolumnkę na wprost szeroko otwartych drzwi. Gdyby zamiast przyklepanej czapki włożył na głowę ozdobny pieróg, wyglądałby w tej swojej zbyt długiej, powłóczystej pelerynie jak średniowieczny admirał.

— Czy teraz możemy porozmawiać? — spytał, obrzucając mnie smutnym spojrzeniem. Wzruszyłem ramionami,

— Złe mnie pan zrozumiał — powiedziałem, — Ja chciałem być sam nie tylko przy stole. O co chodzi? — skapitulowałem nagle.

— Myślałem, że skwapliwie skorzysta z okazanej mu tak niespodziewanie zachęty, ale on milczał jeszcze dłuższą chwilę, przyglądając mi się z powagą. W końcu jednak westchnął, wykonał nieokreślony gest ręką i zrobił krok w-moją stronę, odrywając się od kolumnki, która służyła mu za oparcie.

— Przed wszystkim powinienem pana przeprosić za wtargnięcie tutaj, i to akurat w porze śniadania, oraz unieruchomienie robota, bo to ja zrobiłem, ale...

— Niech pan sobie wyobrazi, że to zdołałem już sam odgadnąć — zakpiłem. — Teraz

interesuje mnie tylko, po co zadał pan s^wie tyle trudu i czego jeszcze zamierza pan tutaj dokonać?

— ...ale — podjął, jakby nie dotarło do jego świadomości, że coś powiedziałem — sprawa, która mnie tutaj sprowadza, jest zbyt poważna, by zaczynać ją od konwenansów. Prawdę powiedziawszy w ogóle nie wiedziałem, jak zacząć i stąd to moje teatralne zachowanie...

— Jeśli jednak nareszcie spłynęło-na pana olśnienie — przerwałem znowu — to może naprawdę zechce pañ przystąpić do *rzeczy*. W ten sposób pozostanie mi nieco nadziei, że odzyskam władzę nad moim robotem i nie spędzę całego dnia w pana towarzystwie, które jest dla mnie, delikatnie mówiąc, kłopotliwe. Wspomniałem już, zdaje się, że właśnie zacząłem urlop...

— Z którym nie wie pan, co zrobić — wpadł mi w słowo. Jego głos zabrzmiał raźniej. Odzyskał pewność siebie.

— Co? Skąd pan... cóż to za bzdury!

— Żadne bzdury — powiedział spokojnie. — Czy mogę wejść? — nie czekając na odpowiedź przeszedł obok mnie i-usiadł w fotelu. Jego wzrok padł na książkę, którą trzymałem w opuszczonej ręce.

— Na to w każdym razie naprawdę szkoda czasu — zauważył. — Choć ja, naturalnie, nie znam się na literaturze. Ale mam proporcję, która pana jako astronautę, bionika, uczestnika lotu „P—G”, a także po prostu jako człowieka myślącego, dysponującego sumą własnych refleksji dotyczących pańskiego świata, powinna zainteresować daleko bardziej niż wszystkie modne bestsellery razem wzięte.

— Dziękuję za komplement — rzuciłem sucho. — Odwróciłem się, oparłem barkiem o framugę drzwi i utkwilem wzrok w jego twarzy, tak całkowicie pozbawionej wyrazu, jakby ten człowiek

rzeczywiście nosił maskę. Nie potrafiłbym nawet bodaj w przybliżeniu określić jego wieku, nie mówiąc już o bardziej subtelnych spostrzeżeniach, jakich zwykle dostarcza wyraz oczu kogoś, z kim rozmawiamy, jego uśmiech, mimika, ruchy warg, rysunek zmarszczek czy choćby sposób wsłuchiwania się w słowa partnera. — „Myślącym” nazywamy cały nasz gatunek — ciągnąłem — choć pewne fakty z teraźniejszości i nieprzebrana ich masa w przeszłości pozwalałyby wątpić w słuszność tego określenia. Niemniej muszę przyznać, że czuję się mile polectany. Wie pan o mnie niemal tyle, ile powinien wiedzieć mój agent ubezpieczeniowy. Znowu obdarzył mnie tym swoim przyklepionym uśmiechkiem.

— To, co pan przed chwilą powiedział o trudnej drodze homo sapiens do ciągle jeszcze nie osiągniętej dynamicznej stabilizacji, która je'st nie stanem, lecz ruchem każdej społeczności, i to ruchem w pożądanym kierunku, potwierdza trafność moich wniosków i mojego... wyboru. Pan żartował, oczywiście, ale ten żart był bardzo symptomatyczny. Ktoś inny nie mówiłby w ten sposób z nieznanym. A jeśli chodzi o wiadomości, to znam każdy, najdrobniejszy fakt z pańskiego życia. Nie twierdę, że wiem o panu wszystko, bo zapewne niemało subtelności natury emocjonalnej pozostanie zawsze poza zasięgiem mojego umysłu... i nie tylko mojego, lecz pańskiego także. Zgódźmy się zatem, że wiemy o panu c o najmniej tyle, ile pan sam. Śledziliśmy każdy pana krok od momentu, w którym znalazł się pan na liście załogi „P—G”, a równolegle, w pierwszym etapie, odtwarzaliśmy pańską przeszłość. Proszę mi wierzyć, że zrobiliśmy to precyzyjnie.

Odszedłem od drzwi i usiadłem na wprost niego. Przez chwilę wpatrywałem się w jego pustą twarz, jakbym mimo wszystko miał nadzieję dostrzec i zdemaskować odcisnięte na niej piętno obłędu, ale w gruncie *rzeczy* przestałem już wierzyć, że ten człowiek jest szaleńcem lub choćby tylko kawalarzem. Wyglądał niedorzecznie, to, co mówił, brzmiało niedorzecznie, jednak z wolna narastało we mnie przekonanie, że mam do czynienia z kimś, kto z nie znanych mi, mrocznych i zapewne podejrzanych, lecz w pewien sposób ważkich, a w każdym razie zupełnie konkretnych powodów wtargnął raz na zawsze w moje życie i że tylko od jego woli zależy, jak to życie potoczy się dalej.

— Proszę — odezwałem się po krótkiej pauzie. — Pojawiła się liczba mnoga. Już nie: „wiem”, tylko: „wiemy”. „Śledziliśmy”. „Zrobiliśmy”. My, to znaczy kto?

— Reprezentuję pewne określone grono... pewien, nazwijmy to tak, ośrodek, o którym nie mógł pan słyszeć. O naszym istnieniu wie, jeśli dobrze pamiętam, pięciu ludzi na całej Ziemi.

Pan będzie szóstym,

— Co pan powie? — mruknąłem. — Czy to jakaś nowa sekta? Jeśli zaszczyciliście mnie tak niezwykłym zainteresowaniem, to powinniście wiedzieć, że nigdy nie miałem skłonności do mistycyzmu.

— Nie. Nie sekta, chociaż przedmiotem naszych dociekań jest istota życia. Życia w ogóle, rozumie pan? Ale nie zajmujemy się absolutnym celem, ku któremu ono zmierza... jeśli taki cel istnieje. A przynajmniej nie więcej niż przeciętna rozumna istota, która choćby wbrew swojej woli stawia sobie pytania dotyczące spraw ostatecznych. Terenem naszej pracy, całkiem racjonalnej i szczerze mówiąc szukającej rozwiązań bardzo prostych, choć niezmiernie skomplikowanych w realizacji, są ściśle określone przesłanki życia, jego rzeczywistej, głęboko pojętej jakości. Oczywiście myślimy i o perspektywach, lecz także jasno sprecyzowanych, wymiernych i raczej bliskich aniżeli tonących w najodleglejszej przyszłości. Nie wyrzekamy się motywacji filozoficznej, bo po pierwsze 'na szczeblu cywilizacji, jaki osiągnęliśmy, byłoby to niemożliwe, a po drugie precyzując nasze plany, musieliśmy najpierw uzgodnić pomiędzy sobą, czy zgadzamy się co do oceny moralnej podjętego dzieła, zważywszy zupełnie bezprecedensowe ryzyko, jakie to dzieło za sobą pociąga. Ale teraz nie zajmujemy się już filozofią. Prowadzimy prace naukowe i to bardziej techniczno-konstrukcyjne aniżeli badawcze. Zresztą sam pan się przekona. Czy pojedzie pan ze mną?

Uśmiechnąłem się mimo woli, choć zapewne nie był to najweselszy uśmiech.

— A czy pan pojechałby na moim miejscu?

— Nie — rzekł z przekonaniem. — Ale gdybym ja albo którakolwiek z osób, które tu reprezentuję, miał pański charakter, usposobienie, mówiąc zwięźle: pańską osobowość, to i nasza obecność tutaj, i nasza praca byłyby całkowicie zbędne. A w każdym razie poradzilibyśmy sobie sami i dzisiaj nic nie przeszkodziłoby panu ani w zjedzeniu śniadania, ani w lekturze tej pięknej powieści — wskazał książkę, którą przyniosłem z sypialni.

— O ile dobrze zrozumiałem, chce pan powiedzieć, że nie możecie się beze mnie obejść. Co zatem stanie się z waszym wielkim „dziełem”, jeżeli odmówię?

Potrząsnął głową. •

— Nie odmówi pan. Gdybym nie był zupełnie pewien, że wyjdziemy stąd razem, wstrzymałbym się z moimi odwiedzinami albo poprzedziłbym je pewnym... eksperymentem. Ale pan przecież już wie, że można i należy traktować mnie poważnie, prawda? Oczywiście, powiedziałem panu bardzo mało. Jeśli teraz usłyszę „nie”, będę musiał podać panu więcej informacji. Z pewnych względów wolałbym tego nie robić... a poza tym kilka minut spędzonych wspólnie w naszym ośrodku oszczędziłoby panu i mnie mnóstwa niepotrzebnych słów, które w innym wypadku musiałyby zostać za chwilę wypowiedziane. Zaintrygowałem pana, o co w tej sytuacji było zresztą niezmiernie łatwo i czego żadną miarą nie mogę przypisać sile swojej argumentacji. Wiem jednak doskonale, że samo zaciekawienie nie wystarczyłoby, aby spełnił pan moją prośbę. Ale pan mi już uwierzył, że chodzi o sprawę najwyższej wagi, a jest pan człowiekiem o zbyt silnym poczuciu odpowiedzialności, aby rozumiejąc doniosłość mojego zaproszenia powoływać się na swój urlop, a nawet na zbliżającą się wielką wyprawę. Jest pan wszechstronnie wykształcony, a pański umysł mniej lub bardziej świadomie ucieka od wszelkich szablonów i stereotypów. Należy pan do nielicznych ludzi 'otwartych, bez względu na zasób posiadanej wiedzy i doświadczenia. Jest pan inteligentny, powściągliwy, a nawet nieco nieśmiały; wrażliwy i dobry. Pańskim myśłom o otaczającym nas świecie towarzyszy serdeczna troska, wolna jednak od sentymentalizmu. Pana dzieciństwo, od dwunastego roku życia, nie było szczęśliwe, tak jak i młodość, ale nie miał pan o to pretensji do nikogo. Pracował pan ciężko, konsekwentnie, a zarazem spokojnie, aby dostać się do załogi „P — G”, równocześnie jednak zachował pan życzliwość i miejsce w sercu dla każdego, z kim tylko los pana zetknął. Jest pan odważny. Wczoraj wieczór uratował pan dziewczynę, chociaż automaty ratownicze były nieczynne i tonąca mogła pociągnąć pana za sobą..

— Nonsens — wzruszyłem ramionami. — Obliczyłem na zimno szansę. Po prostu ja bardzo dobrze płyвам. To, co zrobiłem, nie

miało nic wspólnego z odwagą. A teraz, jeśli skończył pan już pięć hymnów na moją cześć...

— No, właśnie — przerwał. — Wiedziałem, że pan tak zareaguje. Mówiąc szczerze dopiero

wczoraj wieczór, obserwując pana akcję na przystani, doszedłem do wniosku, że mogę przyjść tutaj już dzisiaj. Przekonał mnie o tym sposób, w jaki rozstał się pan z tą kobietą... bardzo ładną przecież.

— Czy wczoraj występował pan przebrany za starego konserwatora? — spytałem cierpko. Dotąd cały czas słuchałem go spokojnie, aż nagle, w najmniej spodziewanym momencie, zaczęła mnie ogarniać irytacja. — Czy też może za dziewczynę w białym czepku?

— Nie, nie przebrałem się, chociaż co do dziewczyny to istotnie ^ pewien sposób pokierowałem jej ruchami. Widzi pan, dotychczas mieliśmy wprowadzić bardzo wiele danych, ale wszystkie one były zebrane, że tak powiem, zdalnie. Wczoraj po raz pierwszy ujrzałem pana na własne oczy i proszę mi nie mieć za złe, że chciałem wykorzystać tę okazję, aranżując sytuację, w której sam mógłbym się przekonać o słuszności moich poprzednich wniosków. Nie, nie — zaprzeczył tym samym zbyt łagodnym, spokojnym głosem — nie eajmuję się wrzucaniem kobiet do oceanu w celu sprawdzania czyichś umiejętności pływackich lub własnych spekulacji myślowych, mających w dodatku zupełnie przypadkowy związek z pływaniem. Ta lekarka naprawdę tonęła... tyle że może niekoniecznie i akurat wczoraj. Oczywiście, rozumie pan, że ona sama nic o tym nie wie. Nawet ja nie potrafiłbym powiedzieć, czy to zajście miało miejsce miesiąc temu, czy też nastąpiłoby dopiero za kilka dni. Na inną ingerencję niż czasowa z pewnością nigdy bym sobie nie pozwolił. A teraz co się tyczy zimnego, jak pan mówi, obliczenia szans... czyż interesowałby nas człowiek wpadający w panikę lub przeciwnie, rzucający się na oślep w rozszalałe morze, kiedy tylko ktoś zawoła „ratunku”? Przecież nie byłoby mnie tu dzisiaj, gdyby pan, niezależnie od wszystkich cech charakteru, które wymieniłem, nie miał także przygotowania astronautycznego. Żadnego człowieka nie zdążylibyśmy sami wykształcić jeszcze i w tym zakresie... to musieli zrobić za nas inni.

— Zaraz, zaraz. Więc kiedy ona się właściwie topiła? Wykonał nieznaczny ruch głową, jakby chciał opanować uczucie zniecierpliwienia.

— Powiedziałem panu, że nie wiem... i jest to najszczerza prawda. Kontinua, znane ziemskiej nauce, nie są jedyne... zresztą nawet i one mogą być opisywane w rozmaity sposób. To stwarza pewne możliwości manewrowania czasem. Oczywiście • zawsze w danym momencie ograniczonego rozpiętością skali... ale proponuję, żebyśmy te sprawy odłożyli na później. Czy możemy już iść?

Podniosłem się i zacząłem chodzić po pokoju. W pewnej chwili stanąłem. • '

— Czy ten wasz „ośrodek” jest daleko stąd? — usłyszałem swój własny głos, brzmiący tak, jakby mówił ktoś niesłychanie pewny siebie i najzupełniej mi obcy.

— Bardzo blisko. Leży w masywie Sierra Nevada, po wschodniej stronie głównego pasma, tuż przy granicy rezerwatu.

— Kiedy będę mógł wrócić?

— Dzisiaj, jutro, za miesiąc lub... nigdy. Poza tą ostatnią ewentualnością, każdy inny termin będzie zależał tylko od pana.

— Aha. A łącznie z tą ewentualnością?

— Gdyby pan miał nie wrócić, to może się tak zdarzyć jedynie w wyniku decyzji, którą także będzie pan musiał podjąć sam. Mój pojazd czeka na plaży.

Pojazd przypominał trochę karetkę, którą odjechała, uratowana przeze mnie lekarka, tak bardzo podobna do Kirsti. Od wszystkich znanych mi ziemskich środków lokomocji różnił się jednak tym, że dla siedzących wewnątrz był zupełnie nieprzezroczysty. Poza tym nie było w nim żadnych ekranów, tablic świetlnych ani urządzeń sterowniczych. Zupełnie jakbym się znalazł w niedorzecznie wielkiej trumnie o zaokrąglonych rogach, wyposażonej w fotele dla czterech nieboszczyków. Dwa z nich pozostały puste.

— Jesteśmy na miejscu — powiedział w pewnej chwili człowiek, który przedstawił się jako Robert Stanza i były to pierwsze słowa, jakie padły wewnątrz latającego pudła, odkąd zamknęły się nad naszymi głowami jego prostokątne pokrywy. Chwilę później ponownie ujrzałem błękit nieba. Wyskoczyłem przez niską burtę i rozejrzałem się.

Staliśmy w połowie wysokości stromego zbocza, z widokiem na kamienistą, pustą dolinkę, otoczoną wykruszonym skalnym murem.

Przez chwilę uległem wrażeniu, że nadal jestem na trzecim poziomie 'Stacji Alberta i mam przed

oczami okolice Krateru Pliniusza. Ale ten krajobraz nie należał do mojego obecnego życia, on stanowił część mojej młodości. Po tych górach chodziłem jako chłopiec, zawsze z zapasem wody i staroświeckim kompasem, jakbym naprawdę wierzył, że nie ma żadnych automatów, gotowych w każdej chwili pośpieszyć mi z pomocą i że muszę koniecznie dotrzeć do najbliższej farmy, zanim rudoszary pył, niesiony wiatrem znad wielkiej pustyni, nie zatrze prowadzących do niej śladów. Przypomniałem sobie, jak to na pożegnanie Wiktor „ostrzegał” mnie przed Komańczami i uśmiechnąłem się.

— Podoba się panu tutaj? — zabrzmiał obok mnie miły głos. — Prawda, pan lubi ustronne miejsca. Poza tym to przecież krajobraz pańskiego dzieciństwa.

Czy ten człowiek czyta w moich myślach?

— Owszem — skinąłem głową. — A w dodatku wasz ośrodek, przynajmniej na pierwszy rzut oka, wydaje mi się całkiem sympatyczny — zadrwiłem.

— Teraz będziemy musieli przejść kawałek pieszko — odpowiedział z niezmaconym spokojem. — Oczywiście mamy i inne drogi, ale te pozna pan dopiero wtedy, kiedy postanowi pan pozostać z nami. Bardzo mi przykro.

Odwróciłem się. Stał dwa kroki za mną, na płaskiej powierzchni ogromnego głazu, który jego fruwająca trumna obrała sobie za lądowisko. Ale po samym osobliwym pojeździe nie pozostało ani śladu. Zniknął, nie wiedząc kiedy i jak, **bez** najmniejszego szmeru, jakby rozpułnął się w powietrzu.

— Pójdę pierwszy, dobrze? — zaproponował, po czym nie oglądając się ruszył w górę wąską, skośną półką, trawersującą zbocze pod wiszącą tuż nad nami kościstą skałą.

Wspinaczka trwała krótko, ale stojące dokładnie na wprost stoku słońce prażyło jak ogień. Kiedy za którymś z kolei kamiennym żebrzem odsonił się nagle niewielki, prostokątny otwór jakiejś jaskini czy starej sztolni, koszula łąpiła mi się do pleców jak posmarowana piekącym klejem. Odwykłem od słońca, w ziemskim rozumieniu tego słowa.

Człowiek w niebieskiej pelerynie obrzucił mnie zachęcającym spojrzeniem, po czym wsiąkł w czarną plamę grotu.

Tak, to była sztolnia, pamiątka czasów, kiedy po opadnięciu szczytowej fali gorączki złota poszukiwacze rozbiegli się po całej tej pustynnej krainie, tropiąc ślady żółtego metalu, który miał spełnić wszystkie ich, skądinąd niezbyt skomplikowane, marzenia. Złoto znajdowali rzadko, ale niekiedy odkrywali przypadkiem cienkie żyły srebra i wtedy na kilka miesięcy zamieniali się w prawdziwych górników, ryjąc płytkie szyby i korytarze, skąpo obudowane bezcennym w tych stronach drewnem. Złoto! Jakiż przemożny, magiczny urok musiał na nich wywierać sam dźwięk tego słowa! I pomyśleć, że działo się to wszystko zaledwie kilkaset lat temu... Ile potu, ofiar, krwi i jak niewiele szczęścia nawet dla tych, którzy już, już byli pewni, że właśnie im ono dopisało.

Mój przewodnik przeszedł jeszcze dwadzieścia kroków, a następnie stanął i zrobił nieznaczny ruch ręką. W ścianie chodnika powstał otwór, przez który wpadła smuga łagodnego światła. Uśmiechnąłem się, bo przyszło mi na myśl, że ten człowiek prowadzi mnie do baśniowego sezamu, do skarbów ukrytych We wnętrzu góry i czekających tylko na takiego jak ja ubogiego, samotnego młodzieńca — i wykształconego, i inteligentnego, i wrażliwego, i jaki . tam jeszcze byłem, jeśli wierzyć w to, co dzisiaj o sobie usłyszałem. Aha, także dobrego pływaka i astronautę.

Czarodziejskie drzwi przeszedłem zupełnie zwyczajnie, uważając, ^h by nie potknąć się o wysoki, owalny próg. Natychmiast usłyszałem za sobą cichy szelest. Odwróciłem się i ujrzałem, że od chodnika, prowadzącego do słonecznej dolinki, odgradza mnie znowu szczelna zaporą, której powierzchnia z tej strony była gładka jak szkło.

Przed nami uciekał w głąb tunel o przekroju koła. On z całą pewnością nie należał do starej kopalni. Powłoka gigantycznej rury lśniła czystym, miedzianym blaskiem.

— Sezamie, otwórz się — powiedziałem, mimo woli zniżając głos. — To nie może być prawda. Pan po prostu opowiada mi bajkę albo też ja sam śpię sobie teraz słodko w moim domku pod palma-mt i śni mi się grota hrabiego Monte Christo. Gdzie są te skrzynie, pełne złota i klejnotów?

— To, co pan tutaj widzi, zbudowali ludzie, którzy wprawdzie mieli wiele wspólnego z historią, ale nic a nic z bajkami. Ten korytarz, jak i cały podziemny ośrodek, pochodzi z

początku dwudziestego pierwszego wieku — mówił dalej. — Góra jest tak po dziurawiona, że przypomina tysiącrotnie powiększoną bryłę pumeksu. My wykorzystujemy jedynie znikomą część dawnych pomieszczeń, przy czym, rzecz jasna, wyposażyliśmy je we własne urządzenia. Bo pierwotnie funkcjonował tutaj ściśle tajny instytut zbrojeniowy. Stąd te zamaskowane wejścia, no i sama lokalizacja. Ale to właśnie nam odpowiadało — odetchnął głęboko, z wyraźną ulgą.

Poczułem lekki zawrót głowy i odruchowo oparłem się o płytę zamykającą wejście.

— Och, przepraszam — zawołał cicho — zapomniałem pana uprzedzić. Mamy tutaj trochę inną atmosferę niż na powierzchni. Więcej tlenu i hel zamiast azotu... panu, jako astronautcie, nie robi to chyba różnicy?

— Nie. Nie robi — oprzytomniałem. Z głębi dobiegł narastający świst i nagle przed nami pojawił się otwarty pojazd. Miał kształt przepołowionego walca, którego dolna, zaokrąglona część była dokładnie dopasowana do przekroju rurowatego korytarza. Usiadłem w ostatnim z pięciu ustawionych jeden za drugim foteli. Stanza zajął miejsce tuż przede mną.

Pojazd ruszył. Momentalnie ściany tunelu zbiegły się i zniknęły, pozostawiając jedynie skaczące pasma czerwonego światła. Chwilami wydawało mi się, że przelatujemy przez jakieś hale czy rozjazdy, światło przygasało i rozbłyskiwało znowu, ale nie udało mi się dostrzec ani tym bardziej zapamiętać niczego konkretnego. Zresztą cała podróż nie trwała dłużej niż dwie, trzy minuty. Pojazd z niskim, zamierającym gwizdem zaczął gwałtownie zwalniać, aż stanął.

Ujrzałem wysoką, prostą ścianę pozbawioną jakichkolwiek otworów czy wypukłości poza dwiema okrągłymi płytkami na wysokości ludzkiej głowy. Obejrzałem się. Ściana zamykała ogromną salę, jakby bezkresną, ponieważ jej perspektywa ginęła w gęstniejącym z odległością mroku. Dno hali przecinały setki prostych bądź powyginanych szerokich rynien, krzyżujących się i rozbiegających we wszystkich kierunkach. Kształtem i rozmiarami te rynny odpowiadały dokładnie dolnym wgłębieniom korytarza, tak że pojazdy jak ten, który przywiózł nas w to miejsce, mogły się w nich poruszać zupełnie swobodnie.

— Jesteśmy u celu — powiedział Stanza. Wsiadł i stanął przodem do ściany na wprost owych dwóch ma-

łych płytek. Lita powierzchnia natychmiast pękła, ukazując zarys szerokich, prostokątnych drzwi, których skrzydła cicho rozstąpiły się na boki.

— Proszę — usłyszałem.

Wyprostowałem się i nie patrząc na osobnika w pelerynie przeszedłem obok niego. Zaraz za wejściem stanąłem. Byłem w pomieszczeniu co najmniej równie wielkim jak ten jakiś dworzec, stanowiący metę pierwszego etapu naszej podziemnej drogi. Przedemną, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się ustawione skośnie względem drzwi niesłychanie długie pulpity z owalnymi, świecącymi ekranami i mnóstwem kontrolnych monitorów. Nieliczne stanowiska dyspozycyjne tkwiły pośrodku białych, podkowiastych stołów, wyposażonych w barwną klawiaturę. W sali nie brak też było zwyczajnych stolików i foteli, a na lewo, pod boczną ścianą ujrzałem szeroki tapczan. Obok tego ostatniego, stała lampa, oświetlająca proste biurko i nieco odsunięte od niego wygodne krzesło. Ten kącik, śmiesznie mały w porównaniu z ogromem mrocznego wnętrza, do którego przecież należał, wyglądał niedorzecznie swojsko i przytulnie. Zupełnie jakby ktoś, kto go zajmował, wyszedł tylko na chwilę załatwić jakąś drobną sprawę, tak że nawet nie oplotało mu się gasić światła. Kilka metrów przed biurkiem ciemniała duża, martwa płyta zwykłego odbiornika holowizyjnego.

— To tylko centrala energetyczna — odezwał się Stanza, jakby odpowiadając na moje nieme pytanie. — Zwiedzenie całości dawnego ośrodka zajęłoby panu kilka dni. Doprawdy, szkoda na to czasu. Bardzo, dużo dzieł rąk i umysłów ludzi z dawnych epok zasługuje na wieczny podziw. W wielu zabytkach, dziś niby martwych, jak na przykład w posągach bogów, w których od wieków nikt już nie wierzy, przetrwał mimo to pewien urzekający majestat. Niestety, istnieje też sporo pomników, które muszą budzić zupełnie inne uczucia. W tym, na co pan tutaj patrzy, nie ma nic wielkiego ani wzniosłego, pomimo ogromu myśli i wiedzy, jaki niegdyś wło-żopo w budowę i urządzenie tego podziemnego giganta. Żaden normalny człowiek nie będzie przecież wzdychał z zachwytu, zwiedzając na przykład średniowieczną salę tortur, choćby nie uszła jego uwagi znakomita jak na owe czasy funkcjonalność, a nawet i doskonałość kształtów katowskich narzędzi. Tu, gdzie jesteśmy, wszystko służyło zabijaniu

ludzi i zagrażało już nie tylko rozwojowi, lecz zgoła istnieniu ziemskiej cywilizacji.- Interesował się pan przecież historią, więc na pewno wiele razy rozmyślał pan o tych niezliczonych dziejowych depresjach, .o hekatombach całych narodów, wreszcie o tak niedawnym przecież kryzysie cywilizacyjnym, rozwiązany w gruncie rzeczy dość szczęśliwie jedynie dzięki temu, że do dwudziestu jeden subcywilizacji istniejących na tej planecie ludzie dodali jeszcze jedną: kosmiczną i dopiero na jej terenie doszli w końcu do porozumienia. Ale mogło się zdarzyć inaczej... — Wszystko to mówił z jakąś szczególną intonacją, cały czas patrząc mi badawczo w oczy, jakby chciał się przekonać,-czy jego słowa robią na mnie pożądane wrażenie.

— No, tak — powiedziałem z przekąsem — banalne prawdy nie przestają być, jak wiadomo, prawdami. Ale chyba nie po to pan mnie tutaj przywiózł, żebyśmy, wymieniwszy zdawkowe uwagi na temat przeszłości Ziemi, rozstali się i odeszli, każdy do swoich zajęć. Więc może lepiej będzie, jeśli zechce pan przejść do rzeczy. Nadal na przykład nie mam pojęcia, do czego to mianowicie mogę wam być aż tak bardzo potrzebny? Wydawać by się mogło, że -świetnie radzicie sobie tutaj bez pomocy obcych, wrażliwych, inteligentnych, wszechstronnie wykształconych... i tak dalej.

— Przecież zaczyna pan się już domyślać... Pokręciłem głową.

— Może. A może nie. W każdym razie...

— Wolałby się pan mylić — uzupełnił. — Zgadłem, prawda? Otóż nie musiałem zgadywać. A pan się nie myli... Pomyślałem chwilę, po czym przyjrzałem mu się uważnie.

—»- Istotnie, wszystko na to wskazuje — przyznałem. — Ale rzecz nie w tym, że wolałbym się mylić. Po prostu nie mogę uwierzyć w słuszność własnych wniosków i podświadomie szukam innego rozwiązania. Pewnie pan się dziwi, że tak spokojnie rozważam to przypuszczenie, bo na razie mimo wszystko chcę mówić jedynie o przypuszczeniach. No cóż, myślę, że zawodowy demonolog w czasach, o których pan przed chwilą wspominał, kiedy owe jakże funkcjonalne sale tortur tętniły, jeśli można to tak określić, życiem, także nie przestraszyłby się zbyt na widok diabła z rogami i ogonem. A ja jestem zawodowym astronautą i w końcu trudno ode mnie wymagać, bym wpadał w panikę na widok istoty z innego układu słonecznego. Drobną różnicą polega jedynie na tym, że diabły nigdy nie przekroczyły progu ludzkich wyobrażeń, natomiast, co muszę niestety przyznać, pana istnienie wydaje mi się całkowicie realne. Dobrze, założmy, że się nie mylę. W takim wypadku muszę od razu uprzedzić, że o ile zapewne powitałbym pana życzliwie, a nawet serdecznie, gdybyśmy się spotkali gdzieś w Galaktyce, po wylądowaniu wyprawy „P—G” na pańskiej planecie, o tyle wasza obecność tutaj, ho sam pan stwierdził, że jest was więcej, stanowi dla mnie niemiłe zaskoczenie. Sądzę, że to określenie dobrze oddaje uczucie, jakiego w tej chwili doznaję. No, cóż. Przekonałem się, że wie pan o ludziach dostatecznie dużo, żeby nie zwabiać do swojego „ośrodka” jednego skromnego osobnika dla przeprowadzenia na nim wiwisekcji lub sprawdzenia, jak też długo potrafi wyżyć bez jedzenia. Zakładam, że reprezentuje pan społeczność dostatecznie przywoitą, że skoro już tutaj jestem, dowiem się, skąd przybywacie i po co, a wreszcie czego naprawdę ode mnie chcecie. To na razie tyle — zakończyłem z nie całkiem nawet wymuszonym uśmiechem.

— Nie oczekiwałem od pana wybuchu entuzjazmu — odezwał się miękko po chwili — ale chwileczkę... — zrobił krok do przodu i zastygł w wyczekującej postawie. Zza któregoś z kolei pulpitu wyłonił się robot, podobny trochę do wielkiej żółtej mrówki z przednią częścią tułowia odchyloną ku górze. Taszczył on ogromny fotel, obity złotawą tkaniną. Kiedy złożył swój ciężar obok tapczanu i wrócił tam, skąd przyszedł, Stanza dał mi znak, żebym podążył za nim. Szybkim krokiem przebył odległość mniej więcej trzydziestu metrów, dzielącą wejście od „kącika mieszkalnego”. Następnie zajął miejsce w odsuniętym od biurka krzesło, a mnie wskazał oczami świeżo dostarczony fotel. Jeszcze raz uśmiechnąłem się do uprzejmego osobnika w pelerynie, podszedłem i usiadłem nie w fotelu, lecz na tapczanie, na wprost niego.

— Słucham.

Znowu przez chwilę milczał, patrząc w przestrzeń ponad pulpitemi. Światło lampy padało teraz na jego twarz, która mimo to nie przestała Wyglądać tak, jakby leżał na niej głęboki cień. Była stara, ciemna, nieostra, nadal nie mówiła mi nic.

— Wkrótce zostawię pana samego — zaczął w końcu — aby pan mógł spokojnie obejrzeć

kilka programów, które przygotowaliśmy na początek. Przedtem jednak...

— W jaki sposób wydostanę się stąd, jeśli pana nie będzie? — przerwałem. — Przymińmy, że podobno tylko ode mnie zależy, kiedy wrócę do domu. A może nasza umowa przestała już obowiązywać? Może w ogóle nie uznajecie żadnych waszych zobowiązań względem... ludzi?

— No, właśnie — skinął głową. — Najpierw muszę rozproszyć pana wątpliwości... chociaż, mówiąc szczerze, mógłbym to sobie darować, ponieważ w gruncie rzeczy pan już mi ufa. Ale powiedzmy, że tego wymaga kurtuazja, jaką jestem winien gościowi...

Miał rację. Ufałem mu. Byłem niemal pewny, że to jakieś „grono”, które on reprezentuje, nie ma złych zamiarów ani względem mnie, ani względem nikogo na Ziemi. Jednak to przeświadczenie, skądinąd najzupełniej irracjonalne, stało się powoli tak silne, że w końcu musiało zapalić w moim umyśle ostrzegawcze światło. Wróciło pytanie, które po raz pierwszy zadałem sobie patrząc na znane mi od dzieciństwa góry, ale którego teraz nie skwitowałem już pobłażliwym uśmiechem. »

— Czy umiecie czytać w myślach? — rzuciłem ostro.

— Tak — odpowiedział spokojnie.. — Nie ma w tym nic niezwykłego. Wy także wykorzystujecie w leczeniu, badaniach psychotechnicznych, a nawet w komunikacji fale biologiczne, że nie wspomnę już o efekcie Kirliana, .tylko używacie do tego celu skomplikowanej aparatury. My znaleźliśmy prostsze sposoby posługiwania się bioprądami i bioradiacją. Ale wracając do tematu, powtarzam raz jeszcze: może pan opuścić to podziemie, kiedy tylko pan zechce. Jeśli nie będzie mnie w pobliżu, wystarczy sygnał myślowy.

— Czy obcując z ludźmi nie moglibyście spowodować, aby to odgadywanie myśli odbywało się na zasadach wzajemności? — spytałem cierpko. — Ja akurat, przynajmniej na razie, rozmawiając z panem, nie muszę się silić na maskowanie swoich ukrytych zamiarów, bo w tej chwili nie mam jeszcze żadnych. Ale czy taka jednostronna przewaga stanowi waszym zdaniem przyzwoitą podstawę lojalnego porozumienia?

Rozłożył bezradnie ręce.

— Niestety, na to, żeby przestroić pana receptory, a przede wszystkim ożywić te, z których istnienia sam nie zdaje pan sobie sprawy, trzeba by całych długich lat. Natomiast ja przecież nie jestem w stanie zapomnieć tego, z czym żyłem się od dziecka.

— Rozumiem — skinąłem głową. — Po prostu póki co jestem dla was zbyt dziki. Pięknie. Więc kiedy tylko pomyślę, że chciałbym wyjść, pan się zjawi i wyprowadzi mnie na słońce. A co będzie, jeśli prosto stąd pojadę do Rady Naukowej i poinformuję nie pięciu, 'lecz pięciuset ludzi o istnieniu waszego ośrodka?

— Znamy pana zbyt dobrze, aby obawiać się, że opowie pan o naszym spotkaniu komuś niepożądanemu. Zresztą zachowujemy dyskrecję nie dlatego, żebyśmy mieli coś do ukrycia przed mieszkańcami Ziemi. Jeśli chodzi na przykład o profesora Amosjana, to nie ma najmniejszych przeszkód...

Wiedział, rzecz jasna, że pomyślałem o Aramie Amosjanie, historyku i teoretyku nauki. Amosjan był jedynym bodaj profesorem, z którym w czasie studiów, a także po nich, do czasu rozpoczęcia stażu w Instytucie Galaktycznym, łączyły mnie stosunki towarzyskie, a nawet więzy nie pozbawionej serdeczności, choć ostrożnej, przyjaźni.

— No^dobrze. Więc skąd jesteście? Westchnął.

— Mógłbym panu powiedzieć —; rzekł po chwili. — Ale proszę mi wierzyć, że to akurat nie ma kompletnie żadnego znaczenia. Mówię najszczerzą prawdę. Jeśli przyjmie pan naszą propozycję, to mój świat stanie się inny, a kto wie, czy nie będzie także gdzie indziej. Poza tym istnieje niewielka wprawdzie, lecz całkowicie realna możliwość, choć w pana uszach zabrzmiało to trochę dziwnie, że w takim wypadku nas albo nigdy nie było na Ziemi, albo też znamy się nawzajem świetnie i przyjaźniemy od wieków. Nie przesadzam. Jeśli natomiast pan odmówi, co — jak już wspominałem — uważam za mało prawdopodobne, wtedy cóż, wyręczy pana ktoś inny. Nie: „zastąpi”, bo to niemożliwe, lecz właśnie „wyręczy”. Taka zamiana zmniejszyłaby jednak szansę powodzenia. Ale gdyby pierwsza próba, ta, którą właśnie podejmujemy, miała zakończyć się fiaskiem, wówczas... No cóż, wówczas zapewne oficjalnie poprosilibyśmy was o pomoc. Teraz byłoby to przedwczesne, ponieważ na Ziemi niewielu ludzi potrafiłoby zrozumieć nasze intencje i pojąć tałą wielkość zamierzenia.

—Aha — mruknąłem. — Może się zdarzyć, że was tu nigdy nie było. Takie małe manewrowanie czasem... to są, zdaje się, pańskie własne słowa. Tyle że tym razem skala byłaby odrobinę większa. Ale to jeszcze drobnostka. Bo nadto cały wasz świat odnajdzie się gdzie indziej, a także inny. Proszę teraz uważać. Czy się myślę wnioskując, że dokładnie to samo dotyczy naszego, ziemskiego świata, jeżeli zaakceptuję wasz pomysł i zgodzę się uczestniczyć w jego realizacji?

— Nie myli się pan. Właśnie dlatego powiedziałem, że nie wszyscy potrafiliby obiektywnie osądzić nasze intencje i plany.

— No, myślę! — parsknąłem. — A czy wydają się panu, że ja osądzę je bardziej obiektywnie, przystając potulnie na przeniesienie mojej planetki w konstelację, powiedzmy, Niedźwiadka, gdzie Otrzyma siedem księżyców albo właśnie żadnego i gdzie moi ziomkowie, przybrawszy postać żółtych mrówek, jak wasze roboty, będą oddychać metanem, a narkotyzować się tlenem?! Ale pomińmy nawet sprawę Ziemi, choć dla mnie zawsze Ona pozostanie najważniejsza. Założmy na chwilę, że istotnie, jak pan to określił, spróbuję „obiektywnie” ocenić wasze przedsięwzięcie. Wiem o nim wprawdzie bardzo mało, ale jak się okazuje dosyć, aby w związku z nim zadać panu jedno pytanie. Podobno zajmujecie się głęboko pojętą jakością życia. I to wasze „zajmowanie się” nie ma charakteru kontemplacji ani poszukiwań kamienia filozoficznego, tylko polega na konkretnych pracach... jak to było?... aha, „techniczno-konstrukcyjnych”. Czy nie korci was przypadkiem rola jakiegoś prarozumu, stwórcy wszechrzeczy?

— Wszechżycia. Tak, można by to ostatecznie nazwać i w ten sposób — odrzekł obojętnym tonem. — A mimo to naprawdę nie jesteśmy mistykami. Bóg wygnał prarodzców z raju, prawda? O ile wiem, ten wątek powtarza się niemal we wszystkich ziemskich religiach. Oczywiście ci wypędzeni nie pozostali bez szans, to byłoby zbyt okrutne. Ale czy wskazano im kierunek, w jakim, powinni pójść z tego Edenu, aby nie zaprzepaścić swoich szans? Ten kierunek nazywamy dziś ewolucją. Czy też ruszyli tam, gdzie musieli, dokąd pognał ich przypadkowy strumień prawybuchu?...

— Jakaż bajeczna wizja! Archanioł o dźwięcznym imieniu Big--Bang, z mieczem ognistym w dłoni. Tak, a jakże! Muszę pana jednak rozczarować. Motyw jest równie świeży i oryginalny, jak historia Fausta. Przewija się w setkach fantastycznych i pseudofilozoficznych opowiadań, a także przez niemal wszystkie galerie obrazów i sale koncertowe. Ba, na temat momentu startu ewolucji i okoliczności, które zdeterminowały jej kierunek, pisywano nawet kolosalne rozprawy o zadęciu naukowym. No, dobrze. A teraz proszę mi wreszcie powiedzieć, dlaczego pan do mnie przyszedł i czego ode mnie chcecie. Tylko już bez żadnych uogólniających refleksji ani przerośniętych. Konkretnie.

— Proszę bardzo. Chcemy, żeby pan, zamiast lecieć z wyprawą „P—G”, wsiał do statku, który czeka gotowy do drogi na orbicie... w każdym razie w rejonie wielkich planet — wycofał się w ostatniej chwili — i na jego pokładzie opuścił obszar Galaktyki. Już pańscy przodkowie, którzy uczyli się o wszechświecie jako o cztero-wymiarowym jednorodnym kontinuum, wiedzieli, że oddalanie się od Układu Słonecznego musi oznaczać także drogę w głąb czasu. Pana epoka, epoka geoniki, rozszerzyła horyzonty przestrzeni do pięciu wymiarów. Dzięki temu, na przykład, możecie latać z dowolną szybkością. A raczej bez szybkości, bo to pojęcie ma przecież sens tylko wtedy, kiedy dotyczy relacji drogi i czasu. Tymczasem geonika to dopiero próg, tak samo bliski, jak granice Galaktyki. Chcemy, żeby pan przekroczył obydwa te progi. Pańskim celem będzie Centrum wszechświata, czyli, co wynika logicznie z wspomnianych przed chwilą praw ultrafizyki, punkt i moment, w którym ten wszechświat zaczął istnieć. Czy jest pan zadowolony? To znaczy, czy mówię dostatecznie konkretnie?

— O, tak! — zaśmiałem się. — Teraz wiem już przynajmniej, czego się trzymać. To znaczy, że zaprosił mnie pan na nie zobowiązującą towarzyską zabawę, coś w rodzaju turnieju u wyobraźni. Zgoda — spoważniałem. — Akceptuję tę konwencję i odtąd będę całą sprawę traktował śmiertelnie serio. A więc — podjąłem po chwili zastanowienia — przyznaję, że podróż, jaką mi pan proponuje, jest teoretycznie możliwa... pisało się o tym już wiele lat temu. Pozostają trzy niewiadome. Rozumie pan, zakładam, że wy dysponujecie pojazdem zdolnym do odbycia tego rodzaju wyprawy, chociaż w uszach współczesnego Ziemiańszczyzny brzmi to co

najmniej fantastycznie. Ale niech będzie.

A teraz uwaga. Po pierwsze, przyjmując, że wszystko odbywa się tak, jak pan to przed chwilą przedstawił, ów superstatek znajdzie się u celu dokładnie w momencie prawybuchu. Czyli zostanie objęty eksplozją materii o gęstości równej jedyńce ze stoma zerami kilogramów na metr sześcienny, a jego powłoka będzie wystawiona na działanie temperatury, przekraczającej sto miliardów stopni. Otóż obawiam się, że nawet najgenialniejsza cywilizacja nigdy nie zbuduje pojazdu, który nie tylko przetrzymałby podobną próbę, ale i zachował w dobrym zdrowiu kierującego nim żywego pilota. Zważywszy, że tym pilotem miałbym być z waszego, przynoszącego mi zaszczyt wyboru akurat ja, powyższa wątpliwość wydaje mi się dość istotna. Moje przebogate życie wewnętrzne oraz anielski charakter, który pan był łaskaw we mnie wytropić, niczego tu niestety nie zmieniają.

Po drugie, margines błędu w programowaniu podobnego lotu byłby tak niewyobrażalnie znikomy, że nikt nie mógłby mieć pewności, czy ów pojazd zatrzyma się w odpowiednim momencie, nie zaś drobny ułamek sekundy dalej, czyli później, czyli już w innym wszechświecie, poprzedzającym obecny, jeśli wierzyć naszym astrofizykom. A taka zabawna pomyłka pociągnęłaby za sobą nieuchronnie fakt, że pilot nigdy już nie mógłby wrócić do swojej ojczyściej rzeczywistości, nawet gdyby jakimś cudem przeżył. Ale kwestia powrotu istnieje także w sytuacji, kiedy żadnego błędu nie będzie. Statek dostanie się przecież w czołową falę wybuchu i zanim najszybsze automaty nawigacyjne zdołają wykonać pierwszą operację, zostanie porwany w najzupełniej przypadkowym kierunku. Dokładnie jak ci prarodzice, którym rozgniewany archanioł zapomniał wskazać tej jedynej ścieżki, prowadzącej z raju w jako tako sensowną przyszłość. Może trafić do najodleglejszej mgławicy, z której na pewno nie odnajdzie drogi do domu, a może także popędzić przed galaktykami, ku uciesze astronomów, interesujących się kwazarami.

Wreszcie po trzecie, po co? Dla kogoś spragnionego mocnych wrażeń byłaby to z pewnością wycieczka więcej niż pożądana, ale ja osobiście obiecuję sobie dość wrażeń po mojej skromnej wyprawie „P—G”. W końcu nawet zwykły turysta, choćby najbardziej zapalony, nie planuje podróży do wszystkich zakątków, jakie teoretycznie mógłby zwiedzić. Więc powtarzam, po co? Jeśli odpowie mi pan na te trzy pytania, a zwłaszcza na ostatnie z nich, zostanę tutaj, aby przynajmniej wysłuchać z uwagą wszystkiego, co macie mi jeszcze do zakomunikowania. W przeciwnym razie podziękuję panu za towarzystwo oraz, przyznaję, wcale interesujące przedpołudnie, po czym pojedę zjeść obiad i uciąć sobie małą drzemkę. Człowieku... przepraszam, wyrwało mi się... panie Stanza, nawet mecz Wyobraźni ma swoje reguły i swoje granice. Czy naprawdę mógł pan przypuszczać, że choćby w zabawie zgodzę się zrezygnować z udziału w „Pierścieniu Galaktyki”?! Po wszystkich staraniach, jakie poczyniłem, aby dostać się do załogi i po sześćoletnich przygotowaniach! Ze ot tak, dla popisania się fantazją, w przeddzień odlotu pozbawię mój zespół kółeczka, już idealnie wpasowanego w tryby całej maszyny? Rano, w Aitheropolu, usłyszałem od pana mnóstwo niezasłużonych komplementów. Między innymi była, o ile pamiętam, mowa o tym, że mam poczucie odpowiedzialności. Otóż tak się składa, że mam je istotnie.

Odetchnąłem. Poczuję, że dzieje się ze mną coś dziwnego, jakby nagle ustąpiła jakaś mgła, z której obecności nie zdawałem sobie sprawy, a która odbierała mi-dotąd ostrość widzenia.

— Chwileczkę — powiedziałem ostro, przeczuwając odpowiedź — czy te „uproszczone” sposoby operowania polami bioelektrycznymi służą wam tylko do odgadywania cudzych myśli? Czy też niekiedy sami, ot tak, dla zabicia czasu, przeistaczacie się w nadajniki, dzięki czemu możecie ingerować w procesy zachodzące w szarych komórkach ludzi, z którymi macie do czynienia? Inaczej mówiąc, czy ja cały czas myślę pod pańskie dyktando?

— Nie. Myśli pan. samodzielnie... ja jedynie, powiedzmy, ułatwiam panu dochodzenie do określonych wniosków i staram się stworzyć odpowiedni klimat dla...

— ...osiągnięcia zamierzonych efektów — odpowiedziałem. — To ostatecznie wyjaśnia mi, z kim mam do czynienia. A ja, naiwny, przyjmowałem za dobrą monetę ten nasz „turniej wyobraźni”. Ba, sam pierwszy użyłem tych słów! Zgrabnie pan to wykombinował. Bawiliśmy

się, rzeczywiście! To znaczy ja bawiłem pana jak paja-cyk na sznurku. Dodajmy, pajacyk wyższego rzędu, bo quasi-sapiens. No tak, teraz rozumiem, dlaczego tak spokojnie, a nawet uprzejmie przyjąłem pana wtargnięcie do mojego domku i dlaczego pozwoliłem się tutaj przyprowadzić jak bezwolne ciele. A nadto dlaczego ja, nawet wśród najbliższych uchodzący za odludka i milczka, nie tylko wysłuchuję spokojnie pańskich monologów, lecz także sam gadam i gadam, przyjmując za dobrą monetę wszystkie te bajki i bzdury, jakby wyjęte z protokołu narady nadwornych astrologów z czasów Ludwika Świętego. I to takich astrologów, którzy w przeciwieństwie do innych doskonale wiedzieli o tym, "że są tylko i wyłącznie szarlatanami. Ale zrozumiałem i coś więcej. A mianowicie, że nie było żadnej wspólnej wycieczki w krainę fantazji, że pańska niesłychana propozycja została mi przedłożona w wyniku jakichś waszych ponurych i podejrzanych, ale całkiem realnych machinacji. A co gorsza, traktujecie ją najzupełniej serio. Tymczasem, choćbyście nawet i byli cudotwórcami, to wasza etyka...

— Przystałem panu cokolwiek sugerować już przeszło minutę temu — przerwał. — Tylko dlatego zorientował się pan, że przedtem istniała między nami pewna... nazwijmy to... więź myślowa. Mogłem prowadzić tę grę dalej... do końca. Ale potrzebna jest nam pańska decyzja, poprzedzona uznaniem naszych argumentów, a nie pańskie posłuszeństwo. Zapowiedziałem przecież, że wszystko będzie zależało od pana... i pan mi uwierzył. Najzupełniej słusznie — wstał, wyprostował się i spojrzał na mnie jakoś dziwnie. — A przestałem ingerować w pańskie myśli, ponieważ oswoił się pan już z sytuacją na tyle, by samodzielnie, chłodno i z rozwagą ocenić nasze intencje. Nadto przyszła pora, abym zostawił pana samego. Przygotowaliśmy kilka programów — wskazał biurko, na którego płycie teraz dopiero zauważyłem coś w rodzaju miniaturowego pulpitu z trzema rzędami maleńkich klawiszy. — Powinien pan je obejrzeć — ciągnął — i przeanalizować. Uważam, że moja obecność stanowiłaby przeszkodę, bo wiem przecież, że zawsze myślało się panu najlepiej w zupełnej samotności. Jeśli będzie pan miał jakieś pytania, odpowiem przez głośnik. Jest tutaj — wyciągnął rękę wskazując ścianę poza mną. — A gdyby pan chciał przerwać seans i opuścić to miejsce, aby zastanowić się w innym otoczeniu lub też odejść na zawsze, wystarczy mnie zawołać. Przyjdę od razu.

! jeszcze jedno. Zanim wyjdę, chciałbym na chwilę wrócić do tego, co pan powiedział o swoim poczuciu odpowiedzialności. Proszę mi wierzyć, że doceniam je w pełni. Rozumiem, że perspektywa rezygnacji z wyprawy „P — G”, dezercji, jak pan to w myślach nazywa, wydaje się panu teraz nie do przyjęcia. Ale, proszę pana, ani ja, ani moi towarzysze nie jesteśmy durniami, choć takie stwierdzenie brzmi zapewne trochę rozbrajająco. Musieliśmy się liczyć z pańskim poczuciem lojalności względem ludzi, z którymi spędził pan ostatnie pięć lat życia, a więc i z pańską reakcją na naszą propozycję. Jeżeli mimo wszystko rozmawiamy teraz w tej hali, jeśli traktujemy pana udział w realizacji naszego planu jako coś niemal Pewnego, to musimy mieć ważne powody, aby tak mniemać. Przy>-

znaję, że z pańskiego punktu widzenia sam termin naszego wystąpienia musi się wydawać co najmniej niefortunny. Ale musieliśmy odczekać, aż zakończy pan pełny cykl szkolenia astronautycznego, co nastąpiło przedwczoraj, a z drugiej strony nie możemy przecież odwlekać sprawy aż do dnia, w którym odleci pan na trzydziestoletnią ekspedycję. Ten punkt jest zatem jasny, prawda?

Natomiast wracając do istoty problemu... no, cóż, prowadząc na przykład duży statek kosmiczny, jest pan odpowiedzialny nie tylko za wszystkich obecnych na pokładzie, lecz także za tych, którzy mogą przypadkiem znaleźć się na waszej drodze. A jednak jeśli będzie pan miał do wyboru zniszczyć miotaczem jednoosobową raketkę, która na skutek błędu pilota leci prosto w was z szybkością meteorytu albo też narazić życie, powiedzmy, trzydziestu ludzi, podróżujących wraz z panem, to oczywiście wybierze pan tę pierwszą ewentualność. Człowiek jest odpowiedzialny za siebie, za swoją rodzinę, za całe społeczeństwo, za Ziemię... i za życie w kosmosie. Kolejność stopni tego logicznego ciągu może, a zdaniem niektórych powinna być akurat odwrotna. To sprawa bardzo delikatnej natury. Nasze nadzieje, związane z pana osobą, opierają się nie na czym innym, jak właśnie na pańskim poczuciu odpowiedzialności, tylko że bierzemy pod uwagę, nazwijmy to tak, odpowiedzialność wyższego rzędu. Na razie nie mam nic więcej do powiedzenia. Proszę teraz obejrzeć programy, które przygotowaliśmy dla pana. Nie żegnaj się, bo niebawem wrócę.

Skrzydła drzwi zsunęły się za nim bezgłośnie. Zostałem sam.

Chwilę siedziałem bez ruchu, po czym potrząsnąłem głową z mimowolnym niedowierzaniem.

— Szkoda, że ktoś, kto urządzał ten śliczny pokoik, zapomniał o lustrze — powiedziałem półgłosem. — Chętnie stanąłbym teraz przed nim i spojrział w oczy temu osobnikowi, który pojawiłby się naprzeciw mnie. Miałbym mu niejedno do zakomunikowania. Do zakomunikowania? O, nie! Ja tylko zadawałbym pytania. Jedno po drugim, bez wytchnienia, jakbym wbijał gwoździe w dębową skrzynię, w której udało mi się uwięzić diabła ze starej, słowiańskiej bajki.

Wstałem i omijając biurko podszedłem do pierwszego pulpitu. Przez umieszczone na nim ekrany przebiegały dane liniowe i cyfrowe, w okienkach czujników drgały kolorowe wstążki. Pulpit ciągnął

się przez całą szerokość czy też może raczej długość hali, za nim w odległości kilku metrów stał następny, dalej trzeci, czwarty, piąty... Wszystkie mrugały do mnie lśniąco oczami kontrolnych lampek, przyciągały oczy pastelowymi tarczami ekranów. „Ośrodek” pracował.

Wróciłem do biurka, przysunąłem do niego krzesło, usiadłem i oparłem się opuszkami palców o krawędź blatu. Jakiś czas wpatrywałem się w stojącą teraz dokładnie na wprost mojej twarzy ślepą płaszczyznę holowizora, po czym przeniósłem wzrok niżej. Wprawiona w biurko płytką, którą wskazał mi Stanza, miała przyciski oznaczone cyframi od jedynek do dziewiątki. Przymknąłem na moment oczy, otworzyłem je na powrót, raz jeszcze pomyślałem, że jest absolutnym nonsensem, aby mnie, najspokojniejszego człowieka pod słońcem, spotykały podobne przygody, a następnie szybkim ruchem wcisnąłem pierwszy klawisz.

To nie był zwykły holowizor. Obraz posiadał głębię, jakiej nie potrafiłby zapewnić żaden znany mi typ odbiornika. W jasnogranatowej pustce obracały się nieskończenie powolnym ruchem trzy półprzezroczyste srebrnobiałe bryły. Ich kształty wydały mi się zupełnie niedorzeczne, ale nie mogłem im odmówić osobliwego piękna. Przypominały ostro zakończone graniastosłupy gigantycznych górskich kryształów. Jednak kąty załamania ich płaszczyzn, wydłużone rozwidlenia krawędzi, wreszcie gładkie, nieco skośnie ścięte podstawy, tworzące w rzucie poziomym uproszczony rysunek gwiazd o wielkiej liczbie ramion, kazały z miejsca odrzucić możliwość naturalnego pochodzenia tych migocących tworów. Przyglądałem im się dobrą chwilę, nie bez tej autentycznej, choć nieco naskórkowej satysfakcji, która zawsze towarzyszy momentom olśnienia nieskazitelnie doskonałą formą. Ale w tym widowisku nie chodziło o formę. Przekonałem się o tym spostrzegłszy, że otoczenie kryształowych brył ciemnieje, przechodząc z granatu w głęboką czerń, i że zaczynają w nim występować cieńsze *od»* włosy, złote, świecące nitki. Chwilami układały się w jakieś rysunki, w których odnajdywałem coś znajomego, czego jednak nie potrafiłem zidentyfikować, by niemal natychmiast ulec ponownemu rozproszeniu. Raz biegły prosto, nieregularnie zagęszczonymi wiązkami, to znowu wpadały w płaskie, łuki. Naraz zrozumiałem. Patrząc na gwiazdy. Znajome, „ziemskie”, to znaczy gwiazdy widziane z Ziemi. Konstelacje nieba

południowego, wprawione w ruch tak szybki, że mój wzrok rejestrował jedynie ich przemykanie, jak klisze holografu rejestrują w nocy światła rozpędzonych pojazdów. A jeśli tak, to lśniąco na ich tle rzeźbiarskie konstrukcje zapewne mają być statkami kosmicznymi. I to tylko one mknęły z niesłychaną chyżością przez niebo, które trwało nieruchomo, a mnie wydawało się rozpędzoną karuzelą jedynie dlatego, że oczy projektora, wyświetlającego program, cały czas „odprowadzały” pokonujące przestrzeń pojazdy.

Proszę. A więc to czymś aż tak pięknym miałbym polecieć w głąb czasu. Jakże kusząca perspektywa! A może się mylę? Nie. Nie pokazywałby mi jakichś przypadkowo wybranych konstrukcji, choćby najdoskonalszych, ale pozbawionych ścisłego związku z moim ewentualnym udziałem w realizacji ich przeświatnych planów. Widowisko było przecież przygotowane specjalnie i wyłącznie dla mnie.

Z czerni, jakby z najdalszych rejonów kosmosu, wybiegły nagle białe cyferki, szybko urosły do takich rozmiarów, że mogłem je odczytać nie wyęzając zbyt wiele wzroku i zaczęły się mnożyć, tworząc na obrzeżu ekranu coraz bardziej zawiłą sieć skomplikowanych wzorów. Niektóre pojęcia, dotyczące na przykład kursu, temperatury powłoki statków czy gęstości materii, wyrażane uniwersalnymi symbolami, chwytalem w lot, ale i one, tutaj, nie mówiły mi

nic. Na domiar złego wzory rozrastały się w iście komputerowym tempie. Jeżeli ten spektakl był pomyślany jako wykład, który miał mi przynieść odpowiedź na najprostsze bodaj pytania dotyczące ich „prac techniczno-konstrukcyjnych”, to Stanza i jego koledzy, kimkolwiek byli, grubo przecenili moje możliwości percepcyjne. Już prawie połowę przestrzennego obrazu zajmowały wielopiętrowe kolumny cyfr poprzedzielanych — lub przeciwnie: połączonych, skąd miałem wiedzieć? — znakami, które widziałem pierwszy raz w życiu. Jakieś ciasne, otwarte z obu stron spirale, jakieś złamane w połowie długości odcinki łuków, bezsensowne drobne fragmenty najprzeróżniejszych brył... w końcu zacząłem wyglądać jak zbawienia choćby jednego szkolnego znaku algebraicznego, ale — rzecz jasna — niczego takiego się nie doczekałem. Wreszcie straciłem cierpliwość. Wiedziony raczej odruchem niż konkretną myślą wydusiłem klawisz zaopatrzonej numerkiem „dwa”.

Obraz się zmienił. Wzory znikły. Z trzech identycznych kryształowych graniastosłupów pozostał jeden, ale powiększony tak, że wy-

- pełnił sobą niemal cały przestrzenny kadr. Przesłonił gwiazdy, spychając czerń nieba do roli własnego twardo zaznaczonego, po-grubiałego konturu. I nagle znowu wypłynęły cyfry, znowu zaczęły gorączkowo rozbiegać się w tasiecowe wzory, znowu ujrzałem przed sobą te iluś tam wymiarowe rzuty grafów, nie dokończone rysunki i znaki, mające dla mnie akurat tyle sensu, co kółka na wodzie, w którą ktoś dla zabawy wrzucił garść kamyczków. Mogłem się jedynie domyślać, że treścią tych liczb jest tym razem nieco bardziej szczegółowa charakterystyka pojazdu.

Zmieniłem klawisz na „trójkę”, co sprawiło, że prezentowany mi statek rozpadł się na dwie połowy jak pęknięty, szklany owoc. Płaszczyzna jego przekroju była pokryta kłębowiskiem przezroczystych, a zarazem doskonale widocznych cieniutkich, lśniących linii, jakby ktoś rozwinął motek nici, rozrzucił je na dużej przestrzeni, a potem zgarnął i upchał byle jak w wysmukłym kieliszku o wyrafinowanych kształtach. Tylko w jednym miejscu ten labirynt rozstępował się, tworząc jak gdyby kokon, wewnątrz którego tkwiła głowa człowieka. Pilot, pasażer, a może więzień był obrócony do mnie profilem. Podobno ludzie na ogół nie znają własnego profilu, ale ja ani przez chwilę nie miałem wątpliwości. Autorzy „wykładu” umieścili w tym przepołowionym dziwołagu moją trójwymiarową podobiznę. Zaledwie zdążyłem to stwierdzić, z głębi ekranu zaczęły wyskakiwać znajome cyferki.

, Miałem dosyć. Mogę tak siedzieć jeszcze przez miesiąc i wyjść stąd równie mądry, jak przed zawarciem znajomości z osobnikiem w pelerynie.

Przedtem, rozmawiając ze mną, posługiwał się on, i to płynnie, moim, ojczystym językiem. Teraz, kiedy mówił za pośrednictwem swoich „szkoleniowych” zespołów informatycznych, przestałem go rozumieć. Być może, system zastosowanych przez niego dekodowników był szalenie prosty i przejrzysty, ale z pewnością nie dla mnie. Ja nie znałem nawet alfabetu, w jakim zakodowano lekcję.

No cóż — powiedziałem sobie — jeśli jakimś cudem uda im się doprowadzić do tego, że wsiądę w ten statek i polecę realizować ich tajemniczy plan, to przecież przed startem i tak nauczą mnie przynajmniej swojego matematyczno-fizycznego abecadła. Jeśli natomiast, co w tej chwili jest znacznie bardziej prawdopodobne, nie polecę, to „P — G” także dostarczy mi mnóstwo niespodzianek i pytań, na które będę musiał odpowiedzieć. A wszechświat kryje z pewnością miliardy zagadek, co najmniej równie ciekawych jak pojazdy z kryształu, zdolne ponoć fruwać do początku istnienia czasu.

Przejechałem dłonią nad płytką z klawiszami i bez namysłu wdu-siłem od razu ostatni z nich. Zobaczmy jeszcze, do czego to wszystko zmierza. Co zostawili na koniec.

Granatowoczarne niebo, statki, cyfry i symbole ulotniły się bez śladu. Ich miejsce zajęła kolorowa tarcza, podobna do zwiniętej spirali tęczy. Kilka sekund trwała nieruchomo, a następnie zaczęła bardzo posoli wirować. Nagle pokryła się nieregularną siateczką, jak spękana emalia, a moment później rozprysła na tysiące okrucichów, odsłaniając perspektywę słabo oświetlonej, gigantycznej hali, chyba produkcyjnej, o czym świadczyły nie kończące się rzędy ruchomych konstrukcji. Wszystkie maszyny pracowały w oszałamiającym tempie. Ażurowe podajniki wznosiły się i opadały, kilometrowymi ślimacznicami biegly jakies czerwone, jakby rozpalone kule, w nieregularnym rytmie pulsowały nagle, błyskawiczne ude-

rzenia wewnątrz przezroczystych światłowodów. Gdzieś tam lśniły ogromne, poziome lub pionowe tarcze, walce, pierścienie, niektóre kolosy zmieniały kształty niby złożone z luźnych, przemieszczających się klocków, tu i ówdzie widać było zwinięte na kształt pastorałów smugi sinawej mgiełki. Nad tym wszystkim leżała ciężka, nienaturalna cisza.

Całe wnętrze hali było podzielone na prostokąty, zajęte przez poszczególne kompleksy wytwórcze, raz niskie, parterowe, to znowu tworzące wielowarstwowe piramidy, których poszczególne poziomy przenikały się wzajemnie albo oddalały od siebie, co sprawiało wrażenie, że wyższe piętra wiszą swobodnie w powietrzu, ignorując prawa grawitacji. Natomiast na dole, po wolnych pasemkach przestrzeni poruszały się jakieś istoty, prawdopodobnie żywe. Widziałem je niezbyt wyraźnie, nie wiem dlaczego, bo drobne nawet szczegóły martwych konstrukcji rysowały się w tym przestrzennym obrazie niezwykle ostro, w pewnych momentach wydawało mi się jednak, że rozpoznaję sylwetki... ludzi. Wyteńczyłem wzrok i skupiłem uwagę na najbliższej części hali, tam, gdzie u dołu ekranu zaczynała się jej ginąca w nieokreślonej dali perspektywa.

Grupka poruszających się tworów uchodziła właśnie z pierwszego planu w głąb, czymkolwiek albo kimkolwiek więc były te istoty, widziałem je zapewne od tyłu. Raptem jedna z nich odwróciła się w moją stronę. Mimo woli wstrzymałem oddech. Była to młoda, ładna kobieta, której twarz ułamek sekundy później rozrosła się do nienaturalnie wielkich rozmiarów. Poznałem Kirsti, ale zanim zdążyłem zareagować na, to odkrycie, przypomniałem sobie, że przecież widowisko jest przeznaczone specjalnie dla mnie. W następnym momencie jeden z idących obok Kirsti stworów, nie zatrzymując się i nie oglądając, wyciągnął po nią jakiś wysięgnik, którym zagarnął ją od niechcienia, tak jak potężny spychacz zagarnia zabawkę, porzuconą na pryzmie żwiru. Zaraz potem cała gromadka oddaliła się, wtapiając w niezliczoną rzeszę innych istot, krążących po wąskich korytarzach. Jeszcze tylko tam, gdzie zniknęła Kirsti, zamajaczyły mi w półmroku zarysy konstrukcji, która wydała mi się jakby znajoma. Widziałem ją jednak zbyt krótko, aby orzec, czy naprawdę mógł to być model statku, przygotowywanego od lat dla wyprawy „Pierścień Galaktyki”, i

Na moment przyknułem powieki, a kiedy je znów uniosłem, nie było już ani Kirsti, ani domniemanego statku. Odetchnąłem głęboko, machinalnym ruchem otarłem czoło, na którym poczułem ciepłe kropelki potu, i podjąłem przerwana obserwację.

Najbliżej mnie znajdowało się teraz czterech osobników, tworzących dwie pary, stojące naprzeciwko siebie. Widziałem ich dokładnie, byli doskonale oświetleni, a mimo to pozostawali najzupełniej bezkształtni. Rejestrowałem ich szybkie ruchy, ale ruchy te, oglądane oczami człowieka, były pozbawione jakiegokolwiek sensu. Naraz pojawiły się dwa nowe stwory, inne, większe od tamtych. Rozdzieliły się, każdy z nich dołączył do jednej pary, po czym niemal natychmiast przeskoczyła pomiędzy nimi cieniutka jak pojedynczy promień struna światła. Jeden z nowo przybyłych upadł. Wtedy drugi zniknął jak pierzchająca zjawą. Natomiast owa czwórka, zdradzająca przedtem takie ożywienie, zamarła w bezruchu. Minęło dobre kilka sekund, zanim osobnik, stojący najbliżej dolnej krawędzi obrazu, po prawej stronie, wykonał obrót wokół własnej osi, zgiął się wpół i niespiesznie, jakby z niechęcią wpełzł w jakąś szparę u podnóża urządzenia, pracującego w najbliższym sąsiedztwie. Chwilę później dokładnie tak samo postąpili trzej pozostali. Pobiegłem wzrokiem w głąb hali i teraz dopiero zauważyłem, że we wszystkich zakamarkach, wszystkich szczelinach, jakie tylko istniały pomiędzy nieruchomymi elementami maszyn na wysokości podłogi, tkwią istoty identyczne jak te, które ukryły się na moich oczach. Niektóre wychodziły, prostując się powoli, może z wysiłkiem, a wówczas inne natychmiast zajmowały opróżnione miejsca. Czy te istoty mogły być żywe? Czy tak właśnie mieszkają? Czy to, na co patrzę, nie jest fabryką, tylko jakimś monstrualnym osiedlem, gdzie obłądne rozpasanie procesów technologicznych zepchnęło twórców miejscowej cywilizacji do roli robaków, gnieźdzących się w fundamentach kombinatów produkcyjnych?

A scena sprzed kilkunastu sekund? Co ona mogła znaczyć? Czyżbym stał się mimowolnym świadkiem kłótni, zakończonej wezwaniem automatów, przystosowanych do rozstrzygania konfliktów i sporów między żywymi? Nonsens! Och, nonsens! A jednak...

W tym momencie z dna przestrzennego obrazu wychynęła mała postać, początkowo postać,

która bardzo szybko zaczęła rosnać, stopniowo zasłaniając sobą całą panoramę hali. Rozpoznawałem kolejno kontury długiej, peleryny, zarys głowy nakrytej czapką z niedorzecznie długim daszkiem, spod peleryny wyjrzała opinająca chudy tors bluza zakończona wysokim golfem, aż w końcu ukazała się znajoma, szara twarz o zawsze zatartych rysach. Stanza spojrział na mnie poważnie, a następnie rozłożył bezradnie ręce. Zaraz potem cały obraz zafalował i zgasi. Na wprost mnie stała już tylko pusta tarcza holowizora.

Posiedziałem jeszcze chwilę, po czym wstałem. Mój wzrok prześliznął się po biurku, po wygodnym fotelu, który przyniósł dla mnie miejscowy robot, po tapczanie, jakby zapraszającym do słodkiej drzemki, wreszcie utknął na lampie, oblewającej wszystkie te sprzęty, jasnym, pogodnym światłem.

— No, dobrze — powiedziałem półgłosem. — Obejrzałem, co było do obejrzenia, nie wszystko, ale na pierwszy raz i tak aż nadto, a teraz chcę stąd wyjść. Muszę pochodzić, żeby dojść do ładu z własnymi myślami. Dotychczas najłatwiej udawało mi się to osiągnąć, kiedy pomagałem sobie nogami. I nie wystarczy mi dreptanie pomiędzy pulpity. Chcę pochodzić po plaży, po górach, po cienistych drózkach wśród palm i glicynii, po ścieżkach wokół mojego spokojnego domku. A przede wszystkim chcę porozmawiać z kimś mądrzejszym ode mnie. Ale żeby tym kimś był człowiek.

— Stanza? Cisza.

— Hej, Stanza! Słabe echo wróciło z głębi sali i umilkło.

— Stanza, chcę wyjść! Nic.

— A więc tak wyglądają wasze przyrzeczenia! — zawołałem. — Powinienem być się tego spodziewać... ale i tak wyjdę. Podobno nie miał pan nic przeciwko temu, żebym porozmawiał z profesorem Amosjanem?! Właśnie to chcę zrobić! Stanza, bo zacznę demolować pulpity! Systematycznie, jeden po drugim! Czy *to* nie opóźni trochę waszych, jakże doniosłych, prac „techniczno-konstrukcyjnych“?!

Odczekałem kilka sekund, a następnie ruszyłem w stronę drzwi. To znaczy tam, gdzie, jak pamiętałem, ściana rozstała się, wpuszczając nas do wnętrza. Ale doszedłszy, stanąłem bezradnie przed gładką płaszczyzną, pozbawioną choćby takich malutkich, okrągłych płytek, jakie znaczyły wejście od strony dworca. Wtedy po raz pierwszy naprawdę straciłem cierpliwość. Nie była to panika ani nawet strach. Nad strachem nauczyłem się panować w ciągu lat stażu astronautycznego, a zresztą w gruncie rzeczy nadal żywiłem płynące nie wiadomo skąd przekonanie, że Stanza i jego pobratymcy nie mają złych zamiarów. Mogli jednak dojść do wniosku, że należy mnie tutaj bezpiecznie „przechować”, zanim ktoś inny, pojęt-niejszy lub po prostu łatwiejszy w obejściu, nie zechce mnie wyręczyć w zaplanowanym przez nich locie do początku światów. Z pewnością nie brakowało im rezerwowych, na wypadek gdybym odmówił albo gdybym na przykład został na Lunie, jak na to miałem ochotę i teraz czekając na powrót mojej załogi z ziemskiego urlopu wędrował po szczytach kraterów. Jeśli rzeczywiście przykładali tak wielką wagę do udziału człowieka w realizacji ich przedsięwzięcia, na czym tam ono w końcu naprawdę miało polegać, to biorąc na zdrowy rozum musieli mieć w pogotowiu innych kandydatów, których obserwowali tak samo jak mnie i w razie czego gotowi byli także powiedzieć im kilka komplementów. Nie, Nie bałem się. Po prostu wpadłem w pasję. Byłem zły przede wszystkim na siebie, ale to wcale nie łagodziło mojego wzburzenia.

Zacząłem z zimną furią walić w ścianę pięściami. Biłem systematycznie, w równym rytmie, miejsce obok miejsca, ciągle na wysokości głowy, bo pamiętałem, że tam właśnie, po przeciwnej stronie, znajdowały się automatyczne zamki. Ściana wpadła w drgania, ze wszystkich stron nadbiegało wysokie, wibrujące echo, przerwałem na moment, by potrzeb obolałe nadgarstki, po czym uderzyłem znowu, ostatni raz. Usłyszałem cichy świergot i ni stąd, ni zowąd drzwi stanęły otworem. Wypadłem w mrok zalegający obszar podziemnego węzła komunikacyjnego, potknąłem się na pierwszej, głębokiej rynnie i przeleciałem przez nią, by wylądować na brzuchu w następnej. Zanim się pozbierałem, czaszkę przewiercił mi wysoki, zjadliwy gwizd i sąsiednim torem przemknął nie oświetlony pojazd.

Ochłonałem. Podciągnąłem nogi i pomagając sobie rękami wylazłem na górę. Stałem teraz na wąskiej grobli pomiędzy biegnącymi równolegle rynnami i nie miałem pojęcia, co zrobić,

aby nie wpaść pod następny wehikuł, który mógł nadlecieć w każdej sekundzie. Było zupełnie ciemno, tylko bardzo daleko świeciły jak blade gwiazdy wloty poszczególnych tuneli. Usłyszawszy przed sobą charakterystyczny świst z pewnością nie zdążyłbym się nawet uchylić, nie mówiąc już o tym, żeby w porę uskoczyć z drogi. W dodatku nie miałem przecież pojęcia, ile wolnej przestrzeni pozostawiają pomiędzy sobą mijające się pojazdy. Należało jednak wątpić, by tej przestrzeni mogło wystarczyć dla mężczyzny wzrostu zdecydowanie więcej niż średniego.

— Nie odezwałem się słowem, kiedy uszczęśliwiono mnie dwutygodniowym urlopem, z którym nie wiedziałem i nadal nie wiem, co zrobić — powiedziałem na głos. — Przyjąłem ze zdawkowym, ale nie pozbawionym życzliwości zainteresowaniem wtargnięcie do mojego domku istoty, która, jak sama twierdzi, a wszystko wskazuje na to, że nie bez podstaw, pochodzi z innego świata. Pozwoliłem się tej istocie zaciągnąć w podziemiu, na pół baśniowe, a na pół makabryczne, jeśli wspomnieć jego pierwotne przeznaczenie i uprzejmie wysłuchałem propozycji zrezygnowania z udziału w „P — G” na rzecz nie określonego bliżej fantastycznego lotu tam, gdzie zaczęły się przestrzeń i czas. Obejrzałem spokojnie trzy z dziewięciu przygotowanych dla mnie „programów”, -przy czym ostatni z nich był tak koszmarny, że postanowiłem natychmiast odwiedzić Amosjana, jedyne go człowieka, któremu mogę opowiedzieć wszystko, co mi się zdarzyło, bez obawy, że dokonam żywota w zacisznej celi, obi-

-<•

tej materacami. A kiedy obcy nie odpowiedział na moje wezwanie, ni stąd, ni zowąd wpadłem w szal. Nigdy nie miałem o sobie zbyt wysokiego mniemania, sądziłem jednak, że jednej rzeczy mogę być pewny, mianowicie moich nerwów. Tymczasem zachowałem się jak rozhisteryzowana bohaterka archiwalnego filmu o duchach. Jakbym to nie ja sam był sobie winien. Jakbym naprawdę mógł mieć pretensję do jakiegoś przybłądy z gwiazd tylko dlatego, że przedstawił się ziemskim nazwiskiem: Stanza. Jakby...

— Panie Hagert, nie wiem, jak pana przeproszać — odezwał się w mroku znajomy głos. — Wiem wszystko, bo sprawdziłem płytę pamięci w pańskim biurku. Kiedy mnie pan zawołał, byłem akurat w kabinie sanitarnej... przebywałem w niej dosłownie trzydzieści sekund. Ta kabina jest ekranizowana... — mówiący zbliżał się, aż wreszcie przy ostatnich słowach wypląnął z ciemności, tuż przede mną. Musiał się naprawdę spieszyć, bo zapomniał swojej niebieskiej peleryny, którą widać zdjął przed wejściem do owej „kabiny sanitarnej”, aby mu nie przeszkadzała w czynnościach, jakie miał tam wykonać.

Milczałem. W zupełnej ciszy nagle zabrzmiał gasnący gwizd pojazdu. Po chwili siedziałem w fotelu, wpatrzony w plecy Stanzy. Wzdłuż nas przelatywały świetliste ściany tuneli.

Nie odezwałem się i wtedy, gdy pojazd zwolnił, a następnie stanął pośrodku niewielkiego, półkolistego pomieszczenia pozbawionego jakiegokolwiek wejścia poza wlotem okrągłego korytarza. Przybysz z innego świata obrzucił mnie smutnym spojrzeniem, po czym wysiadł, odwrócił się, zrobił kilka kroków i zniknął.

— Proszę za mną — usłyszałem.

Podchodząc do miejsca, gdzie przed chwilą mój przewodnik zdematerializował się w tak niespodziewany sposób, odniosłem wrażenie, że znowu godzę się na rolę błazna, jaką mi wyznaczył. Mimo to posłusznie wyciągnąłem rękę w stronę ściany. Moja dłoń przeszła przez nią jak przez powietrze i zniknęła mi z oczu. Wtedy wyprostowałem się i ruszyłem przed siebie, by niebawem zatrzymać się obok Stanzy na niewielkim, trawiastym placyku, z którego roztaczał się rozległy widok na Dolinę Kalifornijską. Byłem po z a-c h o d n i e j stronie Sierra.

— Wspomniałem, że mamy i inne drogi, prowadzące do ośrodka i że pokażemy je panu, jak tylko postanowi pan pozostać z nami.

Wprawdzie nie podjął pan jeszcze ostatecznej decyzji, ale doszedłem do wniosku, że mogę zaryzykować. Zresztą nie ryzykuję zbyt wiele. Bardzo trudno byłoby panu odnaleźć to miejsce, a przejście dla niewtajemniczonych otwiera się tylko od wewnątrz. Poza tym ja osobiście jestem już pewien, że pan nas nie zawiedzie.

Nie podzielałem jego pewności, ale nie powiedziałem mu tego. Nie powiedziałem nic. Zszedłem kilka kroków niżej, rozejrzałem się, zaczerpnąłem głęboko do płuc powietrza i wezwałem autofon. Musiałem na niego czekać chyba ze trzy minuty. Zbocze leżało z dala od

uczęszczanych szlaków. Dopiero kiedy wreszcie otwarła się przede mną mała kabina swojskiego pojazdu, spojrzałem za siebie. Stał tam, gdzie go zostawiłem, wysoki i nienaturalnie chudy, a raczej cienki, właśnie cienki, jakby był zbudowany z drutów, opatulonych tylko dla niepoznaki wałeczkami waty, która wypychała jego zielonkawy kostium.

— Do zobaczenia ! — zawołał cicho.

Odwrociłem się. Co właściwie chciał mi powiedzieć tym swoim teatralnym gestem, kiedy pojawił się jako własne przestrzenne odbicie, na zakończenie ostatniego instruktażowego seansu? Co to było, ta fabryka czy osiedle?

Kabina zamknęła się.

— Sacramento — rzuciłem. — Osiedle uniwersyteckie.

— Może byłoby panu wygodniej polecieć biplanem, z Carson City? — usłyszałem dobiegający jakby spod pojazdu głos automatu.— Dowiozłbym tam pana w osiem minut. W przeciwnym razie podróż będzie trwała dość długo.

— Niech trwa — odpowiedziałem. — Chcę być sam — dodałem już swoim normalnym tonem.

— Służę uprzejmie.

Kiedy wysiadłem przed piętrowym domkiem ukrytym wśród starych sosen, Słońce od dawna już ogrzewało kontynenty położone za horyzontem. Było bardzo późno. Mimo to nie wahałem się ani przez chwilę. Nacisnąłem przycisk i niemal od razu usłyszałem szelest kroków na żwirowej dróżce prowadzącej do domu.

— Muszę się zobaczyć z profesorem Amosjanem — powiedziałem, pewny, że mam do czynienia z domowym robotem. — Proszę cię, obudź go i powiedz, że przyszedł Hagert. Lindsay Hagert — powtórzyłem.

Kroki ucichły. Za otwartą furtką zamajaczyła 'niewysoka, barczysta sylwetka, z pochyloną głową, otoczoną wieńcem gęstych siwych włosów, jaśniejących w mroku, jakby padało na nie światło niewidocznej lampy. To nie był robot.

— Lin? — dobiegł mnie niski, nieco zachrypnięty głos. — Wejdz, wejdz. Uprzedzono mnie, że przyjdiesz. Czekałem na ciebie. Bardzo się cieszę...

Rozdział III

— Tak, tak — powtórzył cicho Amosjan. — Znam ich i znam ich zamiary. Oczywiście nie wiem wszystkiego. Nigdy na przykład nie byłem w tych podziemiach, które tobie już pokazali. Czasami ogarniają mnie wątpliwości, czy są wobec nas zupełnie szczerzy... ale w gruncie rzeczy nie mamy żadnych racjonalnych podstaw, żeby im nie wierzyć. Przeciwnie. Okazali wiele dobrej woli... i wiele ryzykowali, przychodząc do nas. Mówiąc „do nas”, mam na myśli część Rady Naukowej. Jak wiesz, byłem od dawna członkiem-ko-respondentem tej szacownej instytucji, a półtora roku temu nie tylko awansowałem — uśmiechnął się blade — lecz nawet wybrano mnie do Prezydium. Gdyby nie to, spałbym już teraz. Ostatnio wcześniej wstaję... ale mniejsza z tym.

Siedzieliśmy w gabinecie, którego wszystkie cztery ściany zapełniały staroświeckie, drewniane półki z książkami, nierzadko jeszcze papierowymi. Ciemne, mahoniowe regały rozstępowały się tylko w trzech miejscach, okalając szerokie drzwi do ogrodu, przejście prowadzące w głąb domu oraz niski, płytki kominek, który ożywiał mroczny pokój ruchliwymi błyskami ksenonowego -promiennika. Twarz profesora, zagłębionego w wielkim fotelu na wprost mnie, stawała się chwilami ledwie widoczna.

— Skąd oni są? — spytałem półgłosem. — I dlaczego nic się o nich nie wie? Przecież to pasjonująca sprawa... jeśli-naturalnie nie mamy do czynienia z mistyfikacją i to nie tyle kosmiczną, ile komiczną. Przyzna pan, że taka konspiracja wygląda co najmniej podejrzanie? Westchnął.

— Moja odpowiedź na twoje pierwsze pytanie będzie krótka, prawdziwa i, jak większość takich właśnie odpowiedzi, całkowicie niezadowolająca. Brzmi ona: nie wiem. Może jakiś astronom potrafiłby określić współrzędne ich świata... niestety w gronie wtajemniczonych mamy tylko jednego, a' i on nie

może zaangażować niezbędnego potencjału badawczego, bo musiałby się zdradzić przed swoimi kolegami. Poza tym, jak słyszałem, ustalenie położenia ich ojczystego układu i tak nastęrczałoby ogromne trudności, znajduje się on bowiem w obszarach niedostępnych dla najczulszych systemów obserwacyjnych i sond nasłuchowych. Zresztą ta planeta czy planety nie mają nawet nazwy. Oni, oczywiście, określają je jakoś po swojemu, ale ponieważ ich system komunikacji jest dla nas nadal nie rozszyfrowany...

— Jak to? — przerwałem, zdumiony. — Ten Stanza rozmawiał ze mną zupełnie normalnie?...

— Tutaj — Amosjan skinął lekko głową. — Tutaj. U siebie stosują kod oparty na zupełnie innych prawach przenoszenia... no i wyglądają inaczej niż na Ziemi. Wiem, wiem, znowu wracamy do spraw, o które pytałeś. Widzisz, oni są u nas niejako nielegalnie...

— Co? — nie wytrzymałem znowu. — Przecież skoro pan i Rada Naukowa wiecie o ich obecności, skoro, jak pan przed chwilą powiedział, oni sami zgłosili się do was...

— Nie chodzi o nas. Źle mnie zrozumiałeś, Lin. Oni ukrywają się przed swoimi.

— Co?...

— Tak przynajmniej twierdzą... a całe ich postępowanie świadczy o tym, że nie próbują nas oszukiwać. Chociaż tego, naturalnie, nie możemy być całkowicie pewni, ponieważ wiemy o nich akurat tyle, ile sami zechcieli nam powiedzieć...

Odruchowo potarłem dłonią czoło.

— Wybacz pan, profesorze, ale nie rozumiem — ponownie ogarnęło mnie poczucie zupełnej nierzeczywistości wszystkiego, co dzieje się wokół mnie. Coraz trudniej przychodziło mi porządkować i formułować myśli. Może po prostu byłem zmęczony? — Więc do Rady Naukowej zgłosili się o b c y...

— Nie do Rady. Nie do Rady — przerwał, potrząsając głową. — Była to właściwie wizyta kurtuazyjna, o charakterze niemal prywatnym, złożona zaledwie pięciu członkom Prezydium. Oficjalnie ich nie ma...

— Ale poszczególni członkowie Prezydium także, czy chcą tego, czy nie, reprezentują Radę i ponoszą ciężką na niej odpowiedzialność. Pozwoli pan zatem, że pozostanę przy swoim sformułowaniu. Do Rady Naukowej zgłosili się o b c y, oznajmili, że szukają na Ziemi schronienia przed swoimi i to wystarczyło, aby nie tylko udzielono im gościny, ale i oddano do dyspozycji stare, ogromne laboratorium zbrojeniowe, w którym zainstalowali potężne środki techniczne. Czy to doprawdy nie zbyt daleko idąca wielkoduszność... żeby nie użyć ostrzejszego określenia?

Przez twarz Amosjana przebiegła plama słabego światła i zanim zgasła, zdążyłem dostrzec jego uśmiech, z pewnością nie przeznaczony dla moich oczu. Wiedziałem już, co za chwilę usłyszę.

— I tym razem źle mnie zrozumiałeś — rzekł cicho profesor. — My ani nie udzielaliśmy im gościny, ani tym bardziej nie wprowadzaliśmy ich do naszych opuszczonych zakładów zbrojeniowych. Oni nie przyszli prosić nas o cokolwiek. Poinformowali nas jedynie, że są i wtajemniczyli z grubsza w swoje plany. Nie omieszkali dodać, że uznali za słuszne zdekonspirować się przed nami, ponieważ będą im potrzebni ludzie. A przynajmniej jeden człowiek. Oczywiście, jeśli się zgodzi przyjąć ich propozycję. Ale to był jedyny powód, dla którego do nas przyszli.

— I człowiekiem, wybranym przez nich spośród szesnastu miliardów, jestem akurat ja! — wykrzyknąłem półgłosem. — Przepraszam pana — zreflektowałem się. — Oczywiście ten ostatni fakt nie ma tu żadnego znaczenia... chociaż przyznam, że takie wyróżnienie nie budzi we mnie ani cienia dumy, nie mówiąc już o zadowoleniu. Rzecz tylko w tym, że my wszyscy, jako Ziemianie, nie mamy w tej sytuacji powodów do dumy. Dzisiaj rano wtargnął do wynajętego przeze mnie domku nad oceanem przybysz z kosmosu i chociaż niby zachowywał się grzecznie, to jednak zanim mi się pokazał, mimochodem wyłączył mojego robota, a potem w sobie tylko wiadomy sposób tak pokierował moimi myślami, że potulnie zgodziłem się pojechać z nim do tych podziemi, o których panu opowiedziałem, i robiłem tam wszystko, co mi kazał. Teraz natomiast okazuje się, że dokładnie tak, jak ten pojedynczy osobnik postąpił ze mną, tak samo jego społeczność czy cywilizacja, czy niechby tyl

ko część tej cywilizacji, potraktowała nas wszystkich, ludzi. Najprzejmiej w świecie poinformowali Radę, że są, że gospodarują u nas, jak im się żywnie podoba, i że mają jakieś gigantyczne plany, do których realizacji potrzebny im jest człowiek. Całe szczęście, że żywy! Cofam słowo „wielkoduszność”. To po prostu zupełnie niewiarygodna naiwność i... i... — zawahałem się.

— ...Zdrada — podrzucił z westchnieniem Amosjan. — Niepotrzebnie się krępujesz. To chciałeś powiedzieć, prawda? Zdrada. „Odpowiedzialność względem Ziemi...” tak, jeśli się nie mylę, brzmi ideowe hasło wyprawy „P — G”. No cóż, hasło z pewnością słuszne, może tylko w ten sam sposób, w jaki były słuszne twierdzenia Newtona, zanim pojawił się Einstein. Ale kto wie, czy nie przemawia przeze mnie zawodowy sceptycyzm starego historyka. Faktem jest jednak, że można sobie wyobrazić inne pojmowanie kwestii odpowiedzialności, tak samo jak faktem jest, że nasz stosunek do istot, o których mówimy, nie ma nic wspólnego ani z naiwnością, ani tym bardziej ze zdradą, tylko jest najczystszej wody bezradnością. Widzisz, dzieli nas zbyt wielka różnica wiadomości, jakie nawzajem o sobie podajemy. Ostatecznie my dowiedzieliśmy się o ich istnieniu wśród nas mniej więcej rok temu, a oni... oni badają Ziemię od wieków. Od wielu wieków.

— Co?

— Tak, tak. Latali nad nami, jeszcze zanim wysłaliśmy pierwszą sondę na Księżyc. Obserwowali, jak walczymy i zabijamy się wzajemnie. Jak miliony konają z głodu, podczas gdy nieliczni gromadzą na własny użytek, dla własnej wygody przeogromne dobra, które sprawiedliwie rozdzielone zapewniłyby znośny byt. wszystkim mieszkańcom planety. Jak budujemy superbomby zamiast przetwórczy żywnościowych, instalacji energetycznych i oczyszczalni. Przez setki lat zbierali o nas informacje, porządkowali je, katalogowali i opracowywali. Cóż dziwnego, że nie jesteśmy dla nich pełnoprawnymi partnerami?

Poczułem suchość w gardle. Odchrząknąłem i spytałem nieswoim głosem:

— Czy dlatego, że nasza historia była taka... trudna? To znaczy, czy to właśnie jest powód, dla którego nigdy nie ujawnili się przed nami?...

— Nie. Nie, bo ich historia była jeszcze trudniejsza, używając twojego określenia, a jeśli wierzyć Stanzji i jego towarzyszom, współczesność nie jest o wiele lepsza. Tych kilka cierpkich refleksji na temat naszych dziejów wypowiedziałem wyłącznie na własny użytek. Jestem ofiarą mojego zawodu. Obiektywnie rzecz biorąc nie ma żadnego znaczenia, czy przeżywalibyśmy nasze upadki w zacisznym odosobnieniu, czy też byliśmy wtedy przedmiotem radosnego zainteresowania kosmicznej gawiedzi, jak mały w rezerwacie. A jednak ta druga ewentualność, niestety prawdziwa, budzi we mnie dodatkową, irracjonalną gorycz. Ale oni nie kwalifikowali naszej historii według kryteriów moralnych czy etycznych, bo one dla nich nie istnieją. Nie ujawniali się, ponieważ nawiązywanie jakichkolwiek kontaktów uznali za najzupełniej zbyteczne, a penetracja Ziemi stanowiła tylko małą cząstkę ich kosmicznego programu.

— Na czym w takim razie polegał ten program?

— Na doglądaniu hodowli — odpowiedział spokojnie Amosjan. — Nie brzmi to zapewne przyjemnie, niemniej nie znajduję słów, które lepiej oddałyby istotę rzeczy. Nie znaczy to oczywiście, że sami przedtem inicjowali życie na globach, które następnie inwigilowali. Oni tylko, kiedy to życie przekraczało pewien określony próg, wykorzystywali je, w sposób dość perfidny, choć skądinąd nader powściągliwy, powiedziałbym nawet — subtelny. Wiesz przecież, że dla każdej cywilizacji typu technologicznego kluczowym problemem staje się w pewnym momencie gospodarowanie informacjami. Jest ich już zbyt wiele, a nadal narastają lawinowo, równocześnie szereg dziedzin odczuwa ich brak, pękają w szwach wszelkie kanały przekazu, przestają wystarczać dotychczasowe nośniki, wkrada się chaos, trzeba dokonywać selekcji, obstawiać wybrane pola, często na oślep, nie wiedząc, czy będą to akurat te pola, przez które wiedzie droga już nie do sukcesu, - lecz po prostu do przetrwania. My poradziliśmy sobie instalując na orbitach system zbiorczych komputerów... "ale zdajemy sobie sprawę, że jest to rozwiązanie prowizoryczne. Kiedy ludzkość przekroczy liczbę trzydziestu miliardów, będziemy musieli pomyśleć o czymś jakościowo nowym. Oni, wedle tego co wiemy od Stanzji, proporcjonalnie do stopnia rozwoju cywilizacyjnego znacznie wcześniej niż my zgłębili tajniki astronautyki i ją właśnie wykorzystali dla swego uregulowania kluczowych przynajmniej problemów informacyjnych. Mianowicie odkrywając inne gwiazdne społeczności wpadli na

pomysł, że mogą tanim kosztem rozwijać własną naukę, czerpiąc z cudzej. W ten sposób długo, bardzo długo, skutecznie bronili się przed tym, co nazywamy rozsypką hiperspe-cjalizacyjną... rozumiesz? Nie zajmowali się drobiazgami, nie interesowały ich etapy pośrednie, oni zbierali wyłącznie syntezy. Planeta alfa dostarczała im, dajmy na to, najlepszych technologii dla energetyki, od mieszkańców bety, którzy z kolei, nie posiadając urodzajnych gleb, wcześniej od innych opanowali procesy geochemiczne, uczyli się syntetyzować żywność, u cywilizacji gama podpatrzyli, bo ja wiem, meteonikę, jeszcze gdzie indziej krystobiozę... i tak dalej.

— A na Ziemi? — spytałem cicho. — Czego szukali na Ziemi? Amosjan wyprostował się w fotelu i przez chwilę patrzył w jakiś punkt ponad moją głowę. Następnie wzruszył ramionami.

— Niestety, to właśnie nie jest zupełnie jasne. Stanza, który poza tym odpowiadał chętnie i nawet obszernie na większość pytań, w tej sprawie zachował daleko idącą wstrzeźliwość. Z tego, co wiemy, interesowali się u nas biofizyką... ale w dość ograniczonym zakresie. Chodziło im raczej o inżynierię biofizyczną, o zastosowania, i to najczęściej takie, z których my sami zrezygnowaliśmy w imię racji moralnych. Opowiadali nam o tym tak niechętnie, jakby się wstydzili. Wiem, że nie brzmi to zbyt mądrze... lecz nie ja jeden odniosłem takie wrażenie...

— Wstydzili — powtórzyłem z mimowolnym przekąsem. — Proszę. No cóż, lepiej późno niż wcale. Ale a propos późno. Powiedział pan, że zaczęli do nas przylatywać już setki lat temu. Tymczasem biofizyka, zwłaszcza eksperymentalna, narodziła się, o ile wiem, dopiero w dwudziestym wieku?

Amosjan skinął głową.

— Toteż właśnie z dwudziestego wieku mamy najwięcej zapisów, dotyczących pojawienia się nie zidentyfikowanych obiektów, tak zwanych „UFO”. Potem już o nich głucho. Zapewne nauczyli się lepiej maskować. A że przylatywali wtedy, kiedy stawialiśmy pierwsze kroki w interesującej ich dziedzinie—lub nawet wcześniej? Cóż, widać od razu zafascynowała ich nasza witalność, która być może jest czymś bezprecedensowym w całej przyrodzie... żartuję, oczywiście. Prawda jest daleko mniej zabawna, co nie znaczy, że prostsza. Pamiętasz, kilka minut temu, charakteryzując ich poczynania w kosmosie użyłem słów „nadzorowanie hodowli”...

— Pamiętam — burknąłem ponuro. — Co jak co, ale to zdanie zapamiętałem bardzo dokładnie.

— Bo widzisz, oni nie poprzestawali na tym, co inwiligowane przez nich cywilizacje osiągały drogą swojego naturalnego rozwoju, poprzez harmonijną ewolucję nauki, krótko mówiąc, własnymi siłami. W takim wypadku nie można by przecież mówić o „hodowli”, prawda? Tymczasem...

— Jak to?! — wybuchnąłem. Poczułem, że na twarz uderza mi fala gorąca, a potem lodowatego chłodu. Zaciśnięte zęby. — Przepraszam — wychrypiąłem. — Znowu się zapomniałem. Ale to... — urwałem.

— Tak, rzecz z pewnością nie należy do przyjemnych — powiedział spokojnie Amosjan. — Jednak po pierwsze ich ingerencją sprowadzała się właściwie do dyskretnego podrzucania informacji, zdobywanych gdzie indziej, a dotyczących specjalności wybranej dla danej planety. Wyłącznie w ten sposób przyśpieszali na obszarach poszczególnych cywilizacji postęp interesujących ich dyscyplin naukowych. A po drugie, co powinno ukoić twoją zranioną ludzką dumę, z Ziemią i z nami w ogóle, niezbyt im się udało. Stale wymykaliśmy się z nurtu, w którym chciano nas zamknąć. Ciekawiło nas zbyt wiele dziedzin.

Zdołałem już jako tako opanować wzburzenie, które ogarnęło mnie na myśl, że jestem jakimś mniej lub więcej udanym okazem wyhodowanym przez kosmicznych genetyków, a nie istotą należącą do rozumnej, autonomicznej społeczności, zawdzięczającej osiągnięty przez siebie szczybel rozwoju powolnej i bolesnej, lecz naturalnej ewolucji. Uprzytomniłem sobie, że dorosły człowiek nie może się złościć na to, co przychodzi z gwiazd, tak jak nie -może się złościć na geparda, mordującego śliczną, młodą antylopę.

— Wszystko, o czym pan mówi, wiemy tylko od nich — powiedziałem po chwili z namysłem. — Stanza i jego kompani wyznali nam najpierw, że usiłowali z nami postępować jak mrówki z mszycami, które wprzęgnięte w służbę oprócz tego, że są dojone, żyją sobie właściwie zupełnie nieźle. Potem dodali z ubolewaniem, że im nie "wyszło. Ale, o ile dobrze

zrozumiałem, nie wiemy na pewno, czy chodziło właśnie o biofizykę. Może interesowało ich u ludzi coś innego? Na przykład inżynieria genetyczna? W takim wypadku nawet najbardziej subtelne „podrzucanie” informacji...

— Poczekaj — przerwał mi uczony. — Poczekaj. Gdyby chcieli nas oszukać albo podejść, mogli przecież pozostać w ukryciu. Nic nie zmuszało ich do ujawniania się przed Radą.

— Potrzebują człowieka — przypomniałem. — Tak się składa, że ma go pan teraz przed sobą.

— To, co powiem, znowu nie zabrmi ładnie, ale sądzę, że gdyby chcieli, poradziliby sobie i bez twojej zgody, pozostając w ukryciu. Szczerze mówiąc, niezbyt ciekawi mnie to, czym się tu u nas zajmowali. Dużo ważniejsza wydaje mi się odpowiedź na pytanie, czym się nie interesował i... na Ziemi, na wszystkich innych planetach, a także, jeśli nie przede wszystkim, u siebie. To następne pole, pozostające w mroku, bo Stanza najwyraźniej stosuje w tym punkcie uniki, chociaż skądinąd dość plastycznie scharakteryzował swoją macierzystą cywilizację. Musiał to zrobić, jeśli chciał uzasadnić przed nami słuszność motywów, którymi kierował się on i jego towarzysze, gdy przystępowali do opracowania swojego szalonego na pozór planu. Wracając do rzeczy, wydaje mi się oczywiste, że nie interesowały ich, nie Stanzę, tylko mieszkańców jego ojczystego świata, nauki społeczne. Może mieli jakieś pierwociny socjologii... i na tym koniec. Tego też nikt mi nie powiedział, ale nie mogło być inaczej. Przecież, gdyby rozwinęli filozofię, w najogólniejszym znaczeniu tego słowa, gdyby, co za tym idzie, pojęli i uznali jej nadrzędną rolę w sensownym gospodarowaniu swoją współczesnością oraz koordynowaniu prac podejmowanych dla przyszłości, musieliby prędzej czy później dojść do wniosku, że opierając rozwój swojej cywilizacji na wyrwanych ze społecznego kontekstu wiadomościach, zaczerpniętych z całego kosmosu, od istot różniących się od siebie niemal pod każdym względem, budują dom z elementów nie łącząc ich ze sobą. Taki dom musi się rozlecieć przy pierwszym podmuchu wiatru. I, jeśli mogę wierzyć własnej intuicji, oni, zapewne od dłuższego czasu, już żyją na rumowisku... co jednak nie przeszkadza im udawać przed sobą, że wszystko jest w porządku. Są w pewien sposób nadal silni i groźni, choć nieszczęśliwi. Inaczej Stanza nie musiałaby przebywać u nas, jak już powiedziałem, nielegalnie i nie musiałaby się bać... nie nas, lecz swoich. A przecież przyleciał, aby ich ratować.

Nagle stanęła mi przed oczami ta jakaś fabryka pełna istot kłębiących się w norach pomiędzy konstrukcjami, walka robotów, jeśli

to naprawdę była walka, bo równie dobrze mogło chodzić o naj-niewinniejszy zabieg techniczny lub zgoła zabawę, i postać Stanzy z rozłożonymi bezradnie rękami. Nie bez pewnego wysiłku oderwałem się myślami od tego obrazu, po czym powiedziałem:

— Chwilami odnoszę wrażenie, że to wszystko sen. Że mam gorączkę i majaczkę... ale tak, przecież nie jest. Nie wiem, czy na szczęście, czy niestety. Pan mówi o całej tej sprawie tak spokojnie... mnie jednak nie przestaje nurtować kilka poważnych wątpliwości. Oto jedna z nich. Proszę zauważyć, że chociaż to właśnie ja zostałem wybrany przez Stanzę, a raczej „Stanzotów”, czy jak ich tam nazwiemy, jako ten jedyny Ziemianin, który jest im niezbędny dla realizacji jakichś pankosmicznych zamierzeń, to jednak na moje pytania odpowiada nie Stanza, lecz pan...

Amosjan uśmiechnął się znowu. Tym razem był to uśmiech jasny, niemal wesoły, taki, jaki zapamiętałem z rozmów, na które czasem zapraszał mnie po wykładach.

— Może nie stawiałeś mu pytań ani tak bezpośrednich, ani w taki sposób jak mnie? A poza tym, pochlebiam sobie, że masz do mnie

nieco więcej zaufania niż do niego... choćby dlatego, że obaj jesteśmy stąd...

Zrewanżowałem mu się uśmiechem.

— Nie wiem, nie wiem — mruknąłem przekornie. — Właściwie momentami zaczynam podejrzewać, że pan jest ich agentem...

— Bo jestem. Czy inaczej byłbyś tutaj?

Chciałem odpowiedzieć jakimś nowym żartem, ale słowa uwięzły mi w gardle. Amosjan z pewnością nie był niczym agentem. Czy jednak myśl złożenia mu wizyty nie została mi podsunęta przez Stanzę... wraz z innymi „sugestiami”, które w efekcie doprowadziły do tego,

że musiałem tak rzeczowo potraktować nasze niedorzeczne spotkanie? Oczywiście, człowiek siedzący teraz naprzeciw mnie był skądinąd jedynym, do którego mógłbym pójść... ale nie widziałem go przecież od lat. Czy sam sobie o nim przypomniałem?...

Patrzył na mnie spod przymrużonych powiek, nie przestając się uśmiechać. Wstałem.

— Jest już bardzo późno... — zacząłem.

— Poczekaj — podniósł się również i zrobił krok w moją stronę. Wyciągnął rękę, jakby chciał oprzeć dłoń na moim ramieniu, ale zatrzymał ją w pół drogi. — Nie tak dawno zarzucałeś mi zdradę interesów Ziemi...

— To pan użył słowa "zdrada", nie ja — zaprzeczyłem.

— Istotnie — skinął lekko głową. — Ale tak czy owak stwierdziłeś, że sprzeniewierzyłem się moim obowiązkom. A nie pomyślałeś o tym, że w pewnym sensie i ty należysz już do nich? Odkryłeś, że na Ziemi przebywają przedstawiciele innej gwiazdnej cywilizacji i co zrobiłeś? Czy zawiadomiłeś władze porządkowe, Radę, Komisję Bezpieczeństwa ONZ? Nie. Przyszedłeś do mnie. Inaczej mówiąc, postąpiłeś nielojalnie w stosunku do Ziemi, natomiast lojalnie wobec Stanzy. Ze mną i czterema pozostałymi wtajemniczonymi członkami Rady sprawa ma się dokładnie tak samo. Czy chcemy, czy nie, jesteśmy ich współnikami. Odwiedzisz mnie jeszcze, zanim podejmiesz decyzję? Bardzo mi na tym zależy...

Spojrzałem na niego niepewnie.

— Czy pan naprawdę uważa, że muszę się aż zastanawiać?

— Uważam, że powinieneś się zastanowić — odrzekł poważnie.

— Kiedy tu przyszedłem, powiedział mi pan, że zna pan ich i ich zamiary. To „znam ich zamiary” .zalatuje mi teraz, po wszystkim, co tu usłyszałem, niewinnym, dziecięcym optymizmem... ale dobrze, załóżmy, że zna je pan naprawdę. Tymczasem ja, który niby. mam poprowadzić statek Stanzy do początków wszechrzeczy, nadal nie mogę sobie choćby wyobrazić, co ktoś, och, ktokolwiek, zamierzały poprzez taką imprezę osiągnąć?

— Czy wiesz, jak w nowoczesnych piecach hutniczych otrzymuje się pożądane struktury metali? Otóż w jednym z początkowych etapów procesu technologicznego do strumienia płynnej, wybuchającej surówki wrzuca się maleńki kawałek materiału, jaki chcemy otrzymać po wytopie. Oczywiście są do tego potrzebne specjalne urządzenia i krystalizatory powielające, ale zwróć uwagę na samą zasadę. Rozumiesz? Rzecz polega przecież na zabiegu równie, chytrym, co prostym. Na dostarczeniu wrzącej w chaosie substancji informacji o tym, czym powinna się stać opuszczając zakład produkcyjny, czyli mówiąc inaczej w wyniku ewolucji technologicznej. Coś takiego właśnie Stanza i jego towarzysze chcą zrobić z życiem. Nie z moim czy twoim, nie życiem jednej planety, pierwszej czy tysięcznej galaktyki, ale życiem w ogóle. Postanowili je zmienić i to właśnie poprzez dostarczenie materii w jej początkowym zarodkowym stanie informacji o pożądanym kształcie tego życia. Tak jak z owym piecem i okruczem odpowiednio wykrystalizowanego metalu.

— I to ja mam być tym okruczem... życia?

— Tak.

— Wrzuconym do piekła eksplodującej pramaterii czy praenergii w momencie jej powstawania?

— Jej powstawania w tym czasie i tej przestrzeni. Chodzi przecież o nasz wszechświat, a nie poprzednie bądź przyszłe.

— Czy pan, panie profesorze, naprawdę wierzy w to, że taki „zabieg” może coś zmienić? Ze człowiek, czy jakakolwiek istota myśląca, nieskończenie znikoma wobec wszechświata, jest w stanie sprawić dotarłszy do momentu jego narodzin, co *samo* już brzmi jak bajka, aby w wyniku ewolucji, która po tych odwiedzinach trwać będzie miliardy lat, powstało inne życie?

— „Sprawić”... nie lubię tego słowa. Chodzi o zaprogramowanie. Poza tym, to nie jest kwestia wiary. Teoretycznie rzecz da się pomyśleć, więc zapewne i przeprowadzić. My, naturalnie, nie potrafilibyśmy tego dokonać, bo nie dysponujemy ani odpowiednią wiedzą ani techniką. Ale cywilizacja, z której przybywa Stanza, jest o wiele starsza od naszej i wyspecjalizowana w technologiach, które my zaczynamy dopiero od bardzo niedawna rozwijać w nielicznych placówkach, takich jak Instytut Galaktyczny. Biją nas skalą... w tej konkretnej dziedzinie, rzecz jasna. Co do innych, ja przynajmniej z pewnością bym się z nimi nie

zamienił..

— Jeszcze jedno. Ta zmiana ma się dokonać miliardy lat temu. Załóżmy, że wszystko, o czym mówiliśmy, jest realne, możliwe i proste jak wyrwanie zęba. Nasuwa się równie proste pytanie. Postawiłem je już zresztą Stanzji, ale wtedy właśnie zorientowałem się, że owo sławetne zaawansowanie jego cywilizacji pozwala mu sterować moimi myślami... i, co chyba oczywiste, nie czekałem na odpowiedź. A pytanie to brzmi: dokąd wróci ktoś, kto poleci przeprowadzić tę superzmianę? Czy w ogóle będzie miał szansę powrotu? Czy też powinien sobie upatrzeć jakąś pierwszą lepszą gwiazdną społeczność i prosić, żeby zechciała go przygarnąć? Bo przecież sko- ro nadamy inny bieg ewolucji praenergii, materii nieożywionej, a wreszcie i żywej, to może się okazać, że Ziemia będzie... nie, nie będzie, lecz jest, szczerą pustynią, że na Marsie kwitnie supercywilizacja zbudowana przez komaropodobne monstra o zminiaturyzowanych neuronach, natomiast w atmosferze Jowisza bujają sobie istoty idealnie kuliste, co pozwala im znosić panujące tam ciśnienie, z braku innych kłopotów zajmujące się wyłącznie poezją. O ile w ogóle w tej nowej rzeczywistości znajdzie się miejsce dla takiego drobiazgu, jak nasz Układ Słoneczny...

— Jeśli ten miniaturowy wzorec, ten zbiór podstawowych informacji, będzie człowiekiem...

— Rozumiem — skinąłem głową. — Wówczas wszechświat, jak długi i szeroki, będzie zamieszkały wyłącznie przez ludzi. To znaczy, przez istoty człękokształtne. Ale przecież te istoty będą miały • za sobą zupełnie inną drogę, inne doświadczenia, nie wspominając już o takich nic nie znaczących detalach, jak szczegóły anatomiczne, do których mieszkańcy obecnej Ziemi mimo wszystko przywiązują pewne znaczenie. Czy nadal pan utrzymuje, że akceptacja tego rodzaju ewentualności nie zakrawa na zdradę? Przecież to tak, jakbyśmy dla dzikiego kaprysu obcych zgodzili się unicestwić życie miliardów ludzi... z których każdy jest mniej lub bardziej szczęśliwy, każdy piastuje jakieś marzenia, każdy nad czymś pracuje, do czegoś dąży... Przecież, jeśli uda im się zrealizować ich plany, nas może nie być! Czy panu nie żal życia?

— To jest bardzo osobiste pytanie...

— Bo w tej chwili mówię o sprawach osobistych. Ale założmy, że będziemy istnieć dalej... zaledwie trochę inni. Co właściwie ja miałbym zrobić? Wyskoczyć z rakiety w momencie Wielkiego Wybuchu i rzucić się przed siebie wołając do powstającej czasoprzestrzeni: „Pamiętaj! To ma wyglądać tak jak ja!”? Ależ to tak właśnie wygląda! Więc po co...

— Z pewnością nie powinieneś wyskakiwać z rakiety... jakakolwiek ona będzie. I z pewnością ty w każdym razie się nie zmienisz... jeśli wrócisz. Ale z „P — G” też możesz nie wrócić. Kosmos wciąż jeszcze pochłania ofiary, wiesz tym lepiej niż ja.

— Czy pan, na moim miejscu, poszedłby do Stanzji i zażądał dalszych szczegółów, co oczywiście równałoby się przyznaniu, że jego propozycja może być potraktowana poważnie?

— Tak. Pamiętaj, że czekam na ciebie.

— Przyjdę na pewno — odpowiedziałem nieswoim głosem^ ścis- kając szczerpłą dłoń profesora. — Przepraszam za ten nocny napad i dziękuję.

— Powinieneś rzadziej przeproszać, a częściej przychodzić. Jestem za stary na to, żeby zbyt długo czekać... — ostatnie słowa Amosja-na dobiegły mnie, kiedy byłem już przed furką.

Wysiadłszy na zachodnim dworcu Santa Rosa odprawiłem następnie autofon w miejscu, z którego otworzył się widok na wysrebrzony ocean i dalej poszedłem pieszo. Księżyc stał już dość nisko, wydłużone szarofioletowe cienie zabudowań, krzewów i palm leżały na ścieżkach jak warstwy zgęszczonej ciszy. Było bezwietrznie i niezwykle ciepło, zważywszy, że mój zegarek wskazywał dziesięć minut po drugiej. Pomyślałem, że robot, z którym tak bezpar- donowo obszedł się Stanza, nie byłby ze mnie zadowolony. Wyszedłem przecież rano w lekkiej przewiewnej bluzie, a teraz jest noc i spaceruję bez tego grubego, białego swetra, już zapewne oczyszczonego z plam i zacieków pozostałych po wczorajszej przygodzie.

Oczywiście, jeśli ktoś w ogóle uruchomił na powrót mojego tutejszego robota. Ale może sam włączał się ponownie po pewnym czasie?

Dotarłem do drogi biegnącej granicą plaży, skręciłem i szedłem dalej, wzdłuż brzegu, w stronę Aitheropolu. Tarcza Księżycy zbiegła nad powierzchnię oceanu i przypominała zachodzące Słońce, przyćmione pomroką nadciągającej burzy. Było jednak jeszcze dość jasno.

Minąłem jedno, potem drugie osiedle, obydwa ukryte w oazach wysokiej zieleni i oddaliłem się od wybrzeża. Droga, poprzecinana miejscami szerokimi stopniami, prowadziła na strome zbocze, należąca do pasma niskich wzgórz, które ciągnęły się wzdłuż oceanu jak zaniedbany od stuleci wał przeciwpowodziowy. Po pięciu minutach wspinaczki przeszedłem przez pierwszy mostek, spinający brzegi wąskiego wąwozu, wciętego głęboko w gliniasty grunt. Dalej ścieżka biegła już prosto, trawersując wzniesienie, którego wyższe, porośnięte trawą partie nadal połyskiwały światłem Księżycy, łamiącym się w kropelkach rosy.

Za niewielkim nawisem skalnym, który droga omijała ciasną, niemal zamkniętą pętlą, ujrzałem następny mostek, a przed nim rząd ostrzegawczych lampek strzelających rytmicznie pomarańczowym

światłem. Lampki stały na wysmukłych kolumnkach po obu stronach ścieżki, a refleksy na ścianach wąwozu świadczyły o tym, że umieszczono je także na jego dnie. Mrużąc oczy minąłem pierwsze światła, po czym zatrzymałem się, oparłem o balustradę i spojrzałem w dół.

Właśnie tym kanionem biegł od miast do oceanu jeden z głównych fotokolektorów, którymi rozbity na nieszkodliwe drobiny pyłu, pozostały po przetworzonych tysiącach ton odpadów przemysłowych i śmieci, gnany falami światła, pędził ku wodom Pacyfiku. Obecną, uśpioną i martwą porę doby przed wczesnym, letnim świtem wykorzystano, widać, dla dokonania okresowego przeglądu lub usunięcia jakiejś awarii, ponieważ pode mną panowała gorączkowa krzątanina. Kilkanaście małych robotów naprawczych błyskało na przemian laserowymi palnikami. Pokrywa kolektora, ukryta zwykle pod darnią, była uniesiona. Na jej wewnętrznej, gładkiej powłoce tańczyły płomyki światła, świadczące o tym, że praca wewnątrz samego tunelu. Z boku, wtulone pod strome zbocze wąwozu, stały dwa podłużne pojazdy, którymi przybyły ekipy techniczne.

— Góro! Góro!

Stłumiony, kobiecy krzyk zabrzmiał za zboczem, które obiegała ścieżka po opuszczeniu mostka. Uniosłem głowę i spojrzałem przed siebie, ale kłujące błyski lampek nie pozwalały sięgnąć wzrokiem poza oświetlony odcinek drogi.

— Góro! Chodź tutaj zaraz! Góro!!!

Usłyszałem najpierw charakterystyczny, miękki tętent na cienkiej kładce, a następnie radosne dyszenie, które umilkło, gdy pies zatrzymał się na kilka sekund, by z uwagą obwąchać moje nogi. Nie znalazł w nich, widać, nic godnego uwagi, bo niemal natychmiast pobiegł dalej. Przeleciał przez mostek i zahamował gwałtownie w miejscu, gdzie ścieżka zataczała ostry łuk, biegnąc nad pionowym urwiskiem. Tam, zwiesiwszy łeb nad krawędzią przepaści, zaniósł się ostrym ujadaniem, świadczącym, że pracujące na dnie wąwozu towarzystwo stanowczo nie przypadło mu do gustu.

— Góro!!! — krzyk zabrzmiał znacznie bliżej.

Już miałem się odwrócić, by uspokoić właścicielkę wojowniczego czworonoga, gdy dostrzegłem kątem oka, że ten wcale nie zamierza poprzestać na obszczekaniu robotów. Ostrożnie postawił na stromiu jedną łapę, potem drugą i nagle zaczął osuwać się w dół. Jakieś pięć metrów niżej w gliniastym zboczu odślaniała się skala, zbiegająca płaskim murem na samo dno rozpadliny. Kot przeżyłby może upadek z takiej wysokości, pies na pewno nie.

Dopadłem go, kiedy ze ścieżki widać było jeszcze ozdobiony puszystą kitką koniuszek jego ogona. Tym razem nie mógłbym się pochwalić żadną chłodną kalkulacją, żadnym trzeźwym a błyskawicznym obliczeniem szans, z czego byłem taki dumny po wczorajszej przygodzie na przystani. Wiedziałem tylko, że złapię tego psa, ponieważ jest ode mnie lżejszy i będzie spadał wolniej. Nie pomyślałem natomiast, czy nie polecę z nim razem.

Złapałem go istotnie. Zacisnąłem lewą garść na jego kudłatej skórze i od razu gwałtownym

ruchem ciała przewróciłem się na plecy. Coraz szybciej sunąłem w dół, coraz bliżej były bielejące w półmroku skały, a za nimi pionowa przepaść. Rozstawiłem nogi i ile sił zacząłem wpiierać w grunt obcasy moich lekkich butów. Pomogło. Przyhamowałem, a niebawem natrafiwszy prawą stopą na jakiś mocniej osadzony kamień, zatrzymałem się. W tym samym momencie nad sobą usłyszałem krótki, rozpaczliwy okrzyk, na głowę posypały mi się bryłki ziemi i nagle zwałił się na mnie wielki, bezkształtny ciężar. W pierwszej chwili odniosłem wrażenie, że to uderzenie wyrwało mnie z mojej bezpiecznej pozycji i rzuciło w powietrze. Ułamek sekundy później uprzytomniłem sobie, że nadal leżę na plecach i tylko znowu zacząłem się osuwać, a równocześnie że to, co przewaliło się przede mną i poleciało w dół, jest człowiekiem, kobietą, właścicielką psa. Odruchowo wyciągnąłem prawą rękę i udało mi się ją chwycić w momencie, gdy znikła już za krawędzią skały. Zaraz potem moje pięty jakimś cudem znowu chwyciły oparcie. Poczujęm, że któreś z nich, albo pies albo jego pani, próbuje się uwolnić.

— Nie ruszać się!!! — wrzasnąłem, zaciskając mocniej dłonie.

Odpowiedzią był piskliwy skowyt. Podciągnąłem psa troszeczkę wyżej, co pozwoliło mi chwycić go nieco pewniej i tylko za fałdy skóry na karku. Od razu przestał piszczeć i przywarł do mojej ręki, jakby wreszcie zrozumiał, że ta ręka niesie ratunek.

— Proszę się nie ruszać — powtórzyłem spokojniej. — Czy pani leży na skale?

— Nie... — wydyszał niżej cienki, przerywany głosik. — Nie...

och, ja chyba w ogóle wiszę...

— Niech pani spróbuje położyć się na brzuchu... tylko bardzo ostrożnie... no?...

Ciężar, który podtrzymywałem prawą ręką, zwiększył się przez chwilę, a potem zelżał.

— Udało się?

— Tak... Myślę, że tak...

— Leży pani? •

— Tak...

— Proszę teraz oprzeć się całym ciężarem na ziemi, a równocześnie rękami i nogami wykonywać takie ruchy, jakby pani płynęła. Ale to-ma wyglądać jak na zwolnionym filmie. No, już!

— Nie mogę... o, dobrze? Chyba złapałam oparcie...

— Świetnie. Niech pani zacznie powoli pełznąć pod górę. Na razie będę panią ciągnął. Potem, kiedy znajdzie się pani koło mnie, proszę oprzeć stopy najpierw na moim kolanie, następnie biodrze, ramieniu i wreszcie na głowie. Jakbym był czymś w rodzaju drabiny. Dalej!

Zacząłem ostrożnie podciągać prawą rękę. Kobieta przestała się odzywać. Wreszcie ujrzałem jej głowę na wysokości moich oczu. Mimo wszystko zachowała zimną krew. I musiała być niezłe wygimnastykowana. Posuwała się w górę powoli, ale stale. W końcu poczułem podeszwę jej pantofelka na ramieniu i musiałem ją puścić, bo nie sięgałem już ręką tak wysoko. Zatrzymała się tylko na moment. Zaraz oparła drugą stopę na mojej czaszce i sekundę później uwolniła mnie od swojego ciężaru.

— No... — chciałem westchnąć z ulgą, ale zamiast tego syknąłem boleśnie. Dopiero w tej chwili poczułem, że plecy orze mi ostry szpic jakby tkwiącego sztorcem stalowego gwoźdźdź.

— Jestem już na ścieżce. Proszę chwileczkę poczekać... o! Wraz z tym ostatnim okrzykiem spadła na mnie z brzękiem metalowej klamerki psia obróżka, zapięta i uczipiona do skórzanej ^yczy, której koniec ginał w górze.

— Niech pan się chwyci linki! — usłyszałem. — Jest mocna. A ja siedzę i oparłam się nogami o kamienie. Nie puszcze... ~~ Ile waży pani pies?

—Co?... och, nie wiem! Chyba ż piętnaście kilogramów...

~~ To razem będzie ponad sto. Proszę uważać...

Nie odpowiedziała. Zresztą nie czekałem na odpowiedź. Chwycałem prawą ręką smycz powyżej obroży, lewą wraz z psem uniosłem w górę i przeturlałem się na brzuch. Znowu zjechałem parę centymetrów, ale nieznajoma trzymała rzeczywiście mocno. Pomyślałem z mimowolnym uznaniem, że byłaby niezłą partnerką w księżycowych wyprawach. Nie puściła smyczy nawet wtedy, kiedy wygramoliłem się już niezgrabnie na ścieżkę i, zdyszany, usiadłem na krawędzi stromizny. Odruchowo położyłem sobie psa na kolanach, po czym przyjrzałem mu się. W pomarańczowym świetle najbliższej lampki załśniły

wielkie, brązowe oczy, szeroko otwarte, jakby zdziwione. Spaniel. Złotorudy, kudłaty, chyba młody. Rozpiąłem

obróżkę i założyłem mu ją na szyję.

— Widzisz, kundlu — powiedziałem z wyrzutem. — Takie to jest życie. Ani psy, ani ludzie nie mają skrzydeł... — pogładziłem go po jedwabistej sierści. Ożywił się i chciał zeskoczyć. Przytrzymałem go i znowu syknąłem, ponieważ przy tym ruchu plecy przeszył mi prąd piekącego bólu. — No, idź pani — chwyciłem go za obróżkę i teraz dopiero odwróciłem się, żeby spojrzeć na jego

właścicielkę. Ramiona mi opadły. Zmartwiałem.

— Nie wiem, jak panu dziękować — wyszeptęła z przejęciem kobieta, a raczej dziewczyna, pochylając się nade mną. Obrzuciłem spojrzeniem jej zgrabną, szczupłą sylwetkę, po czym ponownie uniosłem głowę, wracając wzrokiem do jej twarzy, czerwonej od światła i od niedawnych emocji, niemiłosiernie pobrudzonej ziemią,

a tak dobrze mi znanej. Podwójnie dobrze!

— Kirsti? — szepnąłem niepewnie. — Kirsti czy też może...

— Proszę?... — przerwała. Ciągle nisko pochylona, patrzyła na mnie z rosnącym zdumieniem. Przez chwilę milczeliśmy oboje. Wreszcie potrząsnęła głową. Jej jasne, krótkie włosy załśniły jak

ogień.

— Góro, ty niedobry psie! — odezwała się niemal łkając. — Co ja mam z tobą zrobić?! Wie pan, on zawsze dostaje szału na widok robotów! — uklękła na jedno kolano i przygarnęła psa, który scho_wał pysk w zgięciu jej łokcia i trzymał go tam nieruchomo, jakby

szeptął jakieś przeprosiny.

Odetchnąłem głęboko.

— Czy pani ma może siostrę, lekarzkę? — spytałem po chwili, siląc się na spokój. — Wczoraj wieczór spotkałem na plaży kogoś... — urwałem. Nie mogłem wymówić słowa „podobnego”. Przecież to nie było podobieństwo. One były takie same. Kirsti, wczorajsza niefortunna amatorka kąpieli i ta tutaj, tuląca niesfornego spaniela. Wczoraj dopiero gdy ujrzałem uśmiech tej kobiety na przystani i wyraz jej oczu, kiedy się uśmiechała, uwierzyłem, że to nie Kirsti, przeniesiona cudownym sposobem ze swojej wysepki na jeziorze We-ner. Dzisiaj ta tutaj jeszcze się nie uśmiechnęła...

— Siostrę? — znowu spojrzała na mnie zdziwiona. — Aha — domyśliła się — spotkał pan kogoś podobnego do mnie? Jakaś Kirsti? Nie, nie mam siostry. Właściwie to poza Góro nie mam nikogo... — w jej głosie nie było cienia żalu czy skargi. — Ale to zabawne, wie pan... Lekarka — jej twarz rozjaśniła się. — Ja jestem pielęgniarką... mieszkam niedaleko stąd. „Mieszkam niedaleko”. Tak. T& także wczoraj słyszałem. Podałem jej smycz i wstałem. Plecy zapięły nieznośnie. Skrzywiłem się i odruchowo sięgnąłem ręką pomiędzy łopatki. Poczulem na palcach ciepłą, lepką wilgoć.

— Zna pani niejakiego Stanzę... do licha, zapomniałem, jak ma na imię... ale myślę, że pani powinna to wiedzieć?

— Proszę? Kogo?

— Stanzę — powtórzyłem zimno. — A, przypomniałem sobie: Roberta. Dla przyjaciół: Boba. No więc?

— Nie rozumiem, o czym pan mówi... — znowu potrząsnęła głową. W jej głosie brzmiało najszczerze niedowierzanie. — Och, krew! — wykrzyknęła nagle. — Pan jest ranny! No tak, plecy! Proszę się nie ruszać... ja zaraz...

Jej palce były chłodne i poruszały się z trudem. Ich delikatny dotyk przynosił ulgę.

— Ciekaw jestem, kiedy wszystko to zdarzy się pani naprawdę — powiedziałem, stojąc bez ruchu. — Czy miesiąc temu? Czy jutro? Czy za pięć lat? A może jeszcze później? Może teraz Jest pani ślicznym, różowutkim oseskiem? Więc co z tymi plecami? — spytałem, bo odsunęła się ode mnie, przestraszona.

— Czy pan... jak pan się czuje?

— Ja? Wybornie. A pani?

Nie odpowiedziała. Za to po krótkim wahaniu podjęła przerwane czynności i po chwili je

widać zakończyła, bo westchnęła z ulgą, odeszła kilka kroków i przyjrzała mi się podejrzliwie.

— Obawiam się, że będzie pan miał gorączkę — powiedziała cicho. — Na plecach jest dość głębokie przecięcie, a wokół niego zdrapana skóra. To na pewno musi bardzo boleć. Powinam...

— Nie bardzo boli — zapewniłem ją. — Sądzi pani, że zwariowałem? Niestety, byłoby to rozwiązanie zbyt proste i zbyt miłe... w każdym razie dla mnie. Kilka dni beztrudnej kuracji, parę seansów w starannie ocienionym pawilonie... nie. Więc pani naprawdę nic nie wie? No cóż, to zdumiewające, ale możliwe... zupełnie możliwe, Niech pani stanie bokiem do tej lampki. Proszę.

— Teraz muszę jak najszybciej wezwać -karetkę...

— Nie będzie żadnej karetki — rzuciłem stanowczo. — Dzisiaj już nie. Wystarczy mi pielęgniarka. Jak tylko ujrzę skrawek pojazdu z kabiną osłoniętą mleczną szybą, natychmiast skoczę tam — wskazałem brodą przepaść, na dnie której nadal najspokojniej krzątały się roboty. Żaden z nich nie był przecież automatem ratowniczym. — Wariatom nie wolno niczego odmawiać — ciągnąłem. —

Niech pani stanie tak, jak o to prosiłem. Przesunęła się odruchowo dwa kroki. Blask lampki padł na jej

twarz.

— Pan wcale nie jest wariatem — w jej głosie pojawiła się lekka nutka przekory. — Chociaż kto wie? Czy zdrowy, normalny człowiek rzuciłby się tam w dół, żeby ratować psa, w dodatku obcego? — uśmiechnęła się nagle. — Nie umiem powiedzieć, jak bardzo jestem panu wdzięczna... — nie, to nie był uśmiech lekarki znad przystani. Tak mogłaby się uśmiechać prawdziwa Kirsti, gdyby... — och, pan jest kochany! — wykrzyknęła cicho i zanim się zorientowałem, co ma zamiar zrobić, zarzuciła mi ręce na szyję. Poczulem jej wargi na policzkach. Wstrzymałem oddech. Po chwili odsunęła się.

— Góro, spokój! — upomniała z udaną surowością psa, który zaniepokojony faktem, że jego pani dotyka kogoś obcego, usadowił się między nami z zadartym łbem i rozdziawionym pyskiem. — Strasznie przepraszam — zreflektowała się, podnosząc ku światłu palce, poplamione krwią. — To dlatego, że ja tak lubię tego nieznośnego psa! Zapomniałam, że pan... bardzo pana uraziłam?...

— Nic a nic — odpowiedziałem zgodnie z prawdą. — Rzekłbym nawet, że wręcz przeciwnie. Zaaplikowała mi pani najcudowniejszy środek znieczulający, o jakim mogłaby tylko daremnie marzyć ofiara każdego innego psa, nie znoszącego widoku robotów. To nie pani wina, że ten środek bardziej przypomina w działaniu narkotyk aniżeli specyfiki, zalecane przez oficjalną medycynę.

Spuściła głowę. Wiedziałem, że powiedziałem głupstwo, ale brakowało mi słów, żeby to naprawić. Zresztą, o czym właściwie mógłbym mówić?

— Nazywam się Lindsay Hagert — wybrałem najprostsze wyjście. — Jestem astronautą, a wczoraj przyjechałem na dwutygodniowy urlop do Aitheropolu. Od razu wyłowilem z oceanu dziewczynę, która była jak dwie krople wody podobna do mojej koleżanki. Dzisiaj spotkałem panią... i znowu to uderzające podobieństwo. Jakbym miał do czynienia z trojaczkami. Dlatego początkowo mówiłem nieco od rzeczy. Przepraszam. A co do pleców, naprawdę przestały boleć. I naprawdę proszę nie wzywać karetki. Żeby uspokoić pani sumienie, pójdę teraz grzecznie gdzieś, gdzie będzie mi pani mogła założyć fachowy opatrunek. Zgoda?...

Zwlekała chwilę z odpowiedzią, w końcu jednak wyprostowała się, delikatnym ruchem przyciągnęła do siebie psa i spojrzała na mnie bez uśmiechu.

— Sądzę, że najlepiej będzie, jeśli pójdzie pan do mnie — powiedziała. — To rzeczywiście blisko. A stamtąd wezwiemy autofon.

— Dlaczego pan nic nie mówi? — spytała kilka minut później, kiedy schodziliśmy już szerszą w tym miejscu ścieżką w stronę światła osiedla, prześwietlających przez drzewa. — Wie pan, o czym myślę? Ale nie obrazi się pan?

— Widocznie umiem mówić tylko przy Księżycu — westchnąłem. — Właśnie zaszedł. Nie, nie wiem, o czym pani myśli. I nie obrażę się.

— Czy pan nie jest zakochany w tej swojej koleżance... Kirsti? Czy to przypadkiem nie dlatego wszystkie kobiety, jakie pan spotyka, wydają się panu do niej podobne?

— Nie. Przede wszystkim ona nie jest zakochana we mnie, a miłość bez wzajemności?... Nie. Astronomom doprawdy nie przystoi taki sentymentalizm. Poza tym ja nie Kocham nikogo... albo lepiej Kocham wszystkich — uśmiechnąłem się mimo woli — a to, chyba, wychodzi na jedno...

Znowu upłynęło parę minut.

• — To tutaj — powiedziała, wskazując krótką alejkę, prowadzącą do niewielkiego domu o prostych ścianach. — Zajmuję piętro, więc musimy zachowywać się cicho. Moi sąsiedzi z pewnością od dawna śpią. Ja miałam dzisiaj dyżur, a ponieważ Góro był cały dzień ze mną i nawąchał się szpitalnych zapachów, więc postanowiłam prze-wietrzyć go przed snem. Z psim nosem trzeba się obchodzić delikatnie...

Miała dyżur. Dyżur. Dokładnie, jak tamta.

Bezszelstna winda wypuściła nas w zasłoniętej doniczkowymi roślinami wnęce, stanowiącej część dużego, dwupoziomowego pokoju, który na nasze przyjęcie rozjaśnił się światłem ukrytych lamp. Białe mebelki były tak lekkie w rysunku, że nieomal unosiły się nad puszystą beżową wykładziną podłogi. W oknach pozbawionych zasłon, stały kwiaty. Na ścianach wisiało kilka ciepłych w tonie pejzażyków, pięć czy sześć starych, malowanych talerzy i dwa duże hologramy, przedstawiające spaniela Góro we wdzięcznych pozach.

— Och, nie wiedziałam, że wyglądam jak upiór!

Podszedłem do bocznych drzwi, zza których wybiegł ten okrzyk i zobaczyłem panią domu, stojącą pośrodku kolistej łazienki i przyglądającą się ze zgrozą swojemu odbiciu w lustrze. Trzeba przyznać, że istotnie nie wyglądała najlepiej. Jej zielona sukienka była w kilku miejscach podarta i powalana ziemią. Na twarzy miała brunatne i czerwone smugi. Pewno już po oględzinach moich pleców próbowała sobie poprawić włosy i otrzeć policzki, nie widząc w mroku, że jej palce są umazane krwią.

— Jak pani na imię? — spytałem.

Odwróciła się szybko. Kirsti... Spuściłem oczy.

— Nora... Nora Speyer. Z tego wszystkiego zapomniałam się nawet przedstawić. Strasznie przepraszam. Poza tym stoję i mizdrzę się do lustra, a przecież pan... — podbiegła do szklanej szafki, otworzyła ją i wyjęła dwie buteleczki. — Niech pan zdejmie koszulę.

I proszę się odwrócić.

Uśluchałem bez słowa. Pomogła mi się rozebrać, bo krew już zakrzepła i koszula, a raczej jej strzępy przywarły do pleców. Oczyściła zranione miejsce i natrysnęła opatrunek.

— Już. Na szczęście zadrapanie nie jest takie głębokie, jak myślałam. Zagoi się szybko. Ale to musiało paskudnie boleć. Wszystko przeze mnie...

— Przecież to nie pani kazała mi uprawiać wspinaczkę... czy raczej spadaczkę, i nie pani podrzuciła mi pod plecy taki ostry kamyczek. A teraz proszę mi oddać koszulę i doprowadzić się do porządku. Potem zaraz pójdę...

— Wykluczone — zaprotestowała stanowczo. — Niech pan nic nie mówi! — zawołała, widząc, że otwieram usta. — Jest pan moim pacjentem, a pacjenci muszą słuchać. Poza tym chcę panu trochę oczyścić i spróbować jakoś spać tę. koszulę... bo nie mam w domu niczego, co mógłby pan włożyć, a nie puszczę pana przecież gołego albo okrytego kocem. Proszę teraz usiąść i chwilę poczekać. Zaraz będę gotowa. Aha, i niech pan jeszcze przez trzy minuty nie opiera się o nic plecami. Opatrunek musi wyschnąć... — przy ostatnich słowach zaczęła szybko ściągać sukienkę. Zamknąłem usta, odwróciłem się, przeszedłem przez pokój i sztywno wyprostowany usiadłem w jednym z dwóch foteli umieszczonych pod oknem, obok niskiego stoliczka i glinianej misy z kwitnącymi kaktusami. Z małej kuchni, widocznej przez otwarte drzwi, dochodziły odgłosy smakowitego chleptania, zagłuszone po chwili przez szum wody w łazience. Góro, ugasiwszy pragnienie po szpitalnych zapachach, spacerze i nadzwyczajnych nocnych emocjach przyszedł, uniósł mokry pysk, przyjrzał mi się bez entuzjazmu, po czym z głębokim westchnieniem opadł na podłogę u moich nóg. Pochyliłem się i podrapałem go za uszami. Natychmiast przewrócił się na grzbiet, poruszył < niedbale łapami i zasnął.

Wyprostowałem się i rozejrzałem po pokoju. Jakie to dziwne, że tutaj jestem. Jestem?... No tak. W pewnym sensie jestem. W takim samym, w jakim nie ma tu żadnej „podobnej” do Kirsti pielęgniarki ani też jej psa. Ale przecież jeśli wierzyć Stanzie, to sytuacja, w jakiej się znalazłem, jest najzupełniej autentyczna, a tylko przesunięta w czasie. Jednak czy ta sytuacja dotyczy także mnie, czy jedynie mojej obecnej nie istniejącej, a raczej obecnie nie istniejącej, gospodyni? Więc jak to jest? Kiedyś, w swoim oby długim i szczęśliwym życiu niejaka Nora Speyer spotka nocą człowieka, który uratuje jej psa i podrapie sobie przy tym plecy. W jakim stopniu ten człowiek będzie mną? W żadnym, przynajmniej z punktu widzenia prawdziwego Lina Hagerta. A dla niej? Czy spotka kogoś, kto będzie tak podobny do mnie, jak ona do Kirsti? Nie, to sen. Cała droga od Amosjana i wszystko, co mnie na niej spotkało, to tylko gra, z której ja sam zostałem z góry wyłączony, ponieważ biorący w niej udział, nie znani mi partnerzy upatrzili sobie jako szachownicę moją bezwonną podświadomość. Ale czy rozmowa z profesorem nie była także snem? Czy nie było snem wszystko, co przeżyłem od wczoraj?

Ten sen, teraz, był jednak inny. Spokojny, pogodny, zwyczajny. Podejrzanie zwyczajny. Nigdy dotąd nie miewałem snów, w których czułbym się tylko i po prostu spokojny. To przecież za mało jak na sen. Nie ma wspaniałej i nieco onieśmiałej wizji wyprawy „P — G”, nie ma „Araratu” na orbicie Marsa ani galaktycznego statku z geonicznymi akceleratorami. Nikt nie mówi o gwiazdach, o skomplikowanych sprawach ziemskich cywilizacji, o istotach z innych układów ani o podróży do prapoczątku czasu, w wyniku której powstanie, nie, nie powstanie, lecz powstał inny wszechświat i inne życie...

Uśmiechnąłem się, wsunąłem głębooko w fotel zapominając o opatunku, który zresztą z pewnością już zastygł, położyłem głowę na oparciu. A może to życie, nasze i innych, musi być takie, jakie jest, jeśli ma wśród trudów, trosk i pozorów dawać ludziom także krótkie chwile wielkiego, cudownego wytchnienia? Jedna z najstarszych myśli, poprzedzających rozwój filozofii — a przecież wcale nie wydaje mi się banalna. Może naprawdę razem z kłopotami zniknąłaby i radość? Szczęście? Zaraz... Czy to znaczy, że ja, teraz...

Odetchnąłem głębooko.

— Dobrze mi tutaj — powiedziałem półgłosem, nie odrywając oczu od sufitu.

— Cieszę się... — usłyszałem cichą odpowiedź. Opuściłem głowę. Stała na środku pokoju, patrząc na mnie spod półprzymkniętych powiek. Czułem, że powinienem coś wyjaśnić, przeprosić ją, zrobić cokolwiek, wreszcie wstać i pójść sobie, ale ogarnęło mnie takie zmęczenie czy rozleniwienie, że nie mogłem wykonać najmniejszego ruchu.

— Wszystko przemawia za tym, że zaraz zasnę... i wtedy okaże się, że to naprawdę sen...

— Musi pan być osłabiony — powiedziała rzeczowo. — Proszę chwilkę poczekać, zrobię kawę.

— Dobrze. Tylko mocną — nagle przypomniałem sobie, że przez cały dzień, od śniadania, nie miałem nic w ustach. — Jestem głodny — zakończyłem ze zdziwieniem.

Odrzuciła się i z cichym „och” wybiegła z pokoju. Śpiący pod moimi nogami pies poruszył się i zaczął smacznie pochrapywać.

Zbudził mnie przytłumiony stuk.

— Noro?... — mruknąłem, nie otwierając oczu.

— Co pan tutaj robi?! — odpowiedział mi ostry, kobiecy głos, którego brzmienie nie było mi zupełnie nieznanym. Poderwałem się jak na sprężynie.

— Nie wiem, proszę pani, kiedy ten pan przyszedł — przemówił z drugiego końca pokoju inny znajomy głos. Wszystkie automaty, jak Ziemia długa i szeroka, mówią tak samo. Żeby nie było nieporozumień. Przypomniałem sobie jednak, że Nora nie ma domowego robota. Wspomniała przy kolacji, tłumacząc, dlaczego przyrządza ją własnoręcznie, że to z powodu Goro, który ich nie znosi, o czym zresztą przekonałem się już uprzednio na własnej skórze, w dosłownym znaczeniu tego słowa.

— To... pan?! — w głosie kobiety pojawił się ton niemiłego zaskoczenia.

Spojrzałem na nią. Ten wyraz oczu. Ten nieuchwytny grymas wokół warg. Kirsti... Nora...

Ani jedna, ani druga. Ale przecież...

Rozejrzałem się. Leżałem na niskim, szerokim tapczanie, spływającym falą błękitnej, mięsistej tkaniny na podłogę, na której nie pozostało śladu beżowej wykładziny. Nigdzie ani jednej doniczki z kwiatami. Wielkie nagie okna opinały fałdy rozsuniętych złocistych zasłon. Meble nie białe, tylko brązowe, lśniąco odbijające promienie słońca. Na ścianach dużo kunsztownie modelowanych ozdób ze szkła. Widoczki, talerze i portrety psa zniknęły tak samo jak kwiaty.

— Przedwczoraj uratował mi pan życie... za co jestem panu niezmiernie zobowiązana — powiedziała kobieta, stojąc nadal nieruchomo u wejścia do wnęki, wewnątrz której ujrzałem zamknięte drzwi windy. — To jednak jeszcze nie znaczy, aby miał pan prawo włamywać się do mojego domu i spać w moim łóżku... do tego nago.

Odruchowo podciągnąłem wyżej błękitne jak i tapczan prześcieradło, którym byłem nakryty.

— A więc to pani — skinałem głową. — Tak właśnie myślałem. Miała pani dyżur, co? Dzisiaj się trochę przeciągnął?

Zmarszczyła brwi.

— Ostre dyżury kończymy o ósmej rano. Teraz jest dziewiąta. Wtedy, zanim spotkaliśmy się na przystani, miałam zwykłe godziny konsultacyjne. Czy powie mi pan, co pan tutaj robi?

Spojrzałem na zegarek. Było dziesięć po dziewiątej. A więc wyspałem się. Mimo wszystko.

— Może zapytałaby pani o to niejakiego Roberta Stanżę? Łatwo go poznać. Nawet w największe upały nie rozstaje się z długą, niebieską peleryną. Sam byłbym ciekaw jego odpowiedzi.

— Ro... cóż to za brednie?! Nie znam nikogo o tym nazwisku!

— A tak, naturalnie. Ale mnie też pani nie zna. Może nigdy jeszcze nie widziała mnie pani na oczy, a może już pani o mnie zapomniała. Jestem odbiciem zabłąkanego promyczka, przybywającego z innego czasu. Rozumie pani?

— Nie.

— Ja także. Czy pani jest może psychiatrą?

— Nie. Chociaż właśnie myślę...

— Niech pani nie myśli. Nazywam się Lindsay Hagert. Jestem astronautą. Wchodzę w skład załogi „P — G”. Astronauci nie wariują na zamówienie, nawet wówczas, gdy mają na to ochotę. Proszę się łaskawie odwrócić, żebyśmy mógł włożyć spodnie.

Przyglądała mi się przez chwilę nieufnie, po czym zniknęła wewnątrz niszy.

— Czy mam podać śniadanie dla dwóch osób? — spytał robot.

— Nie — ubiegłem ewentualną odpowiedź jego właścicielki. — Właśnie wychodzę — dodałem, wciągając koszulę. Była brudna, pokrzwawiona i przecięta na plecach niemal na dwie połowy, przychwycona tylko w kilku miejscach sprytnymi zapinkami. Wydarzenia minionej nocy nie były snem ani złudzeniem... przynajmniej jak do tej pory. Ale widok tej koszuli podsunął mi pewien pomysł. — Dziękuję i przepraszam za wszystko — dołożyłem starań, aby mój głos zabrzmiał lekko i pewnie. — Już jestem gotowy. Niech pani popatrzy na moje plecy — podszedłem do wnęki i odwróciłem się, demonstrując ślady akcji, podjętej dla ratowania nie istniejącego psa. — Miałem wczoraj mały wypadek — ciągnąłem, patrząc prosto w oczy lekarki. — Jacyś ludzie przyprowadzili mnie tutaj... pewnie myśleli, że pani jest w domu i zechce pani udzielić mi pierwszej pomocy. Zresztą nic wielkiego się nie stało. Zwykłe zadrapanie.

Zobaczyli, że nikogo nie ma i pewnie sami się mną zajęli, korzystając z pani apteczki. Inaczej nie umiem wyjaśnić, skąd się tu wziętem... — przynajmniej zakończenie było szczere.

— Dziwni ci ludzie. Powinni byli wezwać karetkę. Wydawać by się mogło, że to minimum ofiarności, jakiej można oczekiwać w takich sytuacjach od przypadkowych przechodni — odrzekła z przekąsem.

— Widocznie spotkałem takich, którzy nie lubią poprzestawać na minimum. A teraz przepraszam i do widzenia — chciałem ją ominąć, by podejść do windy, ale zastąpiła mi drogę.

— Być może nie byłam zbyt miła — powiedziała łagodniejszym tonem — ale sam pan rozumie — wykonała nieokreślony ruch ręką. — Nazywam się Iris North, pracuję w tutejszym szpitalu. Zanim pan odejdzie, proszę mi pokazać te plecy. Nie wyglądają zbyt ładnie.

— Są już w porządku — potrząsnąłem głową. — Na mnie goi się wszystko jak na psie. Jak

na złotorudym spanielu, o imieniu, dajmy na to, Góro — usłyszałem w moim głosie nutkę żalu, która mnie samego niemile zaskoczyła. — Żartuję, oczywiście — dodałem szybko. — Naprawdę proszę się nie kłopotać. Jeśli pani pozwoli, wpadnę kiedyś z kwiatkami, żeby jeszcze raz uroczyście przeprosić za cały ten idiotyczny incydent.

— Nie zastanie mnie pan. Jutro wyjeżdżam na urlop.

— Tak? — rzuciłem, wchodząc do windy. — Zabawne. Ja, wie pani, właśnie wczoraj także zacząłem urlop...

Najdziwniejsze, że była to prawda. Przecież spotkałem ją na przystani niemal od razu po wylądowaniu na Ziemi. Powiedzmy, że nie wczoraj, tylko przedwczoraj. Ale tak czy owak jestem tutaj niewiele ponad czterdzieści osiem godzin. Zdumiewające...

Czekał na mnie na tarasie jak wtedy, kiedy obiecałem zejść po skończeniu śniadania. Miał na głowie tę samą śmieszoną, okrągłą czapkę ze zbyt długim daszkiem. Był szczelnie spowity w swoją pelerynę, jakby dokuczało mu zimno. Może przestał tutaj całą noc? Nie. On przecież wiedział, co się ze mną dzieje.

— Dzień dobry — powitałem go. — Znowu pobawiliśmy się trochę czasem, jakby to była laleczka, sporządzona z niezwykle rozciągliwej gumy. A propos laleczka. Czy mógłby mi pan powiedzieć, która z nich była prawdziwa? Była czy będzie, mniejsza o szczegóły?

— Nie wiem — odparł poważnie. — Do pewnego stopnia to zależy także od pana. Co do nas, to praktycznie nie mamy kontroli ani nad powstawaniem, ani też przebiegiem kolapsów czasu wokół pana, tutaj, i w tej rzeczywistości. Dzieje się tak od momentu, gdy pierwszy raz wprowadziliśmy pana w ostatnie stadium przygotowań... to znaczy od tego zajścia z tonącą kobietą. Winę za ten stan rzeczy, jeśli można mówić o winie, ponoszą zespoły koordynujące naszego ośrodka, odpowiedzialne za ostateczny efekt prowadzonych tam prac, obejmujących również proces szkolenia pilotów... a raczej pilota. Utrzymują one z panem swoisty kontakt, przy którym nieuniknione jest powstawanie przynajmniej okresowych sprzężeń. Dlatego powiedziałem, że nakładanie się czy wzajemne przesuwanie odcinków czasu, wyjętych z poszczególnych geometrii przestrzeni, zależy do pewnego stopnia także od pana.

— Aha — mruknąłem. — Pan nie „sugeruje” mi już, co mam myśleć. Wyłączają pana wasze maszyny. Są lepsze. One sterują także moją podświadomością... przy okazji poddając ją próbom w sytuacjach niby to ekstremalnych, a w gruncie rzeczy jakby zaczerpniętych z marnych staroświeckich romansideł. Tyle tylko, że grają przy tym na geometrii czasoprzestrzeni lub też geometriach czasoprzestrzeni jak na fortepianie, uderzając na ośle w przypadkowe klawisze.

— Nie — zaprzeczył łagodnie. — Po pierwsze, co do tych romansideł, to może pod pewnymi względami nie były one aż tak marne, skoro jednak owe klawisze potracają w panu struny, znajdujące nader żywy rezonans. A po drugie nie potrafiłbym wprawdzie powiedzieć, jak działają nasze zespoły koordynujące, bo my zaprogramowaliśmy jedynie efekty ich pracy i te tylko możemy kontrolować, ale one z pewnością niczego panu nie narzucają. Założmy dla uproszczenia, że niektóre zdarzenia przebiegają tak, jakby pan już wrócił z zamierzonego przez nas lotu. Co, oczywiście, nie oznacza, że te same zdarzenia powtórzą się, kiedy wróci pan naprawdę. Strzała czasu wcale nie jest jedynie dwukierunkowa, jak o tym poucza wasza fizyka. Przepraszam, pytając, która z nich była „prawdziwa”... to swoją drogą brzmi trochę nie dorzecznie, ale mniejsza o słowa... otóż stawiając to pytanie miał pan na myśli trzy kobiety?

Coś we mnie drgnęło. Szybko rozejrzałem się po hallu, żeby uciec od jego przenikliwego wzroku. Kiedy po chwili odezwałem się znowu, mój głos brzmiał niemal normalnie.

— Jeżeli był pan uprzejmy uruchomić na powrót mojego robota, to zapraszam pana na śniadanie. Jeśli jednak miałbym je robić sam, to wolałbym się nie kompromitować...

— Pański robot funkcjonuje normalnie — odpowiedział. — Ale ja nie jestem głodny, dziękuję. Poczekam tutaj... tak jak wczoraj. A potem pojedziemy, prawda?

Rozdział IV

Tkwiałem wtopiony w bryłę wyciosaną ze światła. Jego promienie biegły tylko do wewnątrz; rzeźbioną, wielkopłaszczyznową skorupę mojego więzienia widziałem tak, jak nurek z głębokości pięciu metrów widzi lustro wody. Poza nią nie przedostawała się ani jedna pojedyncza smuga jasności, by pomknąć w czerń panującą dokoła statku. Dopiero bardzo daleko, a raczej głęboko lśniły gwiazdy jak drobnutki, złote nakłucia.

Przedemną zataczał łuk wąski, panoramiczny ekran, także unieruchomiony w litej bryle pojazdu i także przezroczysty, choć skądinąd jego krawędzie oraz wyświetlane na nim obrazy i dane liczbowe rysowały się zupełnie wyraziście. Gdy chciałem, mogłem patrzeć przed siebie w nieskończoną przestrzeń kosmosu, a kiedy było trzeba, mój wzrok bez trudu odnajdywał w odległości zaledwie metra zielonkawą linię drogi, pulsujące nitki czujników i okienka, w których przeskakiwały rzędy cyfr. Te ostatnie były tak jak podczas pierwszego „seansu” rozdzielone lub spójne rysunkami, podobnymi do przestrzennych rzutów obiektów nieistniejących, ale po dniu spędzonym przed datorami podziemnego ośrodka nie przedstawiały one już dla mnie tajemnic, natomiast „język” wszystkich pozostałych wskaźników, wcześniej jeszcze ujednolicony, odbierałem tak łatwo, jakbym siedział za sterami zwykłej roboczej sondy.

„Szkolenie” zaprogramowane przez Stanzę, a przeprowadzone za pośrednictwem automatów, łącznie z ich przedziwnymi „zespołami koordynującymi”, okazało się nadspodziewanie skuteczne: Wsiadając u schyłku pracowitego dnia do kryształowego statku byłem pewny, że potrafię sobie z nim poradzić. Mogłem śmiało powiedzieć, że go znam, oczywiście w taki sposób, w jaki zna raketę pilot, a nie konstruktor. Wiedziałem, jak działają generatory napędu załamującego, co muszę zrobić chcąc przejść na ręczne sterowanie i jak powinienem się zachować w razie niebezpieczeństwa lub awarii. Nie wiedziałem tylko, na jakich prawach fizyki albo lepiej: na prawach jakiej fizyki oparli się projektanci pojazdu.

Określenie „wsiąść do statku” było zresztą także najzupełniej umowne w wypadku tego lodowego obelisku, skomponowanego z przenikających się wzajemnie, niedorzecznie wydłużonych trójkątów, które tworzyły zamkniętą strukturę jedynie — tak wydawało się na pierwszy rzut oka — dzięki osobliwemu złudzeniu optycznemu. Zostałem po prostu wessany w głąb bryły, jak przede mną zostały wessane urządzenia napędowe, automaty nawigacyjne, ogniwa energetyczne, miotacze antymeteorowe, cała pokładowa aparatura, obecnie — zależnie od mojej woli — widoczna lub przezroczysta. Kiedy chciałem się poruszyć lub zmienić pozycję, wystarczyło wywrzeć nieco silniejszy nacisk na otulającą mnie szczelnie kryształową masę. Ustępowała od razu. Tak samo mogłem opuścić pojazd. Tylko wsiadanie wymagało interwencji specjalnego urządzenia w kształcie małego, czarnego pudełeczka. Było ono przy-mocowane do rękawa mojego lekkiego skafandra, tak podobnego do znanych mi dotąd próżniowych ubiorów, jak piżama do zbroi średniowiecznego rycerza. Ciekaw byłem, czy wnikając do wnętrza tej szklanej góry, ja sam, dla kogoś patrzącego z boku, także stawałem się niewidoczny, ale zaspokojenie tej ciekawości przekraczało moje możliwości. Zresztą, musiałem obserwować czujniki. Poza tym nic innego nie miałem do roboty. Statek prowadziły automaty. Wychodziłem właśnie, po przecięciu orbity Plutona, z płaszczyzny ekliptyki Układu Słonecznego.

Rzecz jasna, w rzeczywistości nie było żadnego lotu, podobnie jak nie było, w każdym razie tutaj, pojazdu zbudowanego z kostek szlifowanego szkła. Nadal znajdowałem się w szkole. Właśnie trwała ostatnia z dzisiejszych lekcji. Kolejny etap „kursu”, przygotowanego dla mnie przez Stanzę i jego kompanów.

Zajęcia odbywały się w innej sali niż wczoraj, podczas pierwszych odwiedzin w podziemnym ośrodku. I tutaj znalazłem zaciszny kącik mieszkalny, poza nim jednak wewnątrz okrągłego pomieszczenia nie było żadnych pulpity ani urządzeń oprócz ogromnego, wklęsłego ekranu, przed którym stał zwykły, lotniczy fotel. W nim właśnie tkwiłem przez cały dzień z jedną krótką przerwą na obiad, podany mi przez robota podobnego do żółtej mrówki. Wprawą poręcz tego fotela wprawiona była płytka z pięcioma ponumerowanymi klawiszami. W tej chwili ukryta, czerwona lampka podświetlała cyferkę „pięć”. Ostatni punkt dobowego programu. Pozorowany lot. Poprzednio uczyłem się i c h matematyki oraz i c h astronawigacji. Patrzyłem, słuchałem i zapamiętywałem. Teraz w proces poznawania zostały wciągnięte

wszystkie moje zmysły. Uczucie, że siedzę w prawdziwym statku, który właśnie opuszcza nasz Układ, było znacznie silniejsze niż w czasie seansu fantomatycznego, jaki mogli mi zaoferować ziemscy specjaliści od medycyny, nie tylko zresztą kosmicznej.

Za pierwszym ekranem poszatkowanym u dołu na okienka wskaźników ujrzałem nagle drugi, bez porównania większy, przesłaniający perspektywę czarnej przestrzeni, w którą do tej pory mogłem patrzeć bez przeszkód. Jego tarcza wciąż jeszcze rozrastała się i ciemniała, aż w końcu nie tylko przesłoniła sobą gwiazdy, lecz także wchłonęła całą mniejszą; bliską tablicę, przemawiającą do mnie dotychczas świeżo poznanymi symbolami niosącymi informacje, związane z przebiegiem lotu. Początkowo myślałem, że statek rozwinął już zbyt dużą prędkość i że na skutek tego automatycznie włączyły się kamery dalekiego zasięgu, aby wspomóc niedoskonałe, ludzkie oczy. Ale przecież w wypadku tego statku nie mogło być mowy o prędkości jako elemencie nawigacji. Odpowiedź otrzymałem po upływie zaledwie kilku sekund. Na tym nowym wielkim ekranie także ukazał się obraz obramowany szeregami i rzędami danych. Zrozumiałem, że pojawił się dodatkowy przewodnik po krainie iluzji, jaką przemierzałem z woli moich tajemniczych „nauczycieli”.

Pędziłem teraz prosto w znaną mi tak dobrze panoramę Ziemi, widzianej z wysokości, na jakiej krążą małe satelity. Świetlisty dziób mojego pojazdu, widoczny u dołu owej wielkiej tarczy jak ostry brylant wbity w regularną bryłkę opalu, celował dokładnie w środek kontynentu afrykańskiego. Ale Ziemia nie zbliżała się. Przeciwnie, uciekała przede mną, jakby popychana niewidzialną ręką, mknącą przed statkiem. Równocześnie zaczęła ulegać szybkim przemianom, tym szybszym, im większa była umowna prędkość kryształowego wehikułu. Zarysy lądów zmętniały, a następnie cały

glob zasnuł się dymem, przez który coraz częściej przebijały jaskrawe łuny wybuchów. Dane przeskakujące obok obrazu mówiły o tym, że na planecie rozpada się najpierw lód, następnie wraz ze wzrostem temperatury serpentyn, potem minerały grupy oliwinów... Wyskoczył wzór siarczku żelaza uwolnionego z żelazo-niklowego jądra, aż w końcu samo jądro uległo dekondensacji i Ziemia, w postaci chmurki pomarańczowego pyłu, zniknęła wchłonięta przez wielki, lecz kurczący się z każdą sekundą świecący obłok. Teraz z kolei zobaczyłem Słońce.

Wiedziałem, że jeśli w mojej wędrówce do centrum wszechświata, czyli do jego początku, osiągnąłem etap sprzed powstania Ziemi, to i naszej gwiazdy albo także już nie ma, albo tli gdzieś w swojej mgławicy w postaci gazowo-pyłowego roju. Ale nic z tego. Twórcy programu pozorującego lot postanowili przedstawić mi poszczególne etapy mojej przyszłej drogi dokładnie i po kolei. Tak więc z informacji, jakich teraz dostarczał mi ekran, wynikało, że właśnie przekraczam punkt, kiedy rozpoczęła się reakcja syntezy jąder helu z jąder wodoru, że następuje dalsze ochładzanie i stopniowy zanik sił grawitacyjnych. Wreszcie Słońce podzieliło los Ziemi. Pozostała jeszcze Galaktyka, daleka, przesłonięta głębokim, półmaterialnym oparem, jakby czekająca na swoją kolej. Nie czekała długo. Wkrótce rozpadły się i jej ramiona spiralne, rozpoznawałem czarne przed chwilą miejsca, w których wybuchały płonące olbrzymy, patrzyłem na odwrócone eksplozje słońc neutronowych, wychwytywałem wzrokiem błyskające najbliżej kwazary, pomykające niby forpoczy już nie tego, co było, ale tego, co dopiero nastąpi. Pramgławica pierzchła z ekranu, gdy neutrony nie zaczęły jeszcze wiązać się z materiałem jądrowym, a z danych wynikało, że do celu mojej wędrówki pozostało niecałe milion lat. Przeskoczyłem je nie wiedząc kiedy, jakbym przewrócił kilka kartek nudnej powieści. Instynkt pilota powiedział mi, że zwalniam, zanim zdążyłem poszukać potwierdzenia tego odczucia w danych liniowych z boku ekranu.

Nie pomyliłem się. Do końca, a więc do początku, już tylko trzy minuty. Czujniki wyłapują zaledwie ślady materii, przegapiłem moment, kiedy mogłem jak na odwróconym filmie zaobserwować zjawisko przekształcania energii w cząstki elementarne. Temperatura na zewnątrz — miliard stopni. Statek całkowicie nieczuły na to, że znalazł się w czeluści najgorętszego pieca, jaki kiedykolwiek zaistniał, hamuje w dalszym ciągu. Została jedna sekunda. Gęstość masy otaczającej mnie przestrzeni wyraża jedyneką z dziewięćdziesięcioma siedmioma zerami kilogramów na metr sześcienny, temperatura osiąga miliard bilionów stopni kelwina. Wreszcie stoję. Gdyby minęło jeszcze dziesięć do minus czterdziestu czterech sekundy, oblany szkłem niewzruszonym na nic, cokolwiek groźnego jest w stanie przedstawić sobie ludzka wyobraźnia, znalazłbym się

w centrum prawybuchu. A potem mógłbym polecieć dalej, głębiej w czas, d o k ą d?...

Wyprostowałem się i przenikając dłonią przez substancję pojazdu sięgnąłem do płytki z klawiszami na oparciu fotela. Nacisnąłem „zero” i odetchnąłem.

— Bardzo to wszystko piękne — powiedziałem półgłosem, patrząc na zmatowiałą tarczę wklęsłego ekranu, stojącą na wprost mnie w pustej sali. — Przeciąłem jak nożem niech będzie, że nawet „n”-wymiarowe i niejednorodne kontinuum świata, ale świata martwego. A przecież wasz „ośrodek” — nie mogłem się powstrzymać, by nie wymówić tego słowa z lekkim przekąsem — ma ponoć służyć rekonstrukcji życia. Wiem już, jak polecę. Nadal nie wiem, po co?

— To pytanie padło już, kiedy rozmawiał pan z profesorem Amo-sjanem, a powróci podczas naszego ostatniego spotkania... jeśli i wówczas uzna pan, że trzeba je powtórzyć — rzekł Stanza, wchodząc przez drzwi, które otwały się przed nim bez najmniejszego szmeru. — Natomiast co do problemu życia we wszechświecie to przewidzieliśmy na jutro wznowienie ostatniego punktu dzisiejszego programu, w odpowiednio zmienionej wersji. Pan ma znakomite przygotowanie... także teoretyczne, sądziliśmy jednak, że przed startem do zaplanowanego przez nas lotu, który mimo wszystko będzie stanowić dla pana pewną nowość, powinniśmy dla uzyskania maksymalnej jasności rozbić cykl szkolenia na poszczególne elementy... jakby na pojedyncze wymiary tej samej, złożonej struktury geometrycznej. Przyznaję, że ten podział jest sztuczny, a nawet trochę nielogiczny, ale na przykład dzisiejsze doświadczenie pozwoli panu jutro skoncentrować całą uwagę na sprawach materii ożywionej.

Wstałem i zacząłem powoli iść w stronę drzwi.

— Nadal jest pan pewny, że przyjdę tu znowu jutro i pojutrze, i kiedy tylko skiniecie na mnie palcem? — spytałem. — **Ze** wciąż

będę takim grzecznym uczniem, aż do dnia, w którym wy uznacie mnie za dość mądrego, a ja sam siebie za dostatecznie ogłupiałego, aby przyjąć waszą... nazwijmy to tak, ofertę?

— Jestem pewny, że pan tę ofertę dokładnie rozważy — odpowiedział spokojnie. — A do tego musi pan zdobyć więcej przesłanek. Wiadomości.

— Hm... — mruknąłem, przystając obok niego. — Właśnie. Cq, się tyczy wiadomości. Jak to jest, że wewnątrz tego waszego statku mogę się poruszać, chociaż jestem przecież w niego wtopiony jak mucha w bryłę bursztynu?

— Pojazd jest zbudowany z cząstek mających pewną .specyficzną i bardzo ograniczoną autonomię, co wynika z zastosowanej teorii konstrukcyjnej łączącej w sobie n-wymiarową geometrię żywej przestrzeni z podstawami struktur symetrycznych. Te cząstki tworzą całość, stanowiącą swego rodzaju wysoce wyspecjalizowany, a więc mało uniwersalny zespół informatyczny. Oczywiście, o precyzyjnie wytyczonym, wąskim paśmie pamięci. Otóż, ponieważ w tym wypadku cząstki, o których mowa, składają się na substancję statku przeznaczonego dla człowieka, zostały zaprogramowane z myślą o jego potrzebach. Reagują więc na efekt Kirliana, na zmiany natężenia pól mózgowych, a także na fale biologiczne. Zgodnie z wolą pasażera mogą zmieniać lub okresowo zgoła likwidować energię wiązań, poprzez przemieszczanie się... jak by to określić... nre — rozłożył bezradnie ręce — nie potrafię znaleźć żadnego porównania w kręgu zjawisk, jakich opisy poznałem tutaj, w ziem-•skiej literaturze naukowej. Powiedzmy, że zachowują się jak przestrzeń półożywiona, to znaczy wyposażona w pewne informacje pozwalające jej na ograniczoną mobilność. Natomiast podczas wstępnej ingerencji z zewnątrz, na przykład wsiadania do statku, jego substancja-potrzebuje dodatkowych impulsów. Wysłał je ten aparacik — wskazał pudełeczko, przymocowane do mojego ramienia.

Odruchowo poszedłem za jego wzrokiem, po czym natychmiast rozpiąłem opaskę podtrzymującą przyrząd i podałem mu go.

— Oto jest ten wasz nóż do konserw — powiedziałem. — Jeszcze zabrałbym go do miasta i natykałbym się wstydu, gdy ściany domów same zaczęłyby się przede mną otwierać. Niech mnie pan nie odprowadza — przestąpiłem próg i wszedłem do korytarza z pojedynczym półpiersiennym torem, na którym czekał otwarty podziemny pojazd. — Przecież ta łódka i tak zawiezie mnie prosto do wyjścia. Gdybym nawet chciał, nie pojedzie gdzie indziej. A wyjść już potrafię... nie potrzeba do tego, na szczęście,

żadnych aparacików. Co innego gdybym kiedyś zapragnął odwiedzić pana bez uprzedzenia... Jutro o dziewiątej? — odwróciłem się i spojrzałem na niego.

Sklonił mi się milcząco, nisko i poważnie, jak udający siebie samego sprzed kilkuset lat szef restauracji chińskiej w Carson City. W tej pozycji zniknął mi z oczu.

— Nie wiem, czy powinienem być pana niepokoić — powiedziałem sadowiąc się przy kominku, naprzeciw Amosjana. — Kazał mi pan przyjść, kiedy się zdecyduję. Tymczasem mnie nieustannie dręczy podejrzenie, że ktoś znakomicie bawi się moim kosztem, dążąc do tego, żebym potraktował serio choćby tylko obecność Stanzy, nie mówiąc już o tym, czego on rzekomo ode mnie' żąda.

— Powiedziałem ci, żebyś przychodził jak najczęściej — odrzekł Amosjan, stawiając przede mną szklaneczkę napełnioną złocistym płynem. — A raczej prosiłem o to — poprawił się. — Widzisz, ty tak czy owak stoisz w obliczu przygody, jaka mnie może się co najwyżej przyśnić. Albo polecisz na „Pierścień Galaktyki”, albo — jak chce tego Stanza, którego obecność tutaj jest, zapewniam cię, niezbitym faktem — o wiele dalej... W tym drugim wypadku może się zdarzyć, że zmienisz wszechświat... i tego nikt ci nie odbierze, nawet gdybyś rzeczywiście nie mógł lub nie miał dokąd wrócić. Natomiast ja wszystko mam już za sobą. Gdybym był młodszy, napisałbym książkę... o tobie.

— Pod tytułem „Ostatni Ziemianin”? — rzuciłem lekko.

— Ostatni... albo pierwszy — uśmiechnął się blade. — W każdym razie dzięki tobie czuję się młodszy. Z biegiem lat człowiek nie przestaje się wprowadzić dziwić, ale jego myśli coraz rzadziej sięgają gwiazd, a coraz częściej krążą wokół codziennych spraw naszej planety, nas samych, naszej historii i porządku, jaki zapanował w wyniku jej doświadczeń. Aż nagle zjawia się taki Stanza... a teraz ty. Jesteś jedynym z naszych, który był u nich pod ziemią i którego oni szczegółowo wprowadzają w swoje plany. Cóż dziwnego, że kiedy przychodzisz, zapominam o mojej starości?

Zrelacjonowałem mu pokrótce wszystko, czego dowiedziałem się dzisiaj, a także okoliczności i przebieg mojego „lotu”. Nie wspomnia-, łem tylko o tym, co wydarzyło się minionej nocy, kiedy od niego wyszedłem. Z pewnością zaciekałaby go także zagadka owego „manipulowania czasem”, ale jakoś nie mogłem o tym mówić. W końcu każdy może mieć swoje osobiste sprawy, nawet jeśli w dotychczasowym życiu nie miał w gruncie rzeczy żadnych.

Ki.edy skończyłem, Amosjan zamyślił się. Opuściłem dzisiaj „ośrodek” Stanzy znacznie wcześniej niż wczoraj. Pokój był pełen światła, padającego przez otwarte okno do ogrodu. Cienie liści tańczyły na półkach z książkami i na podłodze, w powietrzu unosił się słaby, świeży zapach, jakby wilgotnych ziół.

— Więc ciągle jeszcze nie wiesz, o co im chodzi — odezwał się wreszcie. Było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

— Wiem tylko tyle, ile dowiedziałem się od pana — odpowiedziałem zgodnie z prawdą. — Jeśli pan teraz powie: „poczekajmy do naszego ostatniego spotkania”, to... ach, przepraszam. Zapomniałem, że obiecał mi pan wprowadzić, wyjaśnić, dlaczego oni chcą zmienić życie we wszechświecie, ale dopiero ~wtedy kiedy podejmę już decyzję. W świetle tego, co oświadczyłem na wstępie mojej wizyty, nie mogę oczekiwać...

— Wychodzi na to, że jednak oczekujesz. I że zaczynasz już tracić cierpliwość, jak pilot siedzący za sterami statku, którego start powinien był nastąpić wiele minut temu — uśmiechnął się znowu.

Potrząsnąłem głową.

— Nie. Przypominam panu, że nie mogę uwierzyć w prawdziwość tego, co od dwóch dni dzieje się wokół mnie. Ale i bajki muszą mieć jakąś wewnętrzną logikę. Załóżmy, że zdezerteruję z zespołu „P—G”, polecę do początku świata i — posługując się pana własnym porównaniem „zadam” kiełkującej materii wzorzec informacyjny. Tylko co właściwie miałyby zawierać taki „okruh życia” pozostawiony tam, w piecu prawybuchu? Jakie informacje ¹ o czym? Jak miałyby zostać zakodowany ten nowy program, narzucony powstającym światom? Nie mogą to być ani pierwiastki, ani cząstki energii, ani białka, ani wzory... przecież w

warunkach Wielkiego Wybuchu nic z tego nie przetrwałoby miliardowej części sekundy! I wreszcie jaka żyjąca istota miałaby czelność poprawiać [^]cie, opierając się na swoich ograniczonych doświadczeniach i swoim niedoskonałym rozumie? O ile wiem, bardzo mało było takich bajek, w których występowałby Bóg Stwórcza we własnej osobie i to w trakcie wykonywania swoich podstawowych czynności!

— Ja też o czymś ci przypomnę — Amosjan uniósł szklaneczkę i patrzył przez nią pod światło, jakby sobie wróżył z promieni, załamujących się w zimnym napoju — mianowicie o geometrii przestrzeni ożywionej, tej antygeometrii w znaczeniu euklidesowym, którą oni operują z fantastyczną dla nas swobodą. To jest o.dpo-wiedź dotycząca języka, w jakim zostaną zakodowane informacje przeznaczone dla powstającej natury i obawiam się, że tej odpowiedzi nie uściśli żaden ziemski matematyk. A jeśli chodzi o treść owych informacji — odstawił szklaneczkę — i spojrzał mi prosto w oczy — to masz tam, w momencie prawybuchu oraz w paru innych punktach drogi, przy słupach milowych znaczących najważniejsze etapy ewolucji, umieścić modele ludzkiej, osobowości. I tak brzmi zarazem odpowiedź na główne pytanie: dlaczego? Dlaczego oni najpierw w ogóle pomyśleli o tego rodzaju bezprzykładnym przedsięwzięciu, a potem włożyli tyle szalonego wysiłku w przygotowanie jego realizacji.

— To jest właśnie następna sprawa, wobec której staję całkowicie bezradny — odezwałem się po chwili milczenia. — Nie — roz-Jożyłem ręce — nie rozumiem i koniec. Dotąd była mowa o „wzorcu” dla życia w całym Kosmosie, wzorcu zaczerpniętym wprawdzie z Ziemi, ale przeznaczonym dla życia w ogóle. Mówię jak dziecko — uśmiechnąłem się mimo woli — pan jednak wie, o co mi chodzi, prawda? O tę drobną, a jakże istotną różnicę. Bo co innego myśleć o poprawie struktury czy funkcji materii ożywionej poprzez, bo ja wiem, chociażby udoskonalenie jej geometrycznego szkieletu, jeśli ta ich geometria jest rzeczywiście taka wszechwładna, a zupełnie co innego planować reorganizację życia w całym wszechświecie na wzór ukształtowanej jednostki, reprezentującej określoną cywilizację. Skoro bowiem treścią informacji, na podstawie której ewolucja od Big-Bangu miałaby pójść w innym, ściśle sprecyzowanym kierunku, będzie istotnie model ludzkiej osobowości, to może on być zaczerpnięty tylko od jednego konkretnego człowieka. Zgoda, że my wobec tego nie mielibyśmy większych powodów do obaw o los naszego świata, chociaż i my różnimy się przecież od siebie, więc „wydelegowanie” jednostki w charakterze uniwersalnego prototypu zmieniałoby życie pozostałych szesnastu miliardów w stopniu, kto wie, czy nie większym niż katastrofa kosmiczna... ale niech będzie, powiedzmy, że zachowamy przynajmniej naszą powierzchowność. Natomiast oni! Oni! Czy chcą, żeby wszechświat był zamieszkały wyłącznie przez ludzi? Czy chcą doprowadzić do sytuacji, w której ich samych nigdy nie było? Ich właśnie, którzy teraz przerzucają się z jednej fizyki w drugą z taką łatwością, z jaką ludzie zmieniają koszule i którzy nas tak bardzo wyprzedzają pod względem... ba, pod każdym względem?!... \— Nie pod każdym. Nie pod każdym — powtórzył spokojnie Amosjan. — Wspominałem ci już, czym oni się nigdzie i nigdy nie interesowali. Oczywiście, wnioski, do jakich doszedłem, to tylko moje subiektywne refleksje... ale nie znamy przecież faktów, a coś mi szepcze do ucha, że nie odbiegłem zbyt daleko od prawdy. Pamiętasz? Mówiłem, że chodzi o...

— Pamiętam — przerwałem. — Nauki społeczne. Filozofię. Jednak gdyby filozofowie naprawdę potrafili zmieniać rzeczywistość, to może i nasz własny świat wyglądałby teraz inaczej? Może droga, jaką mamy za sobą, nie byłaby cała uwznioślona pomnikami cierpienia... Przepraszam. Pan jest przecież wybitnym historykiem. Ale. .

— Pozwól, że właśnie jako historyk — tym razem on nie dał mi skończyć — zwrócę ci uwagę na pewną prawdę, a mianowicie, że rangę każdej społeczności mierzy się nie jej wzrostem, które to pojęcie mieści w sobie również technikę, lecz rozwojem. Choroba tocząca społeczność Stanzji musi być bardzo poważna, skoro on sam i ta nieliczna grupa, która z nim współdziała, jedyny ratunek upatruje w radykalnym zabiegu chirurgicznym, ale przecież i dzisiejsza medycyna, przy całym jej zaawansowaniu, często jeszcze musi się uciekać do wręcz hazardowych operacji. Niestety, my nie potrafimy ocenić, na ile ryzyko-związane z przedsięwzięciem Stanzji jest uzasadnione i niezbędne... bo nie znamy ani pacjentów, ani ich cierpienia. Co więcej, nie poznamy ich nigdy. Mówiliśmy o różnicach, dzielących poszczególne

gwiazdne cywilizacje. Tymczasem pomyśl, jak bardzo odmienne były nasze, na jednej planecie? Europejska, indyjska, Isluinu, [Jcin^n/gu W.schudii. egipska, Jukatenu, Meksyku ' A w czasach najnowszych — cywilizacja Afryki Środkowej, cywilizacja zachodnia i cywilizacja Wschodu?... Pradziad-

kowie obywateli tej krainy, tego kontynentu, na którym teraz rozmawiamy, reprezentowali własni-e cywilizację wzrostu, podczas gdy współczesny im Wschód — rozwoju.

— A jednak rozmawiamy akurat na tym kontynencie — wtrąciłem — pomimo że pan przecież pochodzi ze Wschodu...

— I do niego należę, chociaż za czasów naszych pradziadków nie mógłbym powiedzieć tego głośno. Zresztą gdybyś wtedy chciał spotkać się ze mną, musiałbyś odbyć podróż nad iwie morze, znacznie mniejsze, za to o wiele cieplejsze — uśmiechnął się, ale zaraz spo- ważniał. — Różnice, które dzielą ludzi wyrosłych z tradycji odmiennych obszarów kulturowych, nie są już teraz tak istotne, a wiesz, dlaczego?...

— Zdaje się, że wiem — odparłem po chwili namysłu. — Zostałem nawet pouczony przez Stanzę, o czym zapomniałem panu wczoraj powiedzieć. Otóż był on uprzejmy stwierdzić, że naszą, obecną, zresztą względną jego zdaniem, harmonię, zawdzięczamy istnieniu na Ziemi nowej ludzkiej cywilizacji, kosmicznej, która jakoby pojawiła się bez naszego świadomego udziału...

— To ostatnie jest niezbyt ściśle... ale z grubsza biorąc Stanza ma rację. Wspomniałeś, że rozmawialiście z nim wczoraj o naszej

^{f"} niewesołej przeszłości. W istocie tylko zawodowy historyk, szperający w prastarych źródłach wie, że ta przeszłość była o wiele bardziej mroczna, niż mogłoby się to dzisiaj wydawać... i zarazem heroiczna przez pozorną daremność szamotaniny jednostek światłych, szlachetnych, walczących" o prawdziwy postęp. Cóż, tkwiło w nas widać coś, co nie pozwoliło nam przegrać... choć przyznaję, że byliśmy bliscy klęski, kiedy wciąż jeszcze podzieleni, osiągnęliśmy w niektórych enklawach cywilizacyjnych ogromny wzrost, za którym nie nadążał rozwój. Jednak i nasza technika, nawet gdy pokonywała kolejne wysokie progi bez żadnych społecznych intencji, lub zgoła ze złymi intencjami, zawsze w ostatecznym rachunku wychodziła na korzyść nam wszystkim, a to właśnie dzięki uporowi jakże nielicznych początkowo ludzi pracujących dla ogółu, w miarę upływu lat jednoczących się w coraz potężniejsze organizacje. Tak też było z tą ziemską cywilizacją kosmiczną... i ona przecież w zamyśle wielu jej prekursorów miała służyć uzyskaniu przewagi nad przeciwnym obozem, przewagi, którą dałoby się wykorzystać także w totalnej wojnie termojądrowej. •

Zresztą określenie „cywilizacja" nie wydaje mi się w tym wypadku najszcześniejsze. Chodzi o swego rodzaju wspólną czapkę, która nasunęliśmy na wszystkie ziemskie tradycyjne obszary kulturowe... i to nasunęliśmy ją w taki sposób, że większość ludzi obudziła się w jej cieniu, nie zdając sobie sprawy z faktu — i tutaj rację ma Stanza — że ta czapka w ogóle istnieje. Natomiast nieprawdą jest — i w tym względzie Stanza się myli — że doszło do tego bez naszego świadomego udziału.

W pewnym momencie rzeczywiście osiągnęliśmy taki stan zaawansowania techniki, że jedyną alternatywą rozumnego współdziałania stała się zagłada Planety. Niemniej, żeby! to współdziałanie zaistniało, potrzebny był jeszcze ogpem pracy i walki, potrzebne były nawet nowe ofiary. Najsilniejszy aktywny opór płynął niestety stąd, z obszarów twojej cywilizacji. Stawiały go koncerny, dla których podział świata na tych, którzy mają dużo i tych, którzy mają mało, a także perspektywa konfrontacji zbrojnej były źródłem kolosalnych 'zysków. Dlatego też koncerny, początkowo bardzo chętnie uczestniczące w planowaniu i realizacji programów badań kosmicznych, po upływie stosunkowo krótkiego czasu nie tylko zgłosiły swój brak zainteresowania, lecz także zaczęły wszelkimi sposobami przeciwdziałać dalszemu podbojowi Układu Słonecznego. Zorientowały się bowiem, że epoka kosmiczna oznacza ich koniec. A to dlatego, ponieważ ludzie, o których mówiliśmy, już zjednoczeni w skali globalnej, potrafili narzucić Ziemi konkretne i humanitarne prawa, dotyczące przestrzeni wokół Niej. A co ważniejsze, zdołali wyegzekwować przestrzeganie tych praw. Zabrakło miejsca dla konfrontacji, nikt nie mógł wykorzystać swojego przypadkowego pierwszeństwa, nikomu nie pozwolono umieszczać na orbitach broni ani zakładać własnych, zamkniętych baz czy to

satelitarnych, czy planetarnych.

Komputery koncernów nie omyliły się w swoich przewidywaniach. Poza Ziemią pracowały dziesiątki, potem setki, potem tysiące i setki tysięcy ludzi. Powstawały nowe, superekonomiczne technologie, nowe źródła energii, eksploatacja wielu tradycyjnych surowców, a w efekcie i całe gałęzie przemysłu stały się powoli nieopłacalne. Wtedy koncerny, nie mające dostępu do próżniowych laboratoriów i wytwórni, przegrały konkurencję z programami państwowymi narodów zjednoczonych i upadły. Wtedy też narodziła się w naszym świecie cywilizacja, zwana przez Stanzę kosmiczną, która jednak jest tylko logicznym przedłużeniem linii rozwojowej, ciągnącej się przez całą historię Ziemi. Wraz z-umacnianiem się tej nowej cywilizacji, już układowej, zanikały, bo musiały zaniknąć, sytuacje konfliktowe, zredukowane z globalnych do lokalnych... — Amosjan urwał, odetchnął głęboko i bezwiednym ruchem przygładził swoje bujne, białe włosy. Wykorzystałem to, żeby powiedzieć:

— A jednak pozostały nam nie rozwiązane problemy i to wcale niebłahe. Nie dalej jak wczoraj czy przedwczoraj słuchałem w dzienniku dyskusji, nasuwających niezbyt miłe refleksje...

— ...Ale nikt na naszym globie nie umiera z głodu, upowszechniliśmy dostęp do taniej energii z kosmosu, a nowa cybernetyka po prostu zmusiła możliwych tego świata do sprawiedliwszego niż kiedykolwiek podziału dóbr. Tu chodzi o przesłanki teoretyczne i wynikający z nich wybór głównych kierunków kształtowania dynamiki przyszłego ładu społecznego... kiedy będzie nas nie szesnaście, lecz sześćdziesiąt miliardów. O sprawy organizacyjne i kulturowe... sądzę, że uporamy się także z nimi, tylko to musi potrwać. Zresztą nikt nie mówi, że Ziemia jest już rajem. Nie jest nim i nie będzie jeszcze bardzo długo... a najpewniej nigdy. Chyba że ty ją zmienisz... — spojrzął na mnie z figlarnym błyskiem w oczach.

— Niedawno usłyszałem tu, w tym pokoju, że należy pan do Wschodu — powiedziałem. — Tymczasem teraz pomniejsza pan wszystko to, co ten Wschód sobą reprezentuje. A przecież nawet w kwestii wyprawy „P — G” istniały między nami poważne rozbieżności.

Amosjan zastanowił się przez chwilę.

— Chyba masz rację — przyznał z zagadkowym uśmiechem, którego znaczenia w pierwszej chwili nie odgadłem. — Być może, zagalopowałem się nieco — rozłożył ręce. — Poniósł mnie temperament historyka... Tak, tak, zagalopowałem się — pokiwał głową z udanym ubolewaniem — i nic nie mogłoby mnie usprawiedliwić... gdyby moje intencje były równie znaczne i uczciwe, jak niewinny był ton mojego głosu, kiedy to wszystko mówiłem. Ale ja, widzisz, jestem człowiekiem przewrotnym i nie przebiegającym w środkach, więc postanowiłem tak poprowadzić naszą rozmowę, żebyś ty sam odnalazł cienie współczesnego życia ludzkiej społeczności, te cienie, które rzucają dzieje Ziemi, i nie tylko je odnalazł, lecz także żebyś

mnie starał się przekonać o ich znaczeniu. Zrobiłem to, ponieważ...

— Rozumiem — mruknąłem. — Stary lis zakpił sobie z młodego kruka... a raczej gawrona...

— ...ale i tak nie dostał swojego kawałka sera — podchwycił już bez uśmiechu. — To ty polecisz zmieniać światy, a ja zamierzałem jedynie naprowadzić cię na myśl, że mógłbyś podjąć się tego zadania nie tylko dla ratowania cywilizacji Stanzy. Bo uważam, choć rzecz jasna nie umiałbym tego mojego sądu uzasadnić przed Radą * Naukową, że wykonując plan Stanzy przysłużyłbyś się także i Ziemi. Zachnąłeś się, uprzytomniwszy-sobie, że zamierzona przez obcych nowa ewolucja ma pójść w kierunku wskazanym nie przez ziemską społeczność, lecz przez informacje tkwiące w jednym jedynym człowieku. Ale pomyśl. Przecież ten człowiek zostanie wybrany bardzo starannie. Musi posiadać wiedzę i umiejętności, które pozwolą mu zrealizować program lotu, to jasne. Jednak ważniejsze, przynajmniej dla nas, będą cechy jego charakteru. Jego poczucie odpowiedzialności za Ziemię i życie w ogóle, jego pragnienie rozumienia innych, połączone z konsekwencją działania... mógłbym tak wylizywać w nieskończoność, ale nie muszę, prawda? Już wiesz, do czego zmierzam. Podstawienie ewolucji w momencie jej narodzin takiego wzoru, kto wie, czy nie zmusiłoby mnie, jako historyka, do ponownego rozpoczęcia studiów od abecadła i to abecadła stanowiącego podstawowe elementy języka najzupełniej mi teraz nie znanego. Natomiast jako człowiekowi współczesnemu dałoby mi po prostu szczęście wynikające z faktu przynależności do świata, naprawdę najlepszego z możliwych. Uprzedzając twoje pytanie od razu powiem, że zastosowanie dltrageometrii przestrzeni ożywionej ma jakoby umożliwić

Stanzie i jego kolegom utrwalenie w zapisie, o którym mówimy, także takich człowieczych cech, jak na przykład dobroć, skądinąd wymykająca się naszej ziemskiej matematyce. Tak mi w każdym razie oświadczył, kiedy go o to zagadnąłem. Przyjmijmy, że nie kłamie i że nie przecenia swoich środków.

A teraz następna sprawa. Dlaczego, skoro wreszcie po burzliwych, ponurych i — z konieczności — bohaterskich stuleciach osiągnęliśmy jaką taką harmonię, mamy nagle brać udział w awanturze, w wyniku której nasz dorobek może się okazać niebyły, a praca tysięcy pokoleń nie to, że daremna, ale po prostu zbyteczna? Po części sam już sobie odpowiedziałeś, mówiąc przed chwilą o bólczkach naszej współczesności.

Ale zagadnienie jest znacznie głębsze. Wśród wielu możliwych zmian, jakich mógłbyś dokonać z pomocą Stanzie albo on z twoją, jest jedna, najbardziej pożądana. Teraźniejszy myślący człowiek, a myślę o konkretnym człowieku, tym właśnie wybranym, którego osobowość pošlemy do początków czasu, pojmując doniosłość poszukiwań istoty życia i choć nie jest jeszcze w stanie ogarnąć rozumem rozmiarów tego zadania, to przecież czuje i wie, że droga wiedzie przez nieustanne doskonalenie własnego światopoglądu. Wyobraź więc sobie, że już prekursorzy Sumerów i Egipcjan, że potem Grecy, Rzymianie, skandynawscy wikingowie, Turcy i Niemcy budowali swoje społeczności, a następnie swoją naukę opierając się o niezachwianą zasadę integracji ludzi, natury i całego ekosystemu. Że nasze dzieje były przepojone ideą nie opanowywania, lecz ochrony przyrody ożywionej, ideą jej wykorzystywania nie dla zaspokajania potrzeb człowieka, lecz przede wszystkim dla stałego zwiększania ludzkich możliwości biologicznych. Czy dzisiaj nie stanowilibyśmy już pełnowartościowego społeczeństwa, umiającego mądrze przekształcać nie tylko Ziemię, lecz także cały Kosmos? A przecież prędzej czy później musimy wyruszyć w Kosmos. Ten spośród nas, kto poniesie rodzącym się cząstkom materii swoją osobowość, zabierze ze sobą wizję świata, ukształtowanego przez głęboko pojętą syntezę biologii i humanistyki. Tak właśnie brzmi pełna odpowiedź na twoje pytanie: „dlaczego?” A raczej „po co?”

— Nie wiem, czy dobrze pana zrozumiałem — odezwałem się po dłuższej pauzie — bo od pewnej chwili na próżno usiłuję zebrać myśli. Czuję, że pan ma rację, ale to mi nie wystarcza. Zresztą intuicja jest być może najcenniejszym skarbem, dla badacza, ale nie dla astronauty. Spróbuję dojść do ładu z własnymi szarymi komórkami... tylko trochę później, kiedy zostanę sam. Tak... — odetchnąłem głęboko. — A swoją drogą ciekawe, czy temu całemu Stanzie i jego kompanom nic, ale to zupełnie nic nie żal świata, w którym się urodzili? Skoro pragną go tak gruntownie przerobić, i to akurat na obraz i podobieństwo naszej ułomnej, jak pan sam twierdzi, Ziemi... • Amosjan wykonał nieokreślony ruch ręką.

— No cóż, wybaczyć, że znowu odwołam się do twojej wyobraźni. Istnieje gdzieś w obecnym wszechświecie cywilizacja targana okrutnymi konfliktami wewnętrznymi. Jej fenomenalnie zaawansowana technika każe swoim twórcom żyć w koszmarnej chaosie, z najwyższym trudem maskowanym pozorną stabilizacją, równającą się społecznemu impasowi, tak beznadziejnemu, jak beznadziejna była u nas, na początku dwudziestego pierwszego wieku sytuacja staruszki, konającej z głodu w zamkniętym pokoju na sześćdziesiątym piątym piętrze gigantycznego domu-miasta. Może to zresztą złe porównanie, bo dotyczy jednostki, a tam chodzi o ogół. No więc wyobraź sobie taką cywilizację albo lepiej wyobraź sobie, że my, ludzie, zaczęliśmy zdobywać kosmos, zanim uregulowaliśmy podstawowe problemy na naszym macierzystym globie. Ze wpędziliśmy się w sytuację bez wyjścia, ponieważ wciąż rozdarci wewnętrznie, wciąż tkwiący i mentalnością, i działaniem w opancerzonych enklawach, rządzonych — już z konieczności — wyłącznie w imię ratowania doraźnych, partykularnych interesów, równocześnie podporządkowaliśmy sobie niemal wszystkie prawa, rządzące materią. Rozumiesz? Czy na tle takiego obrazu dalej uważasz, że nikt nie może pragnąć, aby jego życie układało się podobnie jak życie mieszkańców Ziemi? Wstałem i zacząłem chodzić po pokoju. Nagle stanąłem.

— A Stanza? — spytałem. — Jeśli jego cywilizacja przedstawia właśnie taki obraz, to on albo jednak knuje coś przeciwko nam, albo rozumuje i postępuje zupełnie inaczej niż inni. Czyli że jednak i w jego świecie istnieją jednostki, działające, a nawet poświęcające się na rzecz ogółu...

— I co z tego? U nas też najświatlejsi ludzie zrazu samotnie walczyli z ciemnotą motłochu... dla jego dobra. Tylko że u nas tych jednostek było z czasem coraz więcej i w końcu to one właśnie wygrały. W świecie Stanzy natomiast z jakichś powodów przegrywają. Kto wie, czy przedsięwzięcie „osobnika w pelerynie”, jak go nazywasz, nie jest ostatnim zrywem, po którym zabraknie już istot myślących inaczej niż reszta, i po którym ostatecznie ulegą ostatnie nadzieje i ostatnie szansę. Nie, on nie knuje nic, czego my musielibyśmy się obawiać. Ale wiesz już przecież, że on i jego towarzysze przebywają u nas nielegalnie. Lękają się własnych astronautów i własnych ekip technicznych, które nie przestały przecież krążyć w kosmosie. Stanza sam należał kiedyś do takiej ekipy. Tak się złożyło, że w jej składzie znalazło się więcej istot myślących podobnie jak on. Nie wrócili... i nie wrócą. Nie wrócą, bo nawet jeśli po reali-, zacji ich zamiarów wylądują kiedyś na swojej macierzystej planecie, to zostaną przyjęci jak obcy. I, co najważniejsze, naprawdę będą obcy... bardziej obcy niż ty i ja, gdybyśmy powiedzmy, cofnęli się w czasie i trafili do kraju Inków, w dziesiątym wieku naszej ery. Ale ich cywilizacja zyska spokój, szansę rozwoju i szczęście... przynajmniej Stanza w to wierzy.

— Dlatego, że w momencie prawybuchu zjawi się „wzorzec” osobowości, który wskaże materii nowy kierunek ewolucji? Dlaczego więc sami nie zrealizują tego swojego lotu? Do czego potrzebny im człowiek?

— Bo to ma być ludzka osobowość. Inaczej cóż by się zmieniło?

— Ale przecież Stanza rozumie sytuację swojej cywilizacji i chce jej pomóc. Niech przekaże tę swoją wolę powstającemu światu... — umilkłem, ponieważ nagle zrozumiałem, że gdyby Stanza zrobił tak, jak mówiłem, to wtedy... — Ale wtedy Ziemia... — powiedziałem na głos —,och, już sam nie wiem, co mówię!

— Nie tylko Ziemia — podchwycił spokojnie Amosjan. — Ich cywilizacja także. Przecież Stanza, zdejmując sobie czy któremu-kolwiek ze swoich towarzyszy zapis osobowości, nie mógłby ręczyć, czy w pierwotnej informacji znajdzie się skuteczna recepta na przetrwanie i rozwój. Może ich rasa miała szansę... i tylko zaprzepaściła je po drodze? A może rosta już z piętnem nieuchronnej zagłady? Czy ryzykując tak wiele, wolno wprowadzać jeszcze dodatkowy element niepewności?

— Więc tylko człowiek może podjąć się funkcji Boga? W całym kosmosie?

— Nie wiem, czy tylko człowiek i na pewno nie w całym kosmosie. Ale przecież nie znamy całego kosmosu. Nawet po powrocie ekspedycji „P — G” dowiemy się zaledwie coś niecoś o jego skrawku. Jednak gdybyśmy w naszej własnej historii wzdragali się przed podjęciem jakiegoś dzieła, motywując wygodną bierność brakiem dostatecznej wiedzy, to Stanza byłby dzisiaj nie u nas i nie człowieka wybrałby sobie do roli, jak powiedziałeś, stwórcy, który ma przerobić życie we wszechświecie na swój obraz i podobieństwo.

— Niech będzie — odruchowo przejechałem dłonią po czole. — Załóżmy, że w wyniku interwencji tego całego Stanzy polecę w końcu do początków czasu. Mogłbym spytać, kogo tam zostawię w charakterze tego niezastąpionego, boskiego wzorca? To znaczy, kto z ludzi okaże się takim pyszałkiem, żeby pozwolić zdjąć sobie zapis osobowością wiedząc, że ten zapis, czyli on sam ma tchnąć nową duszę w Adama i Ewę, którzy następnie opuszczą bramy raj u inną, lepszą ścieżką, prowadzącą na skróty do szczęśliwego celu?

— Jeszcze się nie domyśliłeś? Oczywiście, że ty.

— Co?! •

— Lin, rozmawiajmy spokojnie,

— Mnie? Ja?... Teraz dopiero widzę jasno, jaka to wszystko monstrualna bzdura!

— Lin!

— Panie profesorze, jeśli choć na chwilę oderwać się myślami od wszystkich tych apokaliptycznych fantasmagorii i spojrzeć na całą sprawę oczami normalnego człowieka, to od razu i ten Stanza, kimkolwiek naprawdę jest, i jego utopijne przedsięwzięcie tracą jakiegokolwiek oparcie w rzeczywistości! Ja? Dlaczego, u licha, ja?!

— Wspomniałeś wczoraj, że nasłuchiłeś się komplementów. Czy koniecznie chcesz, żebym je teraz powtórzył?

— Pan to mówi poważnie?

— Jak najpoważniej.

— A dlaczego na przykład nie pan? Czy pan jest gorszy ode

mnie?

— Dlatego, że ja nie jestem astronautą, jednym z najsprawniejszych, jakich ma Ziemia, a poza tym za długo już żyłem. Tymczasem tam może być potrzebny... oryginał, niezależnie od informatycznej kopii jego osobowości. Zawsze istnieje możliwość awarii, jakiegoś wypadku po drodze... i wówczas trzeba będzie podczas lotu / powtórzyć zabieg utrwalenia zapisu w aparaturze, którą jak mi powiedziano, będziesz mieć ze sobą.

— Pozwoli pan, że ponowię moje wczorajsze pytanie. Jedno z tych osobistych, marginesowych. Czy pan będąc na moim miejscu przyjąłby tę najbardziej szaloną propozycję, jaką kiedykolwiek

przedłożono człowiekowi?

— Już cię zapewniałem, że w każdym razie gruntownie i spokojnie bym ją przemyślał. Ale po starej znajomości mogę ci wyznać, że prawdopodobnie zrobiłbym to. Tylko pamiętaj, absolutnie niczego ci nie doradzam! To, co powiedziałem, płynie z mojego prywatnego poglądu... i nie poglądu nawet, lecz wyłącznie nastroju. Czy przyjdiesz jeszcze do mnie? — wstał i wyciągnął rękę na pożegnanie.

— Kiedy już się zdecyduję? — moje palce pozostały w jego uścisku odrobinę dłużej, niż to bywa przy zwykłych rozstaniach. Dość długo, bym odczuł nienaturalne ciepło jego dłoni. Był poruszony, a może i wzburzony o wiele bardziej, niż chciał to okazać.

— Niekoniecznie — powiedział.

Wracałem tą samą drogą co minionej nocy. Kiedy doszedłem do mostku przerzuconego nad wąwozem, którym biegł fotokolektor, serce zabiło mi żywiej. Zupełnie, jakby przygnała mnie w to miejsce jakaś niedorzeczna, ukrywana przed samym sobą nadzieja.

Dzisiaj nie było pomarańczowych lampek ani automatów naprawczych. Choć nie minęła jeszcze dwunasta i Księżyc stał wysoko, w wąwozie leżał mrok, jak gruba warstwa ciężkiego, czarnego dymu. Nie było także psa. Nie było nikogo.

Dawno już zostawiłem za sobą wzgórze i bez pośpiechu szedłem w stronę bliskich zabudowań Aitheropolu, oświetlonych ukrytymi w zieleni lampami, kiedy poczułem, że dzieje się ze mną coś dziwnego. Doznałem zawrotu głowy i cały pejzaż, którego kontury, wyostrome księżycowym światłem widziałem dotąd jak wycięte w ciemnej tekturze, rozpląnęły mi się w oczach. Zupełnie, jakbym wszedł w głęboką, górską kotlinkę, wypełnioną mgłą."

Zachwiałem się, straciłem równowagę i zanim zdołałem temu zapobiec, siedziałem na ziemi, z podkurczonymi nogami i zapewne niezbyt mądrym wyrazem twarzy. Zerwałem się natychmiast, zatoczyłem znowu i uderzyłem barkiem o twardą ścianę. W tym momencie mgła ustąpiła.

Stałem przed wąskim skwerem, środkiem którego ciągnął się pojedynczy szereg rzadko rosnących drzew. Dalej był chodnik dochodzący do podnóża budynku, największego, jaki widziałem w życiu. Miał chyba z osiemdziesiąt pięter, a jego frontowa ściana biegła wyginającą się sinusoidalnie linią, odsłaniając we wgłębieniach ukwiecone balkony. W wielu oknach paliło się światło, jednak tu, na dole, nie było bodaj śladu obecności ludzi. Panowała zupełna

cisza.

— Czy pan się źle czuje? — w tej ciszy głos, który raptem rozległ się tuż obok mnie, zabrzmiał jak łoskot startującej rakiety. Drgnąłem i wyprostowałem się odruchowo. — Może mógłbym w czymś pomóc? — nieznajomy sprawiał wrażenie człowieka przejętego szczerą, serdeczną troską.

Ujrzałem go wreszcie. Musiał właśnie nadejść, krocząc po trawie rosnącej pod ścianą, która pojawiła się tak niespodziewanie i równie niespodziewanie posłużyła mi za oparcie. Stał tuż przede mną, lekko pochylony, jakby się spodziewał, że za moment znowu upadnę i że będzie mnie musiał podnosić. Chwilę później poznałem go.

— To pan? — zachryłem i musiałem odchrząknąć. — Co pan tutaj robi? I gdzie właściwie

jest to całe „tutaj”?

— Słucham? — zaniepokoił się. — Nie rozumiem... Pytałem, czy nie mógłbym panu pomóc? Coś się stało?...

— Nie poznaje mnie pan? — mój głos brzmiał już mniej więcej normalnie. — Spotkaliśmy się przedwczoraj wieczór na przystani. Pamięta pan? Kiedy ratowaliśmy tę lekarkę, która tak nie w porę zapragnęła popływać...

— Na przystani?... — jego niepokój najwidoczniej wzrastał z każdym moim słowem. — Istotnie, byłem na przystani... ale nikt nie tonął. To przecież niemożliwe. Poza tym pan... nie, pana tam nie widziałem... naprawdę...

Westchnąłem. Miał na sobie nawet to samo stare, drelichowe ubranie. Na jego twarz padało jasne światło stojącej przy skwerze latarni i była to ponad wszelką wątpliwość twarz starego konserwatora automatów, z którym uciąłem sobie pogawędkę na pustej kei, wieczorem, zaraz po zadowoleniu się w Aitheropolu. On sam jednak najwidoczniej nic o tym nie wiedział.

— Dziękuję za pomoc — powiedziałem, zrezygnowany. — Rzeczywiście, chyba straciłem na moment przytomność. Czy mógłby mi pan powiedzieć, gdzie jesteśmy?

— Jak to, gdzie... — wymamrotał machinalnie, po czym zreflektował się i szybko zapytał: — Może wezwać lekarza? Proszę, proszę. Nie karetkę, tylko „lekarza”.

— Nie trzeba — potrząsnąłem rażno głową, żeby mu dowieść, jak dobrze się czuję. — To tylko zmęczenie. Odbyłem dzisiaj długi trening — uśmiechnąłem się nie wspominając, jak ten „trening” wyglądał naprawdę. Ciekawe, co zrobiłby ten stary mężczyzna, gdybym próbował opowiedzieć mu o Stanzie, „ośrodku” pod ziemią i kryształowym statku, który miał mnie zawieźć do pierwszej sekundy dziejów. Najprawdopodobniej skończyłoby się jednak na karetce. — Czy jest gdzieś w okolicy takie małe osiedle o nazwie Aitheropol? — spytałem.

— Osiedle?... Nie — zawahał się. — Jest takie małe wzgórze nad morzem, które miejscowi ludzie nazywają Aitheropolem... ale tam nic nie ma. Pan jest sportowcem?

— Astronautą. W tej chwili na urlopie. A pan czym się zajmuje?

— Ja? — uśmiechnął się przelotnie. — Niczym ciekawym. Konserwuję automaty i pilnuję, żeby zawsze były naładowane.

— Dlaczego pan tak mówi — odpowiedziałem mu uśmiechem. — Przeciwnie, uważam za ogromnie interesujące to, że konserwuje pan automaty. Na przystani także?

— Na przystani?... Nie, skądże. Na przystań chodzę tylko czasami, kiedy nie mam nic do roboty, żeby popatrzeć na ocean. Mój ojciec, wie pan, był pilotem łodzi wycieczkowej. A w ogóle pochodzę z rodziny, która od pokoleń zajmowała się rybołówstwem. Teraz to niemożliwe — znowu coś było dla niego niemożliwe. — Odkąd nie wolno zabijać żadnych żywych stworzeń...

Wyprostowałem się i mocno tupnąłem najpierw lewą, a potem prawą nogą. Poczułem się pewniej.

— Mógłby mi pan powiedzieć, jak dostać się na to wzgórze, które nazywają Aitheropolem?

— Tak... to znaczy, myślę, że teraz jednak powinien pan pójść do domu. Odprowadzę pana, dobrze?

— Nie chciałbym pana fatygować. Wystarczy, że pokaże mi pan drogę nad ocean. Tam, gdzie jest ten Aithe...

— Nie wiem, czy mogę tak postąpić, proszę pana — rzekł odrobinę bardziej stanowczym tonem. — Nie wygląda pan najlepiej. Może przynajmniej napiłby się pan kawy? Tutaj bliźutko są automaty...

Wodę i niektóre napoje "orzeźwiający otrzymywało się za darmo, ale za kawę w automatach trzeba było płacić.

— Niestety, nie mam przy sobie bilonu — uśmiechnąłem się przepaszająco. — Ani żetonów. Nie mam nawet książeczki czekowej — zdobyłem się na żart.

— Książeczki?... Nie rozumiem pana?... — stary zmierzył mnie znowu badawczym spojrzeniem. — Wie pan co, ja naprawdę wezwę lekarza. To nie potrwa długo...'

— Gdzie jest ta kawa? — spytałem szybko.

Zaprowadził mnie do niszy w ścianie sąsiedniego budynku. Stało tam obok siebie

kilkanaście wysokich skrzynek, może i przypominających automaty uliczne, ale sprzed stu lat. Na jednej z nich widniał napis „mokka”. Z determinacją nacisnąłem wielki, czarny guzik. W skrzynce ukazała się oświetlona wnęka z białym kubkiem, do którego ściekała wąziutka strużka parującego płynu.

Kawa była gorąca, aromatyczna i mocna, bez porównania lepsza od tej lury, jaką serwowały znane mi roboty, troszczące się o zdrowie swoich podopiecznych. Piłem ze smakiem, małymi łykami, czując, jak moje ciało ogarnia ciepło, przywracające mięśniom elastyczność i siłę.

— Pusto w tym mieście. Czy tak jest zawsze o tej porze? — posłałem mu znad kubka pytające spojrzenie.

— No... na ogół tak — wykonał nieokreślony ruch głową. — Lu-dzie mają teraz w mieszkaniach wszystko, czego potrzebują, a kto chce zaczerpnąć świeżego powietrza, jedzie na plażę albo w góry. To przecież kwestia kilku minut.

— A pan?

— Ja?... Ja właśnie zaczynam pracę. Automaty sprawdza się i konserwuje wyłącznie w nocy...

— I tak codziennie? — dopiłem kawę i wrzuciłem kubek do jednego z ustawionych w pobliżu niskich, otwartych koszów. Następnie rozejrzałem się. Ulica, jeśli to była ulica, ponieważ pomiędzy wielkimi domami nie było niczego, co przypominałoby jezdnię, biegła prosto jak strzełił i niknęła w wąskiej perspektywie, zasnutej fioletową mgiełką.

— Codziennie — uśmiechnął się blado. Widać fakt, że rozmawiam z nim zupełnie normalnie, pozwolił mi zapomnieć o lekarzu, który wziąłby mnie pod swoją opiekę. — Ale nie zabiera mi to zbyt dużo czasu. Konserwuję przecież tylko automaty nadzorcze. Siecią detaliczną zajmują się już one same.

— A co na to mówią u pana w domu? Wieczory to na ogół pora przeznaczona dla rodziny?...

— Nie mam rodziny...

W tym momencie usłyszałem brzęk obróżki i szybkie złajanie psa. Dźwięki te dobiegały zza załomu ściany, gdzie nie docierało światło latarni.

— Góro! — zawołałem półgłosem. — Góro!

— Zginął panu pies? — zmartwił się stary.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, ujrzałem młodego, czekoladowego dobermana, który wypadł zza rogu i na nasz widok wrył się wszystkimi czterema łapami w ziemię. Przyjrzał nam się nieufnie, następnie szczechnął raz cienko i uciekł z powrotem w ciemność.

— Nie — powiedziałem. — Był kiedyś w tej okolicy pies, nazywał się Góro. Ale to nie ten... Konserwator pokiwał głową.

— Bardzo lubię psy — rzekł z żalem w głosie. — Miałem owczarka... zakończył życie już dobre dziesięć lat temu. Nie brałem nowego... Jestem za stary, żeby bawić się ze szczeniakami, tak jak one to lubią. Poza tym moja praca... — westchnął.

Uśmiechnąłem się do niego. Przez chwilę wodziłem wzrokiem po jego chudej twarzy o dużym nosie i ostrych rysach, po czym nagle spytałem:

— Czy jest pan" szczęśliwy?

Nie zmienił pozycji. Nie mrugnął nawet. Przyjął tę próbę wtargnięcia w jego intymny świat jako coś najnaturalniejszego pod słońcem.

— Nie wiem... — mruknął z zastanowieniem. Wtedy, na przystani, wiedział. Wiedział i także nie wahał się odpowiedzieć. Jego odpowiedź brzmiała: nie. Ale to przecież nie był on... a jeśli nawet on, to w innej rzeczywistości. — Nie wiem — powtórzył. — Pewnie pan myśli, że skoro nie udało mi się założyć rodziny... ale mam przyjaciół — ożywił się nieco. — Tak, chyba jestem szczęśliwy. Miałem i tyle przygód, i tyle spokoju, ile trzeba, aby życie człowieka nie było puste. Nie pamiętam, żebym musiał kiedykolwiek wstydzić się za siebie. Tak, chyba tak. Oczywiście, każdy ma jakieś pragnienia, które nigdy nie zostaną spełnione...! zresztą, one także

są przecież potrzebne — dodał bez żalu. — Poza tym myślę, że postawił mi pan pytanie, na które żaden człowiek nie potrafi szczerze odpowiedzieć... a zwłaszcza taki człowiek, który

naprawdę jest szczęśliwy. Ale może się myłę?...

— Pójdę już — powiedziałem, ciągle z uśmiechem. — Dość dużo czasu panu zająłem. Proszę mi tylko powiedzieć, w którą stronę mam się udać?

— Do tego Aitheropolu?

— Tak. i

Zaledwie to powiedziałem, znowu pociemniało mi w oczach. Świat wokół mnie zawirował i zaszumiał, jakby nagle zerwał się wichur który jednak z niewiadomych powodów omijał moje ciało. Kiedy oprzytomniałem, siedziałem na skraju wysypanej drobnym żwirem ścieżki i patrzyłem prosto w otwartą, oplecioną zielenią furtkę, prowadzącą do ogrodu otaczającego pseudogrecki domek, wynajęty dla mnie przez Instytut Galaktyczny, abym w nim dobrze i spokojnie wypoczął przed startem pionierskiej wyprawy „P — G”.

— Ani wczoraj, ani dzisiaj nie był pan na obiedzie — powiedział swoim nijakim głosem robot, stawiając na stole apetycznie wyglądającą kolację. — Pozwolę sobie także zauważyć, że bardzo późno chodzi pan spać. Wczorajszej nocy wrócił pan z raną na plecach. Proszę wybaczyć, że to mówię, ale w moim programie...

— Ależ rozumiem, rozumiem — przerwałem pojednawczym tonem. — Niestety tak się składa, że jutro także będę cały dzień poza domem. Mógłbyś jednak sprowadzić tu kogoś, kto zmieniłby mi opatrunek. Nic mnie wprawdzie nie boli, ale masz rację, trzeba dbać o zdrowie. Znakomita kolacja — zakończyłem z entuzjazmem.

— Bardzo się cieszę — odpowiedział zdawkowym tonem. — **Zaraz** wezwę pielęgniarkę. W którym szpitalu był pan opatrywany?

Na dźwięk słowa „pielęgniarka” poczułem leciutkie ukłucie w sercu. Ogarnął mnie jakiś dziwny niepokój, który na próżno starałem się opanować.

— W szpitalu? — powtórzyłem, żeby zyskać na czasie. — Nie, to nie było w szpitalu. Spotkałem kogoś... już sam nie wiem, czy pielęgniarkę, czy lekarkę i ona zrobiła wszystko, co trzeba. A czy to musi być ten sam szpital?

— Nie, proszę pana, nie musi — odpowiedział grzecznie i zniknął, w drzwiach prowadzących do kuchni.

Zaledwie zdążyłem zejść, z ogrodu dobiegły odgłosy Krótkiej rozmowy i chwilę później weszła sprowadzona przez robota pielęgniarka. Była to kobieta w średnim wieku, szczupła, wysoka, z dużymi czarnymi oczami, patrzącymi tak, jakby z całego rozciągającego się przed nimi świata dostrzegały jedynie chore miejsca w duszach i ciałach pacjentów. U mnie widziała tylko ciało i to od tyłu. Moje przeprosiny, że sprowadzam ją tak późno, skwitowała mruknięciem: „przecież mam dyżur”, po czym zdjęła mi stary opatrunek tak, że nawet tego nie poczułem i natrysnęła nowy, cieńszy. Powiedziała, że zadrapanie goi się prawidłowo i że nie potrzebuję już fachowej pomocy. Wystarczy, jeśli jutro o tej samej porze zmyję plecy letnią wodą. Oczywiście, gdybym sobie życzył, służba zdrowia z Aitheropolu jest zawsze na moje usługi. Poza „dobry wieczór”

• i „dobranoc” były to jedyne słowa, jakie wypowiedziała w czasie całej wizyty. Pielęgniarka.

No, tak.

Kawa z nie istniejącego automatu, którą wypłem w towarzystwie nie istniejącego konserwatora, w nie istniejącym mieście, dla mnie pozostała przeżyciem najzupełniej realnym. Ciągle byłem ożywiony, jakby lekko niespokojny i nawet po kolacji czułem jeszcze w ustach jej smak. W każdym razie o spaniu nie było mowy. Zszedłem na dół, obrzuciłem niechętnym spojrzeniem matowy ekran holowizora, myśląc o następnych „programach” czekających na mnie w „ośrodku” Stanzji, po czym mój wzrok padł na książkę, którą porzuciłem na fotelu, gdy po raz pierwszy gościłem u siebie osobnika w niebieskiej pelerynie. Usiadłem i próbowałem czytać. Po chwili musiałem zacząć od nowa, bo nie pamiętałem ani jednego zdania z kartek, które zdążyłem przerzucić. -

Zamknąłem książkę, oparłem się wygodnie i poszybowałem wzrokiem w ciemnogrnatowe niebo nad czarnymi koronami palm. Księ-życ zaszedł już dawno. Gwiazdy świeciły jak ogromny port, oglądany nocą z powietrza. Port. Przystań. Cóż, nie łudźmy się. To zaledwie przystanki... i kto wie, czy nie na bocznej drodze? Ale czy

" kiedykolwiek dotychczas myślałem lub marzyłem o prawdziwym porcie? Niektórzy nazywają tak dom, rodzinę lub pracę, w której osiągają satysfakcję. U dawnych poetów słowo „port” bywało synonimem szczęścia. Czyż jednak prawdziwym portem dla prawdziwych ludzi nie są po prostu wszystkie owe nieuchwytnie ceszarowa[^] nią, wynikające z faktu, że istnieją drogi?

— I ty — powiedziałem na głos — właśnie ty, miałbyś być tym „prawdziwym człowiekiem”? Czy to nie zniekształcone echo pochlebstw, jakich nasłuchiwałeś się od Stanzę, i jakie najwyraźniej miał ci ochotę powtórzyć stary, mądry profesor Amosjan? Ale jeśli uwierzysz we wszystko, co to echo mówi, to Stanza będzie musiał zrezygnować z kilku przmiotników. Na przykład: skromny. A także: inteligentny. Takie nocne rozmyślenia...

— Dobry wieczór panu — przerwał mi moje nocne rozmyślenia słaby głos z ogrodu. Odruchowo zmarszczyłem brwi i wytyżyłem wzrok, ale pod tarasem było zbyt ciemno, bym mógł cokolwiek

zobaczyć.

— Przepraszam, że panu przeszkadzam, ale właśnie przechodziłem... w drodze na przystań i zauważyłem, że u pana pali się jeszcze światło. Więc podszedłem bliżej i ujrzałem pana na wprost

otwartych drzwi...

— To pan? — zrozumiałem wreszcie, że po raz drugi tego dnia spotykam starego konserwatora z nabrzeża... a także z miasta, pojawiającego się i znikającego jak duch w wyniku „manewrowania czasem”. — Proszę, niech pan wejdzie.

— Nie, nie — odpowiedział szybko, jakby przestraszony. — Miałem dzisiaj małą awarię do usunięcia! jestem spóźniony. A jeszcze muszę popracować na przystani. Był pan tam dzisiaj?

— Nie — potrząsnąłem głową. Przyszło mi na myśl, że siedzę jak oskarżony w czasie przesłuchania. Oglądałem takie sceny w archiwalnych filmach holowizyjnych. Człowiek w krzesle, mrużący oczy rażone smugą ostrego światła, a przed nim niewidoczni dla niego policjanci, klepiący wciąż te same pytania. Ale ten „policjant” był dla mnie nie tylko niewidoczny. On w ogóle nie istniał. Przecież, jeśli ta lekarka, którą zresztą spotkałem podobnie jak jego, aż dwa razy, przeżyła swoją pływacką przygodę nie w „moim” czasie, to i on, obecny przy tym, nie mógł być tam wtedy naprawdę. Potem nie było go także, kiedy ocknąłem się w owym mieście z przeszłości, przyszłości czy też innej terażniejszości, a raczej był, owszem, tyle że należał do czasu tego miasta, pojawił się razem z nim i razem z nim zniknął. A teraz słyszałem jego głos, siedząc w hallu domku, który ponad wszelką wątpliwość istniał tutaj i te-

raz. W dodatku on powoływał się na naszą znajomość, zawartą w okolicznościach, których nie mógł pamiętać, ponieważ stanowiły element innej czasoprzestrzeni. — Nie — powtórzyłem, starając się panować nad głosem. — Widzi pan, jestem niby na urlopie, nad oceanem, a od dwóch dni nie widziałem plaży. Zna pan przecież Stanzę?...

Chciałem go zaskoczyć. I popełniłem błąd.

— Stanzę? — podchwycił odrobinę nazbyt skwapliwie. — Powiedział pan: Stanzę?

— Owszem — uśmiechnąłem się. — Roberta. A raczej Boba. To mój dawny kolega szkolny. Mieszka w tej okolicy od lat i jest zapalonym żeglarzem, więc myślałem, że powinniście się widywać. Właśnie w jego towarzystwie spędziłem te dwa dni — próbowałem ratować sytuację, zdając sobie doskonale sprawę, że jest na to za późno. Jeśli znał nazwisko... — Pozwól tutaj! — rzuciłem przez ramię. Niemal natychmiast usłyszałem ciche kroki robota. Podszedł, zatrzymał się koło mnie i zastygł w pozie kornego oczekiwania. — Proszę cię, idź do ogrodu i spytaj tego pana, który tam stoi, czy mu czegoś nie trzeba. Może zmarł i chciałby się napić gorącej herbaty?

— Służę uprzejmie — odpowiedział i wyszedł na taras. Po chwili wrócił. — Proszę pana, w ogrodzie nie ma nikogo — oświadczył.

— Halo! — zawołałem, podnosząc się z miejsca. Cisza. Odczekałem jakiś czas, po czym zwróciłem się ponownie do robota: — Może już poszedł?

— Nie, proszę pana — usłyszałem w odpowiedzi. — Moje receptory są bardzo czułe i mają zakres do dwudziestu kilometrów. Nie zdążyłby się oddalić poza tę granicę, nawet gdyby dysponował najszybszym pojazdem. Kiedy pan z nim rozmawiał?

— Kilka sekund temu.
— Przepraszam, ale to niemożliwe. Być może zdrzemnął się pan w fotelu i to był po prostu sen. Nawiasem mówiąc, naprawdę powinien pan się położyć. Nie chciałbym być natrętny...
— Nie szkodzi — powiedziałem. — Masz rację, powinienem się 'położyć. Powinienem zrobić dużo różnych rzeczy. Wiesz co, pozamykaj dokładnie wszystkie okna i drzwi. Chcę mieć pewność, że nie trafią mi się więcej tacy goście... to znaczy, przepraszam, takie sny...

Rozdział VI

Robot obudził mnie o ósmej, tak jak o to prosiłem. Za pięć dziesiątą wykapany, ogolony, po dobrym śniadaniu, czekałem na tarasie, oparty o chudą kolumnkę, ozdobioną u góry czymś, co miało udawać stylizowane liście akantu. Kiedy go ujrzałem, od razu skinąłem, żeby się pośpieszył.

— Od dawna pan tutaj czeka? — spytał przepraszającym tonem. — Czy bardzo się spóźniłem?

Wprowadziłem go do domu i zamknąłem za nim drzwi. Przedtem rozejrzałem się uważnie po ogrodzie, ale nie zauważyłem niczego podejrzanego.

— Spóźnił się pan — mruknąłem, wskazując mu fotel. — Chociaż nie akurat dlatego, że zbyt długo musiałem na pana czekać...

Zrelacjonowałem mu pobieżnie moje pierwsze spotkanie po wyjściu od Amosjana, w nie istniejącym mieście, a potem bardzo dokładnie, ze wszystkimi szczegółami to drugie, w moim własnym, najzupełniej rzeczywistym domku. Kiedy skończyłem, milczał dłuższą chwilę, patrząc martwo przed siebie. Wreszcie lekko wzruszył ramionami.

— No, cóż — westchnął — prędzej czy później to chyba musiało się stać. Niepotrzebnie wymienił pan moje nazwisko, a skoro już ono padło, nie trzeba było dodawać, że spędziliśmy te dwa dni razem... ale oczywiście nie mam o to do pana pretensji — zastrzegł się szybko. — Sam nie rozumiem, jak mogli wpaść na ślad... i trafić właśnie tutaj. Stanza... hm... nie, to nie powinno im nic mówić. Ale nie przeciwstawiamy teorii faktom. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. Ma pan rację, okoliczności- pojawienia się tego... tej postaci, wykluczają ewentualność, że mieliśmy do czynienia z jeszcze jednym kolapsem czasowym. Niestety, ten incydent może oznaczać tylko jedno.

— To uprzejmie z pańskiej strony, że nie ma pan do mnie pretensji, niemniej sam wiem, że zachowałem się jak imbecyl. Przecież Amosjan dwukrotnie zwracał mi uwagę na fafety, że jesteście tutaj, jak się wyraził, nielegalnie. Niezależnie od tego, co sądzę o waszym wiekopomnym projekcie i pańskiej szaczonej propozycji, nie chciałbym, żeby pan miał przeze mnie... nazwijmy to tak, przykrości. Zwłaszcza jeśli przypuszczenia profesora dotyczące cywilizacji, którą pan reprezentuje, są choć w części trafne.

— Rozmawialiście o nas?

— Nie wie pan? Myślałem, że zna pan każdą moją ukrytą myśl, nie wspominając już o słowach. Owszem.

— No i co? Uwierzył mu pan, że choć w pierwszej chwili nasze zamiary mogą się wydawać dziwne, to jednak w gruncie rzeczy nie mieliśmy wyboru?

— Nie. Nie uwierzyłem. Po pierwsze za małą jeszcze wiem, a po drugie Amosjan mógł mi tylko powtórzyć to, co usłyszał od pana albo kogoś z was. Reszta to były jego domysły. Sam nie jest niczego pewien — umyślnie podkreśliłem to zdanie znaczącym gestem. — Ale widzi pan chyba, że postępuję wobec was lojalnie, więc kwestia, czy mnie przekonał, czy też nie, jest chyba drugorzędna. Pragnąłbym się teraz dowiedzieć, czy fakt, że... no, że ktoś, przed kim chcieliście się ukryć, wytopił was, a przy okazji mnie także, wpłynie na zmianę waszych planów? Opuścicie Ziemię?

— Nie. Nie mamy ani środków, ani czasu na to, żeby wszystko zaczynać od nowa, zresztą nigdzie poza Ziemią nie znaleźlibyśmy... ale to pan już wie od profesora, prawda? Więc nie. Po prostu uwzględnimy w naszych działaniach jeden dodatkowy czynnik, z czym zresztą i tak od początku musieliśmy się liczyć. Nasza sytuacja się nie zmieniła... czego jednak nie mógłbym powiedzieć o pańskiej. Nie ukrywam, że i pan musi liczyć się teraz z pewnym

ryzykiem, które wczoraj jeszcze nie istniało. Jeżeli oni zorientują się, że Właśnie pana wybraliśmy jako głównego wykonawcę naszego przedsięwzięcia i że pan zgodził się z nami współpracować, a prawdopodobnie po wczorajszym rekonesansie już znają prawdę, wówczas może pan oczekiwać niespodzianek zupełnie innego rodzaju niż te, które spotykały pana w ciągu minionych trzech dni. Uważałbym nawet, że nie mamy prawa pana narażać, gdyby nie uniwersalizm naszego przedsięwzięcia, oraz gdyby nie był pan zawodowym astronautą, od lat zżytym z faktem, że ryzyko jest wkalkulowane w pana pracę, tak jak pierwotnie zostało wkalkulowane w pańską decyzję, kiedy ważyły się losy \pana przyszłego życia. Zresztą niekiedy prawa jednostki muszą ustąpić pierwszeństwa innym prawom i okoliczność, że tym razem chodzi o ogół obcych panu istot, nie może tu odgrywać istotnej roli. Zapowiedziałem zaraz na początku naszej znajomości, że będę unikał konwenansów, a o ile wiem, pan także nie jest ich przyjacielem. Dlatego mówię szczerze. Obaj wiemy poza tym, że chociaż pański lot oznaczać będzie ratunek dla nas, to pan sam podejmie go w imię Ziemi i dla Niej. Czyż nie tak? Ale o tym porozmawiamy chyba gdzie indziej.

— Nie znoszę, kiedy mówi pan o tym locie tak, jakbym tkwił już wewnątrz waszego szklanego statku i odliczał sekundy pozostałe do startu — burknąłem, idąc za nim ścieżką w stronę drogi,

na której stał jego pojazd.

— Przepraszam — odpowiedział krótko i zamilkł. Zaraz za zamaskowanym wejściem do tunelu czekał na nas osobnik w długiej, granatowej pelerynie z postawionym kołnierzem, **zza** którego wзираł wysoki, brązowy golf. Jego twarz stanowiła lustrzane odbicie twarzy Stanzę. Byliby nie do rozróżnienia, gdyby nie to, że nowy, zamiast okrągłej czapeczki, miał na głowie coś W rodzaju głęboko nasuniętej furażerki, z opuszczonymi bocznymi klapkami.

— To jest John Blane — przedstawił mi go Stanza. — John zajmuje się strukturą przestrzeni. A 9to — wskazał na mnie — nasz gość i przyjaciel, który doprowadzi do końca nasze dzieło i któremu nie będziemy mogli za to nawet podziękować, ponieważ albo nas nie będzie, albo będziemy tak dalece inni, że zapomnimy o jego istnieniu, albo wreszcie będziemy tacy jak teraz, ale bardzo, bardzo

daleko stąd.

— Wiem — powiedział posiadacz zniekształconej furażerki. —

Dzień dobry, panie Hagert. Bardzo mi miło.

Głos Stanzę. Pewnie oni wszyscy wyglądają tak samo i tak samo mówią... w każdym razie tutaj, na Ziemi. Jak też mogli wyglądać

naprawdę?

Zauważyłem, że świeżo poznany .specjalista od struktury przestrzeni przygląda mi się ze szczególnym napięciem, jakby chciał sobie dobrze utrwalić w pamięci każdy najdrobniejszy rys mojej twarzy. Ogarnęło mnie niemiłe przecucie, że mój urlop nieodwołalnie należy do przeszłości.

W łódkowatym wehikule Blane zajął miejsce za moimi plecami. Kiedy zatrzymaliśmy się i Stanza dał znak, że jesteśmy u celu, on pozostał w swoim fotelu.

— Muszę wracać do moich zajęć — wyjaśnił. — Przepraszam i dziękuję.

— Nie ma za co — mruknąłem ponuro. -j- Coś mi się zdaje, że to ja powinienem być panu wdzięczny. Przynajmniej za dobrą wolę... jak na razie.

Nie ulegało wątpliwości, że Stanza, zaniepokojony wczorajszym nocnym incydentem pod moim domkiem, postanowił przydzielić mi ochronę osobistą. Oznaczało to, że mogę oczekiwać niespodzianek nie tylko ze strony istot, pragnących udaremnić plany mieszkańców podziemi i, zapewne, unicestwić ich samych. Bo w jaki sposób może chronić człowieka ktoś, kto „zajmuje się strukturą przestrzeni”?

Blane pojechał dalej, a mnie Stanza wprowadził do pomieszczenia, pogrążonego w zupełnym mroku. Moment później zabłyśły światła i ujrzałem przed sobą trzy stojące pionowo kryształowe statki, lśniące jak rtęć, a zarazem przezroczyste jak woda. Chociaż hala dzięki swej wysokości przypominała raczej szyb o przekroju wydłużonego owalu lub poszerzoną studnię, konstrukcje nie mieściły się w niej, ich górne, zaostrome części były ucięte, bądź też przeszywały strop i zdobiły sale na wyższych piętrach.

— Oto są pojazdy, których konstrukcję poznał pan wczoraj — rzekł mój przewodnik. — Dzisiejszy lot będzie oczywiście także pozorowany, tylko tym razem zasiądzie pan w prawdziwej kabinie, przed prawdziwymi automatami pokładowymi. Oczywiście, to nie są te statki, które przygotowaliśmy do startu... tamte czekają gdzie indziej. Ale nie odczuje pan najmniejszej różnicy... poza jedną. Mianowicie w czasie podróży przedstawimy panu na specjalnie wmontowanym ekranie kolejny program szkoleniowy, jeśli nadal nie razi pana to określenie.

— Nic nie jest w stanie mnie urazić... tutaj — odpowiedziałem szczerze. — Przedtem jednak powinien mi pan parę spraw wyjaśnić. Chciałbym się na przykład dowiedzieć, z jakiego to powodu

miałbym, pańskim zdaniem, przystać na waszą propozycję „w imię Ziemi i dla jej dobra”? Ale mam jeszcze inne, bardziej praktyczne pytanie. Na kiedy zaplanowaliście start? Co konkretnie mam zrobić znalazłszy się u celu podróży? Skąd będę wiedział, że wypełniłem zadanie? Jak zawrócę w piekle Big-Bangu i jaką mam gwarancję, że z powrotem będę leciał z tą samą szybkością co przedtem, czyli że znajdę się na powrót w miejscu startu wcześniej niż za piętnaście czy dwadzieścia miliardów lat, które znana mi dotąd rzeczywistość. potrzebowała, by osiągnąć obecny etap ewolucji? Co mam zrobić, jeśli zdarzy się jakaś nieprzewidziana przeszkoda albo awaria, bo nie sądzę, abyście przy całej waszej sprawności „techniczno-konstrukcyjnej” zdołali całkowicie wyeliminować możliwość, dajmy na to, sekundowej przerwy w działaniu pięćsetnego podzespoliku, kiedy statek będzie przechodził przez supersilne pole grawitacyjne? Proszę nie zapominać, że mogę też spotkać waszych... no, pojazdy należące do innych cywilizacji...

- Stanza pokiwał głową jakby z ubolewaniem.

— Co zamierzamy osiągnąć i dlaczego w ogóle jesteśmy tutaj, to pan już przecież wie — powiedział spokojnie. — Profesor Amosjan...

— Więc jednak „odgadliście”, o czym rozmawialiśmy wczoraj — przerwałem.

— Nie. Dowiedzieliśmy się o tym dzisiaj, od pana. Skrzywiłem się odruchowo. Prawda, czytają w moich myślach...

— Wie pan także, że chcemy zrealizować nasz plan poprzez umieszczenie w pramaterii wzorca informacyjnego i że tym wzorcem będzie pańska osobowość. Do tej sprawy jeszcze wrócimy... po dzisiejszym seansie. Co do innych pytań, przyznaję, że nadszedł już czas, aby na nie jasno odpowiedzieć. Start, według ziemskiego kalendarza, miał się odbyć za cztery dni. Jednak po tym, co zaszło wczoraj, powinniśmy go przyspieszyć. Im krócej będzie pan tutaj narażony na spotkanie z... nie muszę mówić, z kim, prawda? — tym mniejsze staną się rozmiary ryzyka porażki nie tylko pańskiej osobistej, lecz także naszej, a więc i porażki cywilizacji, do której należę... należałem. Sądzę, że polecą pan pojutrze.

— Co?!

— Pojutrze — powtórzył smutnym głosem. — Jutro przyjdzie pan tutaj po raz ostatni. Wieczorem wystartujemy na orbitę Plutona. Tam będą już na nas czekać.

Poruszyłem kilkakrotnie wargami, ale nic nie powiedziałem.

— Teraz dalej. U celu podróży pana zadaniem będzie tylko sprawdzenie, czy automaty wystrzeliły we właściwym miejscu; czasie ładunek zamknięty w pojemnikach, niedostępnych dla pańskich oczu, bo skonstruowanych z pozaprzestrzennych pól energetycznych. Wskaźniki są bardzo przejrzyste, więc odpowiedni meldunek odbierze pan natychmiast. Gdyby natomiast zaistniała awaria, co jest wprawdzie wysoce nieprawdopodobne, ale teoretycznie istotnie możliwe, to pan sam w czasie lotu, po usunięciu uszkodzenia, powtórzy zabieg skopiowania swojej osobowości i umieści pan tę informatyczną odblask w rezerwowych zasobnikach. Cała ta operacja także sprowadzi się do wydania właściwych poleceń automatom. Statek zawróci sam, nawet bez interwencji urzędów nawigacyjnych, chociaż zmiana kierunku u celu jest wprowadzona w program lotu na wypadek, gdyby nasze obliczenia nie były zupełnie ścisłe, ponieważ z właściwości jego substancji wynika, że musi zawrócić, na skutek praw rządzących czasoprzestrzenią w punkcie najmniejszego oddalenia od zera. Również bez żadnych zabiegów ze strony żywego pilota przebiegnie w powrotnej drodze przez te same punkty cię-

ciwy ujemnej... to znaczy, chciałem powiedzieć, rozwinię identyczną prędkość jak w pierwszej części lotu. '

Jednego pytania pan nie postawił, nie wiem, czy celowo? — zawiesił głos, ale po krótkiej pauzie, nie czekając na odpowiedź, mówił dalej: — Chodzi o to, jak długo, według kryteriów obowiązujących na Ziemi, potrwa cała wyprawa? Otóż niestety, tego nie jesteśmy w stanie przewidzieć. Z całą pewnością mógłby się pan znaleźć z powrotem w rejonie wielkich planet niemal od razu... no, powiedzmy po upływie godziny, uwzględniając czas potrzebny do wyjścia z płaszczyzny ekliptyki, a następnie ponownego wejścia w nią po bezpiecznej trajektorii. Jednak przestrzeń, w wyniku pańskiej interwencji, może być przecież zorganizowana inaczej...

— Rozumiem — przerwałem cierpko. — Ekliptyka może być gdzie indziej. Niech pan nie kończy. Obecna Ziemia będzie na mnie czekać albo tutaj, albo w konstelacji Panny, albo w którejś z galaktyk. Chociaż tak naprawdę to czekać na mnie nie będzie ani Ziemia, ani nikt na niej...

— Tego też nie wiem — rozłożył ramiona. — Ale chciałbym teraz wrócić do sprawy, którą poruszył pan zaraz po wejściu tutaj.

Myślę, i nie ja jeden, że są poważne powody, dla których powinien pan przyjąć naszą propozycję także w interesie Ziemi. Niewiele wprawdzie mogę dodać do tego, co powiedział na ten temat profesor Amosjan... ale pytał pan o moje zdanie. Chcę być zupełnie szczery. Nie ulega kwestii, że gros cywilizacji ma o wiele więcej do zyskania, a o wiele mniej do stracenia niż Ziemia. Niemniej zna pan przeszłość swojej planety...

— Sam pan mówi, że to już przeszłość — wtrąciłem.

— A jaką ma pan pewność, że przyszłość nie będzie gorsza od teraźniejszości? — odpowiedział pytaniem. — Jak każda kosmiczna społeczność macie przed sobą jeszcze niejeden próg energetyczny, informacyjny, technologiczny, organizacyjny, demograficzny... i tak dalej. Skąd pan wie, że kiedyś, w momencie przekraczania któregoś z tych progów, co zawsze wiąże się z mniej lub bardziej rozciągniętymi w czasie sytuacjami kryzysowymi, nagle nie odżyją i nie przemówią, może gwałtowniej niż kiedykolwiek, zneutralizowane teraz, ale nie martwe instynkty, nawyki, krótko mówiąc szkodliwe cechy, zakorzenione w was w ciągu tysięcy lat? Ziemskie stosunki polityczne i związki łączące środowiska, a także jednostki są obecnie stabilne, lecz nie uniwersalne. Nadal jesteście podzieleni na dwie przeciwstawne pod względem ideologii grupy i nadal żywe są wśród was relikty czasów, kiedy istnienie tych dwóch grup zagrażało katastrofalnym wybuchem. Ta sytuacja kryje w sobie niebezpieczeństwo, wprawdzie odległe, lecz realne, bo prawdziwą, dynamiczną stabilizację zapewnia każdej cywilizacji jedynie uniwersalność stosunków społecznych, a do tego, daruje pan, bardzo wam jeszcze daleko. Nie tylko wam, rzecz jasna, ale to niczego nie zmienia.

Widzi pan, ewolucja biologiczna zależy w znacznej mierze od przypadku, a związana z nią przecież naturalnymi zależnościami ewolucja kulturowa jest stosunkowo świeżej daty. Pierwsza zmierza do jednego celu: przetrwania, czyli reprodukcji. Nie spełnia podstawowego warunku, niezbędnego dla rozwoju, a mianowicie nie dysponuje mechanizmem przekazywania ulepszeń następcom. Atletę dźwiga bez trudu setki kilogramów, ale jego dzieci, jeśli chcą Pójść w ślady ojca, muszą zaczynać treningi od nowa. Z kolei ewolucja kulturowa spełnia wprawdzie ten warunek i może działać celowo, Pytanie tylko, w jakim stopniu pozostaje w tyle za pierwszą, niezmiennie posługującą się metodą prób i błędów, oraz w jakim stopniu ten fakt przyśpiesza, opóźnia lub zniekształca proces uzyskiwania odpowiedzi, których suma mogłaby jednostkom, świadomie poszerzającym swoje zaprogramowanie genetyczne, wskazać sens życia. Chcemy zreorganizować materię. Nasze plany, opracowane tutaj, a przemyślane jeszcze wśród gwiazd, których stąd nie widać, zmierzają do zwiększenia tempa ewolucji kulturowej oraz do uzyskania możliwości szybszego rozwiązywania problemów, w związku ze stosunkowo wolniejszym stwarzaniem nowych. Obliczyliśmy, że informacja, którą pan zawiezie tam, powinna wystarczyć.

— Jak to sobie właściwie wyobrażacie? Przecież tam nie będzie nic trwałego... nie będzie bodaj pierwocin cząstek elementarnych. I nagle taka eksplodująca jasność otrzymuje zastrzyk w postaci ludzkiej osobowości...

— Nadal rozumuje pan kategoriami jednorodnego, czterowymiarowego kontinuum, choć badając konstrukcję naszych statków musiał się pan już przekonać, że wystarczy wyjść myślą poza n-wy-miarową przestrzeń fazową, aby pojąć, że to pańskie „nic” oznacza dokładnie to samo, co „wszystko”. Dla uproszczenia — proszę się postawić w sytuacji człowieka patrzącego „z boku” lub „z góry” na wszechświat w procesie jego powstawania, istnienia, upadku i przechodzenia w następną fazę. A swoją drogą ten zastrzyk informacji dostarczy pan nie tylko do ogniska prawybuchu. Oprócz pierwotnych protonów, neutronów, hiperonów i leptonów, identyczne przesyłki otrzyma materia w strefie kondensacji mgławic, następnie nardzin gwiazd i wreszcie w momencie pojawienia się wśród młodych cząstek złożonych z siedmiu atomów wodoru, pierwszych łańcuszków dziewięcioperełkowych, ułożonych w porządku jakby już specjalnie zaprogramowanym dla nadrzędnego celu — umożliwienia powstania życia. Na tych cząsteczkach alkoholu etylowego kończy się operacja. Oczywiście, jej trzy ostatnie fazy nastąpią w locie powrotnym. Inaczej niczego byśmy nie osiągnęli, bo papa ingerencja w centrum, później, może zmienić czasoprzestrzeń i przesunąć względem siebie poszczególne stadia ewolucji. Pan, pilotując statek, nie będzie nawet wiedział o tym, że automaty uwalniają kolejne ładunki informacyjne. Ich programy są niezawodne.

— Jeśli tak, to czy nie powinienem pójść dalej? — zauważyłem. — Aż do momentu formowania się z nukleotydów łańcuchów DNA, zawierających już cząsteczki kodu genetycznego żywych istot? W takim razie na zakończenie mógłbym pogrzebać w ile na wybrzeżach pierwotnych ziemskich oceanów. To chyba dawałoby największą szansę..

— ...ale tylko. Ziemi. Nie sposób byłoby objąć taką operacją wszystkich planet istniejących we wszechświecie, wprowadzić nowym, zmienionym, lecz także ewoluującym już od miliardów lat, a więc rozszerzonym poza zasięg jakichkolwiek jednostkowych programów. Nie. Nie wolno nam tak postąpić. Szansę muszą być równe. Poza tym tego rodzaju zabieg byłby w gruncie rzeczy jednoznaczny z zastosowaniem inżynierii genetycznej, i to na monstrualnie wielką skalę, a przecież takie zabiegi są sprzeczne z waszą etyką i już w tej chwili znajdują się na Ziemi poza prawem. Nie — powtórzył z przekonaniem. — To w ogóle nie wchodzi w rachubę.

Nastała cisza. Mógłbym nadal pytać o wiele nieistotnych szczełógów i dzielić się z tym osobnikiem myślami czy raczej urywkami myśli, ale nagle przestało mnie interesować absolutnie wszystko, cokolwiek jeszcze miał mi do powiedzenia. Co gorsza, było mi najzupełniej obojętne, czy polecę za cztery dni, pojutrze, czy od razu.

Odwrociłem się i omiotłem wzrokiem kryształowe stożki. Nawet tu, w zamkniętej przestrzeni, karykaturalnie skrócone, wyglądały pięknie. Jak muszą wyglądać na orbicie Plutona?

Westchnąłem. Wiedziałem, że nawet nie wbrew mojej woli, a po prostu poza nią, już zdecydowałem. A raczej coś we mnie zdecydowało za mnie. Że ciągle spodziewając się przebudzenia z tego przedziwnego snu, który śniłem niemal od pierwszych chwil pobytu na Ziemi, wniknę w masę przezroczyściego jak góra z bajki pojazdu i polecę zrobić to, co chcę, abym zrobił, Stanza, Blane i ich pobratymcy, kosmiczni emigranci, uciekinierzy z obszaru cywilizacji, która w swoim wzroście osiągnęła krawędź przepaści.

— Czy pomyślał pan o tym, Bob — powiedziałem niespodziewanie dla samego siebie — że jeśli mi się uda i naprawdę będziecie inni... ponieważ od początku byliście inni, to pan, pozostając tutaj, na pewno nie będzie miał dokąd wrócić?..

— Owszem — odrzekł cicho. — Ale może się okazać, że „pozostałem” gdzie indziej. A poza tym — ja się nie liczę. Westchnąłem.

— No to co? Mogę teraz pójść do szkoły?

— Do... ach, tak. Oczywiście — odrzekł poważnie.

Nic podczas tego lotu nie było dla mnie zaskoczeniem poza głosem, który pojawił się kilka sekund po umownym starcie i zaczął powtarzać dane, wyskakujące najpierw na małym ekranie, należącym do właściwego wyposażenia pojazdu, a potem na tym dużym,

„szkoleniowym”.

— Kim jesteś? — spytałem.

— Centralnym węzłem informacyjnym statku. Odbieram też, przetwarzam i przekazuję impulsy płynące z dwóch pozostałych — odpowiedź była natychmiastowa i wypłynęła z idealnie przezroczystej skały, otaczającej moją głowę. Kiedy indziej powiedziałbym zapewne: znikąd.

— O jakich pozostałych statkach mówisz? Czy o tych dwóch, które stały obok naszego?

— Teraz lecą z nami. Niosą ładunek identyczny jak my. Zostanie on wystrzelony w tych samych punktach czasoprzestrzeni.

— Rozumiem. To jest asekuracja na wypadek, gdyby któryś ze statków nie doleciał.

— Tak.

— Stanza! — zawołałem.

— Słucham? — odpowiedział ten sam głos.

— Kiedy zdejmiecie mi zapis osobowości?

— Zapisy zostały umieszczone w zasobnikach.

Obeszli się bez mojej zgody. Ba, nie raczyli mnie nawet poinformować, że istnieję już w ilu?... dwunastu? Czy może czterdziestu informatycznych kopiach? Ale kiedy to zrobili?

— Wczoraj — padła odpowiedź, zanim zdążyłem powtórzyć pytanie na głos.

— Rozumiem. Czytanie w myślach, wiadomości zebrane w ciągu tego czasu, który poświęciliście mojej skromnej osobie i tak dalej. Aparatura nie była potrzebna.

— Istotnie, nie była.

— Czy podczas prawdziwego lotu także zachowamy łączność foniczną i... jak by to delikatnie nazwać... bezpośrednią?

— Nie. Łączność zaniknie natychmiast po wyjściu z płaszczyzny ekliptyki. Ale biorąc pod uwagę psychiczne powiązania ludzkich receptorów, zainstalowaliśmy na pokładzie rodzaj translatora, tłumaczącego znaki na fale głosowe. Ma on pamięć i może odpowiadać na pytania.

— Zauważyłem. Jednak jeśli nie będzie pan mi mógł towarzyszyć, kiedy rzeczywiście polecę w tak zwaną siłą dal, najbardziej siłą ze wszystkich możliwych dali, jakie umiem sobie wyobrazić, to teraz też zrezygnujemy z kontaktu.

— Ma pan rację. Zresztą czy zostało coś do powiedzenia? Głosy umilkły. Poprawiłem się w szklanym fotelu, który posłusznie reagował na każdy mój świadomy ruch, ustępując pod naporem łokci, głowy czy ramion i konsekwentnie wypełniając natychmiast całą przestrzeń zwolnioną przez moje ciało. Właśnie teraz uniosłem nieco głowę, żeby ogarnąć wzrokiem obraz na wielkim ekranie i w nieuchwytnym ułamku sekundy poczułem, że znowu mam pod karkiem ściśle odpowiadające jego kształtom oparcie.

Leciałem jak wczoraj w głąb czasu, przebywając te same etapy ewolucji wszechświata w odwróconej kolejności. Dziś program został wzbogacony o nową warstwę: historię życia. Bombardowanie strumieniami elektronów praatmosfery: amoniaku, metanu i pary wodnej. Zarodkowe cząsteczki alkoholu, nie na Ziemi już, której dzieje mają się rozpocząć dopiero za milion lat, lecz w przestrzeni. Jakże krótka jest historia tego życia, które tak często bywa przez ludzi uznawane za jedyną rację istnienia wszechświata. Przelatujące na ekranie obrazy i wzory topnieją w oczach. Minęło zaledwie kilkadziesiąt sekund, a ostatnie czy raczej pierwsze ślady materii ożywionej zniknęły bez śladu. Odtąd lot stał się wierną powtórką poprzedniego, przynajmniej do momentu, w którym u góry małego ekranu zapłonął sygnał: do celu jedna sekunda. Na zewnątrz szalało niewyobrażalne kosmiczne piekło lub, jak chciał Stanza, kosmiczny raj, opuszczony przez „prarodzców” niewłaściwą drogą. Statek leciał bardzo wolno.

— Odpalenie pierwszych zasobników — odezwał się spokojny głos.

— Czy będziemy już wracać? — spytałem.

— Dziesiąta sekunda — padła odpowiedź.

Nawet w największej odległości od pól grawitacyjnych i nawet w czasie snu astronauta czują, kiedy ich statki wykonują zwrot. Ja, żeby się przekonać, że lecę w kierunku przeciwnym niż do tej

pory[^] musiałem korzystać z pomocy czujników. Ale przecież to nie ja przemierzałem przestrzeń do jej początku i z powrotem, tylko ona sama odwróciła strzałę czasu, tak żeby jej grot wskazywał Ziemię. Obejrzałem uważnie dane, następnie przenikając dłonią przez

wypełnioną kryształem kabinę wcisnąłem na pulpicie sterowniczym klawisz sumatora i właśnie w tym momencie, raptownie, jak uderzony światłem, zrozumiałem, co miał na myśli Stanza mówiąc, że kiedy patrzy się na wszechświat „z boku” lub „z góry”, to wówczas „nic” oznacza „wszystko”. Sprawił to ujrzany na małym ekranie, bo duży już zniknął, wielopiętrowy, a jednocześnie brylantowo czysty, logiczny wzór. Doznałem olśnienia, które bywa udziałem jakże nielicznych naukowców, gdy w jakimś ułamku sekundy ich gromadzona latami wiedza eksploduje jasnością, wyłuskując z mroku prostą, szeroką drogę, której istnienia dotąd być może nawet nie przeczuwali. Przecież leciałem zarazem i na Ziemię, i donikąd. Przecież wyprzedzałem czoło prawybuchu, forpocztę wszechświata o rosnące z każdą chwilą miliony lat, zmierzając tam, gdzie umysł człowieka pojawi się dopiero za tysiące wieków. A równocześnie wracałem do siebie, na peryferie jednej z niezliczonych galaktyk, która istniała, gdy odlatywałem i istnieje nadal, ponieważ ma za sobą dwadzieścia miliardów lat ewolucji licząc od miejsca, w którym jestem teraz. Ogarnęła mnie gorąca, cicha radość.

— Wyłącz automaty nawigacyjne — powiedziałem.

— Automaty wyłączone.

— Przechodzę na ręczne sterowanie.

— Sterowanie awaryjne — sprostował głos. - , Prowadziłem statek spokojnie i pewnie. Wkrótce czujniki powiedziały mi, że przebiegłem czas, potrzebny dla zorganizowania się materii w pierwsze mgławice. Widziałem je, równie rzeczywiste jak statek, w którym tkwiłem, i równie jak w epoce Kopernika zagadkowe dla mieszkańca Ziemi, wciąż szukającego w kosmosie nowych praw i nowych prawd. Zostawiłem te mgławice daleko za sobą, czekały na mnie w jeszcze dalszej przyszłości, a zarazem były i tutaj, były naprawdę, ponieważ wędrowałem przecież przez mój, istniejący wszechświat.

— Odpalenie drugiej serii zasobników — wydałem rozkaz.

— Zasobniki odpalone — głos potwierdził informację, którą ujrzałem na ekranie.

Powtórzyłem to samo polecenie jeszcze dwukrotnie. Zadanie, powierzone mi przez obcych, zostało wykonane. Zacząłem się bawić. Zwalniałem tak, że gwiazdy wokół mnie nieruchomiały, jakby to one zatrzymały się w pędzie, potem przyśpieszałem, przekraczając / wszystkie bariery, znane naszej fizyce, tak niby uniwersalnej w. epoce geoniki, epoce stale doskonalącej spuściznę pozostałą po Krentzu i Barcewie. Zmieniałem kierunek lotu, po czym wracałem na kurs, pewny, że cokolwiek bym zrobił i tak trafię do punktu wyjścia, ponieważ patrząc na przestrzeń ze świeżo odkrytej perspektywy, . w pewnym- sensie nigdy go nie opuściłem. Oczywiście gdybym w czasie lotu, już prawdziwego, zginął, to moja śmierć byłaby najzupełniej realna. Ale lecąc naprawdę, nie będę rezygnował z pomocy zawsze szybszych od ludzi automatów.

Kiedy do końca podróży pozostało miliard lat, to znaczy kiedy odczytałem z danych, że na widocznej przede mną Ziemi, spowitej w gęste welony chmur, pojawiają się pierwsze kręgowce, oddałem stery.

— Kurs zgodny z programem — poinformował mnie natychmiast głos,

— A co z dwoma pozostałymi statkami? — przypomniałem sobie. — Mieliśmy przecież eskortę?

— Lecą obok was, ale poza horyzontem zdarzeń — usłyszałem. — Są wyposażone w stabilizatory lokalnych superwielkich pól grawitacyjnych. Chodziło o to, żeby każdy z trzech pojazdów funkcjonował jako jednostka całkowicie samodzielna. Automaty dwóch statków towarzyszących także przecież wystrzeliwują ładunki w identycznych punktach czasowych. Jeśli któremuś coś by się przytrafiło, a miałyby możliwość wezwania na pomoc pozostałych, to tym samym naraziłby całość przedsięwzięcia.

— Mój pokładowy kompan stał się naraz niezwykle rozmowny — zaśmiałem się. — Ale, Bob, miał się pan nie odzywać do k'ońca lotu. Nawiasem mówiąc, co z lądowaniem? O tym drobnym szczególe „przedsięwzięcia” jakoś nikt dotąd nie wspomniał?

— Niech pan popatrzy na ekran, Lin. Posłuchałem. Cyfry i dane liniowe zgasły. W lewym górnym rogu ekranu palił się żółtawym światłem napis: Ziemia.

— Gdzie jestem?

— Tego niestety nie wiem — głos Stanzy brzmiał tak poważnie, że i ja natychmiast przestałem się uśmiechać.

— Przepraszani — burknąłem ponuro. — Na chwilę zapomniałem, że wracam do

zmienionej rzeczywistości. Wprawdzie zmiftnio-nej na mój obraz i podobieństwo, ale przed dwudziestoma miliardami lat. Nie wiadomo na przykład, czy wyląduję w atmosferze, zawierającej choćby jeden procent tlenu — podniosłem się, przewiercając głową litą konstrukcję statku i ujrzałem Stanzę, stojącego tuż obok nieruchomego ostrosłupa. — Nie wiadomo zresztą także, czy ja sam miałbym ochotę oddychać czymś takim jak tlen... chociaż nie, ja się nie zmienię, prawda? To tylko moi ziomkowie mogą mnie z wielką pompą powitać jako w miarę inteligentnego parlamentariusza innej gwiazdnej cywilizacji/ Powiem im wtedy od razu, że nie przyleciałem ich hodować — zeskoczyłem na podłogę i odetchnąłem głęboko. — No, cóż — podjąłem po krótkiej pauzie, widząc, że Stanza nadal stoi bez ruchu i milczy — jak wypadł egzamin? Macie jakieś dodatkowe testy? Czy też zostawiliście coś jeszcze na deser... jeśli chcecie opuścić tę planetę dopiero jutro wieczorem? A właśnie, byłbym zapomniat. Skoro są trzy identyczne statki, z których każdemu coś może się przytrafić, czy nie lepiej byłoby znaleźć trzech Hagertów? Przecież ja mam lecieć tylko po to, żeby w razie czego, gdyby ktoś, powiedzmy, ukraść po drodze zasobniki, powtórzyć operację zapisu osobowości... Wobec tego powinniście byli tak samo zatroszczyć się o dwa pozostałe wehikuly.

— Być może tak rzeczywiście byłoby lepiej — odpowiedział. — Ale nie jesteśmy u siebie. Już zawdzięczamy Ziemi wiele... a jeśli się nam powiedzie, będziemy jej zawdzięczać znacznie więcej. Wciąganie w realizację naszego programu trzech ludzi, trzech pilotów, przekraczałoby trzykrotnie minimum potrzeb. Żaden z nas nie odważyłby się wystąpić z podobną propozycją. Poza tym zachowanie tajemnicy okazało się trudne, jak pan sam miał okazję stwierdzić, nawet przy współpracy z jednym tylko astronautą. Gdybyśmy zaprosili trzech, byłoby wręcz niemożliwe. Wracając do tego, o czym mówił pan przed chwilą. Na wypadek lądowania poza atmosferą, będzie pan miał na sobie próżniowy skafander. A jdro zapozna się pan z aparaturą, która umożliwi panu powtórzenie zapisu osobowości... w sytuacji awaryjnej.

— To znaczy, że teraz mogę iść spokojnie do domu?

— Chce pan przez to powiedzieć, że skoro ktoś niepożądany odkrył naszą obecność na Ziemi i pana związki z nami, to istnieje niebezpieczeństwo, że ten ktoś nie dopuści do naszego jutrzejszego spotkania — stwierdził. — Cóż, stuprocentowej pewności istotnie nie mamy. W każdym razie, od momentu opuszczenia ośrodka, będzie panu stale towarzyszył Blane. Zabierze ze sobą podręczną aparaturę. Odtąd nie grozi już panu niespodziewane przesłukiwanie w inne, równoległe czasoprzestrzenie. Blane do tego nie dopuści... a gdyby mimo wszystko zdarzyło się coś takiego, to będzie pan przynajmniej od razu wiedział, że chodzi o bezpośrednią interwencję moich ziomków... tak, moich ziomków, czas mówić otwarcie. Aparatura, o której wspomniałem, powinna ich trzymać z daleka przez te kilkanaście godzin, jakich jeszcze potrzebujemy. Jeśli nie... ale sądzę, że pan, jako astronautą, także nie lubi uprzedzać faktów, którym, jeśli już zaistnieją, i tak nie będzie można zaradzić. Nie myślę się, prawda?

— Nie myli się pan. To na razie...

— I radziłbym już nie odwiedzać profesora Amosjana. Zatrzymałem się w drodze do wyjścia.

— Jak to? Przecież muszę... wypada mi pożegnać się z nim. To jedyne człowiek jak Ziemia długa i szeroka, któremu mogę powiedzieć: do widzenia. W domyśle: żegnaj. Poza tym, on się mnie spodziewa.

— Nie tylko on może spodziewać się tej wizyty. Każde dodatkowe ryzyko byłoby teraz, przynajmniej moim zdaniem, błędem nie do wybaczenia. Jestem zupełnie pewny, że to samo usłyszałby pan od samego Amosjana

— Więc pożegnaj się z oceanem, ptakami i zielenią — skapitulowałem.

Zastanowił się przez chwilę.

— Dobrze — rzekł wreszcie. — Sądzę, że to zupełnie obojętne, czy pozostanie pan u siebie, w pustym i nie strzeżonym domu, czy też wybierze się pan na plażę, gdzie bądź co bądź będą i inni ludzie. I proszę nie utrudniać zadania Blanowi.

— Na pewno zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby mu je ułatwić — odpowiedziałem. — Nie jestem samobójcą.

*

— Była tu pielęgniarka, ta, która w nocy opatrywała panu plecy — oznajmił mi na powitanie robot. — Powiedziała, że wstąpiła po drodze do domu, żeby zapytać, jak pan się czuje.
— Przecież mówiła, że wystarczy, jeśli sam sobie zmyję... pielęgniarka? — zatrzymałem się w połowie schodów prowadzących na piętro.

— Tak, proszę pana.

— Co jej powiedziałaś?

— Ze pana nie ma.

— Mówiłeś, gdzie jestem?

— Nie. Nie wspomniałem o... to znaczy, przecież nie wiedziałem...

Blane nie czekał na wezwanie. Nie czekał nawet, aż o nim pomyślę. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętałem, był nagły ruch w moją stronę zacnego, troskliwego robota. Stał jednak za daleko. Zdażył tylko pochylić górną część korpusu i sprężyć się jak do skoku. W takiej pozycji zaczął błyskawicznie oddalać się, zmałał do rozmiarów malutkiego żuczka, aż w końcu utonął w obłoku gęstej, mlecznej mgły. Kiedy po upływie kilkunastu sekund mgła ustąpiła, zobaczyłem, że stoję na kamienistym wzgórzu, porośniętym suchymi kaktusami. Obok mnie w małym, dwuosobowym łaziku, podobnym raczej do opakowania jakiejś delikatnej przesyłki aniżeli do pojazdu, siedział Blane. Jego dłonie spoczywały na owalnym pulpicie, przymocowanym pionowo do przedniej ścianki wehikułu.

Rozejrzałem się odruchowo, ale jak okiem sięgnąć, w całej pustynnej okolicy wzgórza nie było śladu obecności żywych istot.

— No i co? — spytałem niezbyt przytomnie.

— Pański robot został przeprogramowany... bądź podmieniony.

— Proszę sobie wyobrazić, że to odgadłem nawet bez pańskiej pomocy. Poza tym dziękuję. Pewnie, gdyby nie pan, byłbym teraz w drodze na jakąś planetę, której mieszkańcy w ten sposób nigdy nie staliby się podobni do mnie. Ale czy nie zastanowiło pana, że ten robot zbyt wcześniej zdradził się przed nami? Kompromitacja zaraz przy pierwszym zdaniu? Czy to nie podejrzane?

— Nie — rzekł z zastanowieniem. — Nie wydaje mi się. Widzi pan, o n i niezbyt dobrze radzą sobie z waszymi automatami... zwłaszcza pomocniczymi. To tak, jakby pan tutaj na Ziemi kazał fotonikowi, konstruktorowi napędów powielających, naprawić zepsuty młynek do kawy. Może to zrobić dobrze... jeśli jest akurat hobbystą.

— Rozumiem — rzucił sucho. — Skala. Różnica skali.

— Właśnie...

— A jaką mam gwarancję, że ta scenka w domu i nasza ucieczka na ten pagórek, jakby przeniesiony ze starych westernów, nie zostały zaaranżowane specjalnie? Ze pan jest tym samym Johnem Blane, którego przedstawił mi Stanza? Ze pustynia wokół nas nie jest złudzeniem lub obrazem innej czasoprzestrzeni, a naprawdę konam z pragnienia uwięziony na martwym księżycu w Obłoku Magellana? Lub w ogóle dawno już przestałem istnieć?

— Obawiam się, że nie może pan mieć żadnej gwarancji — odrzekł bez wahania.

Potrząsnął głową. — Jedyne argument, jaki mi się nasuwa, nie zabrzmiał zapewne zbyt grzecznie. Proszę jednak pomyśleć, gdybym nie był tym, za kogo się podaję, w jakim celu miałbym udawać, że nadal jesteśmy na Ziemi? Przecież, gdybym teraz powiedział, że znajdujemy się w fazie pozaciągłej przestrzeni lub że wylądowaliśmy na granicy stutysięcznej galaktyki, i tak nie mógłby pan zrobić nic, co zmieniłoby taki stan rzeczy?

— Istotnie, ten argument nie jest zbyt sympatyczny — przyznałem — za to, jak mi się zdaje, dość przekonujący. Wobec tego pozwoli pan, że spytam, co pocniemy z resztą tak mile rozpoczętego

popołudnia?

Tarcza słoneczna zesłała już za leżące nad widnokregiem pasemko wieczornych chmur. Dzień miał się ku końcowi. Mój ostatni dzień na Ziemi... bez względu na to, czy Stanza i ten tutaj doprowadzą mnie szczęśliwie na orbitę Plutona, czy też tropiący ich mściciele z gwiazd zdążą udaremnić wykonanie planu, którego celem miało być przesunięcie zwrotnicy na torze wszechświata. W tym drugim wypadku będzie to mój ostatni dzień nie tylko na Ziemi...

Poczułem, że jestem głodny. Robot zdemaskował się stanowczo za prędko. Mógł przedtem przynajmniej podać mi spóźniony obiad.

— Ależ... oczywiście, proszę uprzejmie— Blane szybko wydobyl z dna swojego dziwnego pojazdu apetycznie opakowany pojemnik żywnościowy i podał mi go .ruchem wytrawnego kelnera. Machinalnie wziąłem od niego głębokie, srebrzyste pudło i obejrzałem jego zawartość. Było tam doprawdy wszystko, czego mogłem sobie życzyć, łącznie z termosem pełnym kawy.

— Dziękuję — mruknąłem, ochłonawszy z zaskoczenia. — A swoją drogą nie rozumiem, po co obcując z wami nieustannie strzępię sobie język. Skoro wystarczy pomyśleć...

— To delikatna sprawa — rzekł z nikłym śladem uśmiechu na swojej nieruchomej twarzy. — Wie pan, tutaj staramy się zawsze czekać na to, co ktoś chce nam powiedzieć. Oczywiście, nie dotyczy to sytuacji takich jak ta przed chwilą. Bo wątpię, czy pan powiedziałaby na głos, że jest pan głodny.

Istotnie — przytaknąłem mu w myśli, ponieważ usta miałem wypchane papryką, faszerowaną tymi wyhodowanymi ostatnio grzybami, przypominającymi w smaku dojrzałe wiśnie. — Ale nie dla- >, tego, żebym się wstydził, tylko po prostu nie przyszłoby mi do głowy, że potraktuje pan swoje obowiązki aż tak wszechstronnie.

— Jeśli chodzi o nadchodzącą noc — zmienił temat — to nie ulega wątpliwości, że należałoby ją spędzić teraz... chciałem powiedzieć, tutaj. Musi pan jednak dobrze wypocząć przed jutrzejszym dniem, a w tych warunkach — zatoczył ręką łuk, obejmując nim panoramę pustyni — nie byłoby to możliwe. Więc jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, proponuję, abyśmy już obecnie pożegnali Ziemię i przenieśli się do naszego ośrodka. Znajdzie pan tam zupełnie znośne warunki... a w wypadku, gdyby oni odkryli ośrodek i tak nic nie uratuje naszego przedsięwzięcia.

— Z tą drobną różnicą, że przy okazji i mnie nic nie uratuje — zauważyłem, oddając mu opróżniony pojemnik. — Jak to właściwie jest z wami i z nimi? Uważają was za zdrajców? Czy tylko dezertków? Orientują się, co zamierzacie zrobić?

— Nie... nie sędę — odrzekł bez przekonania. — Zresztą, to chyba nieistotne. Widzi pan, dla nas tak czy inaczej nie ma powrotu...

— Tak, to już słyzałem. Nadal jednak nie wiem, w jaki sposób Stanza, pan i ilu was tam jeszcze jest pod ziemią, zmyliliście czujność swoich rodaków, że tak długo zostawiali "was w spokoju? No i jak to się stało, że w końcu mimo wszystko was znaleźli? Nawiasem mówiąc ten fałszywy konserwator najwyraźniej zareagował, kiedy powiedziałem: Stanza. Już przedtem musiał trafić na jakiś ślad, skoro w ogóle pojawił się akurat u mnie, ale nabrał pewności dopiero wtedy, gdy usłyszał, że ostatnie dwa dni spędziłem w towarzystwie Stanz. Czyżby pana kolega używał tutaj swojego prawdziwego nazwiska?

— Niezupełnie... chociaż, jak wynika z rozwoju wypadków, postać, pił dość nieostrożnie. „Stanza” to wasz fonetyczny odpowiednik naszego określenia... jednego z określeń, zresztą raczej archaicznych, oddających pewną specyfikę istot wyższego rzędu. Żywych istot. W tym znaczeniu, w jakim wy używacie pojęcia „istota wyższego rzędu”, kiedy mówicie na przykład o psach, koniach czy małpach. Także, rzecz jasna, o ludziach. Dość na tym, że kiedy wymówił pan to słowo, przybysz z naszego świata od razu musiał zrozumieć, że przypadkiem znalazł się na właściwym tropie. Przypadkiem, ponieważ oni nie mieli żadnych wskazówek, gdzie nas szukać. Tego jestem pewny. Jednak z pewnością wysłali patrole do wszystkich znanych cywilizacji, a przecież, jak pan już wie, nie musieli czekać, aż ktoś im powie, że zna miejsce naszego pobytu. Mamy... mają bardzo czułą aparaturę do wzmacniania i przechwytywania fal biologicznych. Co zresztą nie dawało im wcale gwarancji powodzenia. Przecież musieli objąć inwigilacją tryliony istot na wielu globach. Przypuszczam, że działali metodą selekcji. Założyli, że będziemy się starali nawiązać kontakt ze starannie wybranymi mieszkańcami planety, którą upatrzyliśmy sobie jako teren działania. Kogo mogliśmy wybrać? Łatwo było odgadnąć, że osoby zawodowo związane z astronautyką, ponieważ któż jeśli nie specjaliści z dziedziny badania kosmosu powinni przyjąć ze spokojem i zrozumieniem fakt pojawienia się obcych? A kto spośród waszych astronautów osiągnął największe zaawansowanie w swoim zawodzie? Oczywiście uczestnicy przygotowywanej wyprawy „P — G”. Ja na ich miejscu rozumowałbym w każdym razie właśnie w ten sposób i tu, na Ziemi, od razu otoczyłbym szczególną opieką pana i

pańskich dwudziestu sześciu towarzyszy. Widocznie inni spędzali swój urlop bardziej, powiedziałbym, tradycyjnie, wśród krewnych, przyjaciół czy znajomych, z którymi wspólnie oddawali się sportom i zabawie. Pan natomiast był sam, a w dodatku niemal bezpośrednio po przybyciu nad Ocean zaczął pan znikać na całe dni, nie dbając o plażę, pływanie i uroki ziemskiego lata. Strzelili... i trafili.

— Tak — burknąłem ponuro. — Jestem przecież odludkiem. Nieraz dawano mi do zrozumienia, że moje usposobienie pozostawia wiele do życzenia, nie sądziłem jednak, że może sprowadzić na mnie prześladowców z okolicznych galaktyk. Dobrze — westchnąłem. — Niech już będzie któryś z tych zacisznych kącików, jakie podziwiałem w waszych podziemnych apartamentach. Kuchnię, jak mnie

pan sam o tym przed chwilą przekonał, macie wcale niezłą, a spać umiem wszędzie. To należy do naszego zawodu, prawda?

— Tak. Chwileczkę...

— Proszę poczekać! — zawołałem, widząc, że na powrót kładzie dłonie na swoim pulpicie. — Przenieśliśmy się w to miejsce — wskazałem brodą kamieniste wzgórze, nad którym gęstniał już mrok — czy też w ten czas tak, że dokładnie widzieli naszą uciecz-^ kę. Czy nie czekają na tej drodze, którą chce pan... wracać?

— Nie. To niemożliwe' — rzekł z pewnością w głosie. — Gdybyśmy powtarzali tę operację w nieskończoność, zapewne w końcu udałoby im się nas złapać. Prawdopodobieństwo, że dokonają tego za pierwszym razem, jest mniej więcej jak jeden do minus piętnastu. Albo i mniejsze. Gdyby istniała gra, polegająca na wybraniu właściwego czasu z całej matematycznej talii, rozrzuconej przez naturę, byłaby to najtrudniejsza gra pod słońcami.

— A zatem grajmy — powiedziałem.

Przez ułamek sekundy wydawało mi się, że nadal stoję na schodach prowadzących do sypialni w moim cichym, letnim domku i widzę robota, który — rzecz niesłychana u automatów — później niż ja zorientował się, że powiedział za dużo. Że jego słowa „nie wspomniałem o...”, wymówione przed chwilą, demaskowały go jako szpiega. Jeśli o czymś nie wspomniał, to znaczyło, że gdyby był mniej dyskretny, mógłby poinformować rzekomą pielęgniarkę, a raczej pielęgniarkę, która rzekomo mnie odwiedziła, o miejscu mojego pobytu. Miejscu najzupełniej mu nie znanym, jeśli był nadał tylko zwykłym usługowym robotem.

Natychmiast jednak świat znowu zmętniał mi w oczach, a kiedy przejrzałem, nie było już ani pustyni, ani wygodnego wnętrza aithe-ropolskiego bungalowu. Stałem na zawałonym gruzami dziedzińcu jakiegoś starego kościoła, o czym świadczyły resztki wieży i leżący w pobliżu wielki, kuty z żelaza krzyż, przeżarty rdzą. Niskie, poszarpane ruiny ścian rzucały dzikie cienie na strzaskane, kamienne płyty i wyrastające spomiędzy nich suche osty oraz pojedyncze witki twarolistnych krzewów. Cisza aż dzwoniła w uszach. W pewnym momencie mimo woli spojrzałem w górę, wydało mi się bowiem, że z nie istniejącej dzwonnicy dobiega srebrny, przeciągły brzęk, jakby -duch kościelnego ujął właśnie sznury sygnaturki. Za chwilę wprawnym ruchem rozkołysze metalowe serce, by uroczy"-

stym, rytmicznym dźwiękiem zjednoczyć myśli rozproszonych wiernych i odnaleźć drogę do ich żywych serc.

— Przepraszam, że musiał pan na mnie czekać — zaszemrał tuż obok mnie głos tak cichy, że ledwie słyszalny, który mimo to zadudnił mi w uszach jak grzmot. Bezwiednie odskoczyłem krok do

tyłu i przywarłem plecami do ściany.

— Co pan robi? — Blane rozejrzał się błyskawicznie. — Czy...

— Nie wygląda pan na kościelnego — przerwałem. — Raczej już na ducha ojca Hamleta — obrzuciłem spojrzeniem jego powłóczytą pelerynę. — Tylko że tamten był grubszy. Musiał być grubszy, piastując godność króla — odetchnąłem głęboko. — Do licha, ale mnie pan przestraszył...

— Ja... bardzo mi przykro — przyglądał mi się nieufnie, jakby podejrzewając, że i ja jestem podstawiony, jak przedtem mój włas-^ ny robot. Po chwili jednak uspokoił się. — Musiałem odprowadzić swój pojazd. Nie wjechałobyśmy nim przez awaryjne wejście. Czy pan coś może zauważył?... Lub usłyszał?

— Owszem. Widziałem gromadkę Meksykanów, z których każdy miał na sobie świąteczne poncho utkane z pięknie barwionej wełny i każdy trzymał dłonie złożone do modlitwy. To oni, przybyli tutaj za chlebem, zbudowali przed wiekami ten kościółek. Nie przeczuwali, że Bóg, który odmieni życie na Ziemi, zjawi się dopiero wtedy, kiedy ich kości dawno już zbutwieją w pyłe pustyni i że będzie miał za towarzysza, a nawet opiekuna, przybysza z innej planety, odgadującego boskie myśli z taką łatwością, z jaką oni odgadywali z chmur nadejście jakże rzadkich tutaj deszczów. Ale to

pana nie interesuje, prawda? ^

— No... widzi pan... nie, dlaczego... — wybąkał. Był tak wyraźnie strapiony, że musiałem się uśmiechnąć.

— Nie jest pan bezbłędny — powiedziałem. — Nie ma pan pojęcia, jak mnie to cieszy... chociaż pewnie nie powinno, bo każdy przejaw waszej słabości ujmuje mi nieco szans. Ale mimo to tak jestem zadowolony, widząc u kogoś z was przejaw zakłopotania, że byłbym gotów pana uściskać... gdybym wiedział, co znajdę pod tą peleryną. Człowiek nie lubi, kiedy mu ktoś przerywa marzenia,

więc musiałem się zemścić... Przepraszam.

— Jak na astronautę jest pan jednak dość wrażliwy — zauważył.

Roześmiałem się.

— No, tak. Teraz jesteśmy kwita. Ale zrobiło się późno — spowaźniałem. — Nocujemy tutaj?

Podszedł do najbliższego zachowanego fragmentu ściany i pochylił się. Z odsłoniętego nagle prostokątnego otworu padła na ruiny smuga łagodnego światła.

— Proszę — wskazał mi drogę.

— Dużo macie tych awaryjnych przejść — musiałem zgiąć się jak scyzoryk, bo ukryte drzwi były bardzo niskie, a zaraz za nimi korytarz zbiegał stromo w dół. Mój głos zadudnił piwnicznym echem.

— Wykorzystujemy tylko te, które zastaliśmy, przybywając tutaj — odpowiedział, zamykając za sobą zamaskowany otwór. — Kiedy budowano ten ośrodek, aby prowadził prace dla armii, wszystkie ukryte wejścia wraz z siecią korytarzy służyły nie tylko konspiracji, chociaż o niej, rzecz jasna, także nie zapomniano, lecz przede wszystkim miały zapewnić możliwość szybkiej i bezpiecznej ewakuacji na wypadek katastrofy czy eksplozji. Dla przykładu, miejsce, w którym się znajdujemy, jest oddalone od głównych pracowni w górach o przeszło osiemdziesiąt kilometrów.

— Alea iacta est... — mruknąłem.

— Proszę?

— Nic, nic. Tak powiedział kiedyś pewien Rzymianin, przystępując do mordowania innych Rzymian. Na szczęście kości, które tutaj fabrykowano, nigdy nie zostały rzucone. W ogóle nie wiem, dlaczego przyszło mi na myśl akurat to powiedzonko. Znalazłoby się mnóstwo znacznie bardziej stosownych...

Korytarz przestał się obniżać. Po chwili weszliśmy do przestronnej komory, której dnem biegły znajome, wklęsłe tory. Kilka sekund później zaszumiło i przed nami zmaterializował się czółno-waty pojazd. Na przednim fotelu siedział Stanza.

— Popełniłem poważny błąd, pozwalając panu udać się do domu — powitał nas zmartwionym głosem. — Wprawdzie u nas nic panu nie grozi, ale teraz ściągają tutaj patrole z całej Galaktyki. Przez najbliższą dobę nic się nie zdarzy, bo ośrodek jest szczelnie ekranizowany, boję się Jednak podróży na orbitę Plutona. W układach planetarnych mamy bardzo ograniczone pole manewru... musimy pokonywać odległości, zachowując ciągłość lokalnej przestrzeni i nie możemy korzystać ze statków o napędach, jakie stosuje się" przy lotach dalekiego czasu. Istnieje poważne niebezpieczeństwo, że zostaniemy odkryci. Wówczas...

— Mamy około czterdziestu godzin — powiedział cedząc słowa Blane. Nie patrzył na żadnego z nas i wyglądał na pochłoniętego jakąś myślą, która właśnie przyszła mu do głowy. — Gdyby... — "urwał. — Niczego nie mogę obiecać — podjął po dłuższej pauzie — ale od razu przystąpię do pracy, W najgorszym wypadku zdążę się upewnić, że nie mam racji... jeśli jednak udałoby mi się zastosować... — znowu nie skończył. — Zmiany konstrukcyjne byłyby

niezbyt wielkie, tylko programy...

— O czym mówisz? — spytał cicho Stanza.

— O doraźnym przemieszczeniu wycinka sfery czasu — odpowiedział nadal niezbyt przytomnym tonem Blane. — O pewnego rodzaju pożyczce... która, w razie gdyby pan Hagert wystartował jutro o ściśle określonej godzinie, rokowałaby pewne szansę powodzenia.

Coś zaczęło mi świtać.

— Chcecie zaciągnąć kredyt w świecie, a raczej wszechświecie, jaki istnieje p o moim udanym locie?

— Sądzę — rzekł powoli i dobitnie Stanza, patrząc nie na mnie, tylko prosto w oczy Blana

— sądząc, że to właściwe określenie...

Ziewnąłem. Zamysł był niewątpliwie więcej niż frapujący, ale ja, po ostatnich trzech dniach, czułem się już uodporniony na wszelkie możliwe rewelacje.

Trafiłem do tej samej wielkiej hali, w której obejrzałem pierwszy, wstępny seans przygotowanego dla mnie szkolenia. Dziś także panował tutaj mrok. Tylko słabnące z odległością pastelowe płomyki czujników na pulpitych świadczyły o tym, że prace techniczno-konstrukcyjne trwają. Za to „kącik mieszkalny”, zamknięty w kręgu pogodnego, mlecznego światła padającego od stojącej obok tapczanu lampy, wydawał się tym bardziej zaciszny i sielski. Teraz oprócz biurka, fotela i krzesła znalazło się tu także miejsce dla barowego stoliczka, zastawionego barwnymi butelkami. Tapczan był zastany świeżą pościelą, a na poduszce leżała biała piżama, jakby Przeniesiona tutaj z mojej letniskowej sypialni. Z mroku wyłonił się robot i postawił na biurku tacę z kolacją.

— Rozpieszczacie mnie — powiedziałem. — Wprawdzie jako skazańcowi przysługuje mi prawo do ostatniego życzenia, ale zachowam je na jutro. Pośpieszyliście się. Poza tym Blane nakarmił mnie już jak matka dziecko. Jeśli tak dalej pójdzie — ciągnąłem, siadając przy biurku — będziecie musieli przekonstruować kabinę mojego szklanego pocisku, a także skafander, ponieważ nie zmieszczę się ani w jednym, ani w drugim.

— Łazienka jest w niszy, o tutaj — Stanza wskazał mi niewielkie drzwi, dyskretnie ukryte w ścianie. — Czy na pewno nic już panu nie trzeba?

— Nie. Słyszysz pan przecież, że mówię dużo i od rzeczy. Zawsze tak się ze mną dzieje, kiedy jestem śpiący. Rozprężenie, wie pan.

— Dobranoc.

— Dobranoc.

— Świat musi upaść, a to z winy nauki — powiedział grobowym głosem Amosjan. Nagle zaśmiał się szyderczo. — Jesteśmy irracjonalnym produktem skutków ubocznych! Gigantyczne śmietnisko, w którym grzebią szarlatani i młodzi asystenci, szukając kęsów strawy materialnej i duchowej w odpadkach powstałych dostatecznie dawno, by mogły budzić zaciekawienie i nadzieję na odkrycie jakiegoś przeoczenia starych nauczycieli! Znam się na tym! Jestem historykiem nauki. Robi ona wszystko, wszystko, rozumiesz?! — tylko bez myśli o tym, co powinna robić! Jest bezrozumna! Wypsnęła się nam jak mydło z dłoni jeszcze w dwudziestym wieku! Nie ma priorytetów, etyki ani celu! I ty, ty, nie donoszony płód cywilizacji ukształtowanej przez taką naukę, chcesz całemu istnieniu narzucić swoją pozlepianą z resztek osobowość?! Ty, „Ga-laktydo”?! Ha, ha, ha!

— Przecież sam mnie pan zachęcał... — broniłem się słabo.

— Bo chciałem sprawdzić, czy istnieje granica ludzkiej ignorancji, nieodpowiedzialności i pychy! Ale nie ma jej! I pomyśleć, że ja, ja sam, mogę stać się jutro czy pojutrze, kiedy spełnisz swój akt tworzenia, podobny do ciebie! „Tworzenia”! Koń by się uśmieł! Ha, ha, ha!...

Chciałem zaprzeczyć, powiedzieć, że pycha jest ostatnią wadą, o jaką mnie akurat można by posądzić, ale nagle odkryłem, że jestem niemy. Nie mogłem wykonać najmniejszego gestu głową, ręką, nie-mogłem poruszać wargami. Chwilę później z charakterystycznej gry załamanych promieni światła docierającego do moich oczu odgadłem, że tkwię wewnątrz kryształowego prostopadłościanu, jak pomnik obłany szkłem. A zaraz potem ujrzałem, że Amosjana otacza i więzi dokładnie taki sam blok

przezroczystej masy. Jego srebrnobiałe włosy lśniły jak obraz ułożony z miniaturowych pryzmacików.

Raptem pomiędzy nami ukazał się Stanza. Szedł spowity w mrok, który jakby wypływał z niego samego, wysoki wyprostowany, z dumnie uniesioną głową. W ciemności, powiększającej jego sylwetkę, dostrzegłem maleńkie, złote punkciki gwiazd.

— Góro, do nogi — powiedział Stanza. Teraz dopiero zauważyłem, że z jego prawej dłoni wybiega długa smycz, u końca której na dwóch małych nóżkach biegł księżyc w kształcie rożka, taki, jaki rysują dzieci.

Nigdzie nie polecę! — chciałem zawołać, ale nadal nie mogłem dobyć głosu. Jednak Stanza umiał przecież przechwytywać myśli.

— Już czas! — rzucił surowo. , Napiąłem mięśnie do bólu, zęby rozkruszyć moją szklaną klatkę. Na próżno. Stanza zaśmiał się cicho, po czym powtórzył: — Już czas.

— Już czas, panie Hagert — patrzyłem szeroko otwartymi oczami w pozbawioną wyrazu twarz Stanzy, pochylonego nad moim tapczanem. — Minęła dziesiąta. Wprawdzie program przewidziany na dzisiaj jest krótki, ale sądzę, że będzie pan chciał odbyć trening, jaki zawsze przechodzą wasi astronauta bezpośrednio przed startem.

Odruchowo powędrowałem wzrokiem ku jego dłoni, a potem na podłogę, szukając księżycy, imieniem Góro. Nie było go, oczywiście. Odetchnąłem głęboko, zamknąłem oczy i mocno potarłem powieki Palcami. Następnie ponownie spojrzałem na istotę, która wyszła z mojego snu.

— Mówi pan, dziesiąta? — mruknąłem.

— Tak, proszę pana — gdyby nie odrobinę zbyt miękkie brzmie^{nie} głosu, mógłbym pomyśleć, że przemówił do mnie grzeczny, do-0»owy robot.

Wstałem, zrzuciłem piżamę i nago poszedłem do łazienki. Stanza odwrócił głowę, jakby szczegóły ludzkiej anatomii były czymś, z czym pomimo usilnych starań i najlepszej woli absolutnie nie

mógł się oswoić.

Kiedy wróciłem, na biurku czekało już śniadanie. Zjadłem je w asyście milczącego emigranta z gwiazd, po czym pozwoliłem zaprowadzić się do owej sali, a raczej studni, gdzie umieszczono makiety statków.

— Czy wy mewacie sny? — spytałem, zagłębiając się w świetlistej masie, w której miałem odnaleźć niewidoczną kabinę.

— Sny? Wiem, o czym pan mówi. Nie, nie mewamy snów.

— Szkoda. Może bylibyście nieco mniej pewni siebie — przybrałem pozycję pilota spoczywającego w zwykłym fotelu i ułożyłem się wygodnie. Pulpit przede mną był czarny. Wielki ekran zniknął.

— Dzisiaj przećwiczymy ręczne sterowanie podczas startu i lądowania — zawyrokował Stanza. — Na wszelki wypadek...

\

Po kilkunastu krótkich pozorowanych lotach, przerwanych w momencie, gdy zacząłem wykonywać wymienione przez Stanzę manewry z taką samą łatwością, z jaką wczoraj przyśpieszałem lub opóźniałem bieg czasu wokół pojazdu, przyszła kolej na awaryjne zdemowanie zapisu osobowości. Najpierw musiałem się wraz z fotelem obrócić do tyłu. Wtedy ujrzałem wtopione w kryształ zarisy pudełkowatych pojemników, trochę podobnych do tych, w jakich przechowuje się szczególnie niebezpieczne bakterie.

— Gdyby pan przeprowadzał tę operację po wylądowaniu na jakiejś stacji pośredniej, do czego zmusiłaby pana na przykład konieczność wyskalowania uszkodzonych automatów nawigacyjnych, choć nic takiego nie powinno się zdarzyć, wówczas mógłby pan zasobniki wraz z aparaturą stymulującą wyjąć na zewnątrz — powiedział Stanza. — W takim wypadku powinien pan najpierw wypchnąć ze statku jeden kompletny zestaw zapisujący, a dopiero potem wysiąść samemu. Z powrotem, rzecz jasna, należałoby odwrócić kolejność. Aparatura

natychmiast odnajdzie właściwe miejsce, gdy użyje pan podręcznego kondensatora energii wiązań. I wystarczy, jeśli pan poprzestanie na jednym zabiegu, bo chociaż w statku jest więcej zasobników, to pozostałe, po umieszczeniu w ich sąsiedztwie nowego, właściwego zapisu, zaktualizują się automatycznie.

— Co mam zrobić?

— Proszę wejść pomiędzy projektory a matryce i pozostać tam przez piętnaście sekund. Głową naprzód... niech się pan położy i oprze brodę na tej wklęsłej ramie, którą ma pan przed oczyma... o tak.

— Nic dobrego z tego nie wyniknie — wystękałem. — Wątpię, aby świat mógł stać się choć odrobinę lepszy, jeśli zostanie przepojony moimi myślami... jakie przychodzą mi do głowy w tej chwili i w tej pozycji... Ale niech już będzie. To co, mam marzyć, że wszyscy są piękni i dobrzy? Czy też rozmyślać o najwyższym powołaniu cywilizacji... wszystkich, jakie tylko istnieją?

— Nie. To, co pan myśli w czasie zdejmowania zapisu, nie ma istotnego znaczenia. Nie chodzi przecież o pańską obecną, już ukształtowaną psychikę, ale o wzory natury ogólnej. O możliwości tkwiące w układach, stanowiących treść pana osobowości. Właśnie te układy i tylko one składają się na podstawową masę informacyjną, jaką otrzyma wszechświat w przełomowych stadiach swej ewolucji.

— Jestem najzupełniej pewien — mruknąłem jeszcze — że Pan Bóg nie stwarzał świata, leżąc na brzuchu. Może dlatego jest taki, że teraz trzeba go poprawiać...

Rozdział VII

Minęła piąta po południu. Zacząłem się nudzić. Znałem dobrze to uczucie. Tak objawiał się u mnie niepokój. Jedni chodzą nerwowo z kąta w kąt, drudzy gryzą jakieś ziarenka, jeszcze inni oddają się z nagłym, płomiennym zapałem zajęciom, które odkładali od lat, a ja się nudziłem.

Spokój przyszedł dopiero pod wieczór, wraz ze Stanza, Blanem i jeszcze jednym osobnikiem podobnym do nich jak ostatni z trojaczków. Głowa tego ostatniego tkwiła w obcistej, wełnianej czapeczce. Rondelek z daszkiem — Stanza, rozdeptana furażerka ~ Blane i rozciągnięta skarpetka — nowy, noszący, w każdym razie tutaj, nazwisko Alden. Nik Alden. Chyba tylko dla mnie wymyślili taką różnorodność nakryć głowy, bo sami musieli się przecież rozpoznawać po jakichś innych szczegółach.

Jadąc w stronę wyjścia, wpatrzyłem się w świetlistą smugę korytarza.

— Do widzenia, „ośrodku” — powiedziałem w pewnej chwili. — Nie zobaczymy się już nigdy. Albo na zawsze zostanę wśród gwiazd, albo też powróciwszy w te okolice przekonam «ię, że są tu tylko uczciwe góry, bez krecich śladów niesławnej ziemskiej przeszłości. Bo ta przeszłość była inna.

— Tego nie możemy być zupełnie pewni — rzekł poważnie Stanza.

— Jeśli tak, to niczego nie możemy być pewni — odparłem. — Ja bowiem nigdy nie zaczynałbym wojen i nie wymyślał wielo-warstwowych bomb bionicznych. Nie robiłbym także wielu innych rzeczy.

— Dlatego to właśnie pan leci dzisiaj realizować nasz plan — wtrącił Blane. — Ale przecież jest pan człowiekiem.

— To prawda — przyznałem z zastanowieniem. — Prawda. Chociaż w waszym towarzystwie nawet tego nie jestem w stu procentach pewny...

— Żadna żywa istota nie rozumie, że jest szczęśliwa, dopóki nie przekona się, jak bardzo może jej być źle — powiedział sentencjonalnie i trochę ni w pięć, ni w dziewięć ten nowy, Alden.

— Uderzająco podobną myślą, choć wyrażoną nieco bardziej a propos, podzielił się ze mną wczoraj stary konserwator numer dwa, w odróżnieniu od numeru pierwszego, zadowolony ze swego losu. Jednak wydawać by się mogło, że o czym, jak o czym, ale o szczęściu nie powinniście wiedzieć zbyt wiele. A jeśli przypadkiem wiecie, to nie powinniście się do tego przyznawać... przynajmniej przede mną. Przecież opuściliście swój świat, a teraz mnie wysyłacie tam, gdzie jeszcze i już zarazem nie ma żadnego świata tylko dlatego, że wasza cywilizacja jest szalenie nieszczęśliwa.

Na tym rozmowa utknęła, ponieważ zatrzymaliśmy się w znanej mi już z poprzednich pobytów komorze, której jedna ze ścian ukrywała drzwi prowadzące na zewnątrz.

Wysiedliśmy.

— Czy pan umie nie myśleć? — zwrócił się do mnie Stanza.

— Gdybym był rzeczywiście taki skromny, za jakiego pan mnie uważa, to odpowiedziałbym, że jest to jedyne, co umiem — uśmiechnąłem się, chociaż nie było mi wcale wesoło, zrozumiałem bowiem, co kryje się za tym dziwnie brzmiącym pytaniem. — Mówiąc serio, spróbuję. Astronauci przechodzą pewien trening... psychiczny. Jednak panowanie nad funkcjonowaniem własnych ośrodków mózgowych jest jedną z najtrudniejszych rzeczy, jakich kiedykolwiek próbowano mnie nauczyć.

— Tak, oczywiście. W każdym razie dobrze, że pan o tym wie. Proszę dołożyć wszelkich starań, żeby pańskie myśli były... nijakie.

— Z tego wynika, że rozmawiać też nie wolno?

— Raczej nie.

Ukazało się słabe światło bezchmurnego, wieczornego nieba. W jasnym jeszcze granacie lśniło zaledwie kilka gwiazd.

Wyszliśmy, na powietrze. Atmosfera w podziemiu była może nawet lżejsza niż na powierzchni, ale jakaś obca. Odetchnąłem pełną piersią i rozejrzałem się.

Skalne szczyty zamykające horyzont rysowały się niezwykle wyraziście, jakby ich kontury fosforyzowały delikatnym, srebrnym blaskiem. Nad całą bezludną okolicą panowała wszechwładnie cisza.

Kilka metrów niżej, u stóp zbocza stał ów osobliwy łożysko, wyposażony w owalny pulpit i aparaturę, za pomocą której Blane przeniósł siebie i mnie w czas pustyni, gdzie nie mógł nas osiągnąć podstawiony robot ani jego mocodawcy, a potem do ośrodka, zahaczając „w drodze powrotnej” o mój domek -w chwili, gdy miałem zostać zaatakowany, może ułamek sekundy wcześniej lub później, co na szczęście nie miało znaczenia. Obok łożyska ciemniał maszynowy pojazd, na pierwszy rzut oka przypominający zwykły trioplan. W jego burcie widniał duży otwór. Po opadniętej klapie schodziły właśnie dwa zwykłe automaty, jakie spotyka się na każdym większym dworcu.

— To nie jest trioplan — powiedział cicho Stanza. — Nadaliśmy tylko statkowi taki kształt, aby nie zwracać na siebie uwagi.

A więc statek. Żegnaj, Ziemi.

Automaty wprowadziły łożysko do wnętrza dużego pojazdu i zamknęły za nim pokrywę włazu.

— Możemy wsiadać — Blane, nie oglądając się na nas, ruszył pierwszy.

Po przeciwnej stronie w burcie statku znajdował się luk osobowy. Natomiast wewnątrz nie było już nic, co przypominałoby normalny, ziemski pojazd. Cztery fotele, ustawione w dwóch rzędach, dookoła wklęsłe, nieprzytulne ściany nieokreślonej barwy. Z przodu półokrągły, panoramiczny ekran. Pod nim pulpit sterowniczy, niepodobny do żadnego z tych, z jakimi miałem dotąd do czynienia.

Dwa pierwsze fotele zajęli Stanza i Alden. Mnie wskazano miejsce z tyłu. Siedziałem sam, ponieważ Blane, mruknąwszy coś pod nosem, zniknął w wąskim przejściu, prowadzącym z kabiny pilotów do wnętrza pojazdu. Zapewne miał zamiar czuwać przy aparaturze, jaką zainstalował w swoim łożysku. Przypominałem sobie, o czym była mowa wczoraj, zanim poszedłem spać.

— Czy Blanowi udało się skonstruować to nowe urządzenie, nad którym miał pracować całą ostatnią dobę? — spytałem.

— Chyba tak — odpowiedział Stanza.

— Chyba?

— Urządzenie istnieje, ale nie zostało przecież poddane praktycznemu egzaminowi. Będziemy mogli je sprawdzić tylko w obliczu katastrofy, kiedy zajdzie autentyczna konieczność. Innymi słowy...

— ...jeśli dolecimy żywi na Plutona — podchwyciłem — i jeśli doczekamy momentu mojego prawdziwego startu, to będzie znaczyć, że urządzenie albo działa, albo nie było potrzebne. Potrafilibyście zarazić optymizmem nawet mumię Amenhotepa Czwartego, jeśli została ona odnaleziona w Tell el-Amarna, czego niestety nie wiem. Kiedy opuścimy Ziemię?

— Właśnie schodzimy z orbity — odpowiedział zwięźle Alden. Umilkłem. Statek nie tylko wyglądał inaczej, lecz także stwarzał warunki lotu najzupełniej odmienne od tych, do jakich przywykłem. Nie zorientowałem się nawet, kiedy opuściliśmy atmosferę. Czujniki i dane

przeskakujące przez ekran także nic mi nie mówiły. Na szczęście nie musiałem uczyć się prowadzenia pojazdów, którymi dotychczas miały zwyczaj podróżować istoty mieszkające tam, skąd przybył Stanza. W moim kryształowym szpikulcu poczuję się znowu pilotem.

Mijały minuty. Lot w dalszym ciągu przebiegał tak spokojnie, jakby był jeszcze jednym elementem szkolenia, proy/adzonego systemem złudzeń.

— Minus sześćdziesiąt — powiedział w pewnej chwili Alden. Sześćdziesiąt sekund. Czy to możliwe?

— Orbita Plutona? — spytałem z niedowierzaniem.

— Tak. Nie rozmawiajmy.

Dla pokonania drogi, którą my zostawiliśmy za sobą w trzy minuty, najszybszy z ziemskich statków potrzebowałby kilkudziesięciu godzin. W obrębie Układu Słonecznego nie można stosować napędów geonicznych.

Obraz na ekranie uległ nieznacznej zmianie. Na pierwszym planie ciągle toczyła się gra liczb i linii, ale poza nimi, w głębokim tle, rozblęły gwiazdy. Chwilę później pośrodku tarczy zaczęła gęstnieć brudnobrązowa plama. Pluton. I nagle, w niezauważalnym ułamku sekundy, wszystko znikło. Wnętrze kabiny wypełniła chmura, czarna jak śmierć.

— Minus dwie! Panie Lin, atak! To jest atak!!! Uwaga! Oni... — dobiegł mnie z ciemności rozpaczliwy, urwany okrzyk Stanzy.

Teraz czułem, że statek przyspiesza. Przyspiesza, choć do celu, to znaczy do miejsca postoju kryształowych pojazdów, które miały wraz ze mną ponieść szkielet nowego programu całemu światu, pozostały dwie sekundy!

— Co mam robić?! — wyciągnąłem na oślep rękę, żeby odnaleźć Stanzę, ale Stanzy nie było. Nie było także jego fotela. Zacząłem gorączkowo macać wokół siebie, jednak wszędzie trafiałem na pustkę.

*•

— Halo! — zawołałem jeszcze raz, już ciszej. — Co mam robić? Cisza. Cisza i czerń, tak głucha, tak nieprzenikniona, że nie tylko słuch i wzrok wydają się nierzeczywistym wspomnieniem. Nieobecne jest także całe moje ciało z jego wszystkimi zmysłami oraz środowiskiem niezbędnym, aby mogło istnieć i żyć. Znowu mijają sekundy, lecz teraz każda z nich oznacza wieczność. Jeśli nie jest nią naprawdę. Czy istnieje jeszcze jakikolwiek statek wokół mnie? Czy też w tej chmurze, ciężkiej jak zaprawiony sadzą miód, pędzę samotnie przez próżnię, poza granicami czasu i przestrzeni?

Przez moment wydawało mi się, że zwalniam. Było to przelotne wrażenie, które natychmiast ustąpiło. Znowu nie działa się nic. Uniosłem dłoń i podsunąłem sobie 'pj"zed same oczy zegarek, ale nie dostrzegłem bodaj zarysów okrągłej, świecącej tarczy.

— Wysiadać — zabrzmiał czyjś spokojny głos. Jego brzmienie nie było mi obce. Tak mówili Stanza, Blane i Alden.

Wstałem. Zamiast miękkiej wykładziny podłogi poczułem pod nogami twardą płytę, gładką i śliską jak lód. Nie czułem jednak chłodu, który powinien bić od niej ku górze. Nie czułem na skórze ani temperatury, ani śladu najmniejszego ruchu w atmosferze. Gdyby nie drapiąca, bolesna suchość w gardle, nie wiedziałbym, że oddycham.

— Iść.

Były to rozkazy rzucane obojętnym, rzekłbym nawet: uprzejmym tonem. Ich lakoniczność świadczyła raczej o kłopotach językowych mówiącego aniżeli o jego opryskliwości.

Zrobiłem kilka kroków, ostrożnie stawiając stopy. Szedłem pochylony, czujny i dzięki temu zdołałem utrzymać równowagę, chociaż dwa razy poślizgnąłem się jak łyżwiarz podczas pierwszej lekcji. Naraz ujrzałem przed sobą zamglone kontury wysokiej bryły. Posunąłem się jeszcze o jeden krok i nagle chmura ustąpiła.

Na wprost mnie, w odległości może pięćdziesięciu metrów, widniał wielki, pękaty walec, zakończony "u góry niezgrabną, przyplaszczoną wieżyczką. Walec, a raczej, jeśli zważyć jego wysokość, pionowa rura była osadzona na sztorc pośrodku placyku o twardej i gładkiej nawierzchni. Placyk otoczono płotem, sporządzonym z jednej szerokiej wstęgi elastycznego tworzywa o barwie malinowej. Cały ogrodzony teren zalewało światło, padające nie wiadomo skąd, bo nigdzie nie dostrzegłem

ani jednego reflektora, a nawet zwykłej lampy. W dodatku niebo nad walcem i placykiem było czarne, pełne dalekich gwiazd.

— Bliżej.

Na tle podstawy pionowej konstrukcji stały trzy twory, które w pierwszej chwili wziąłem za automaty. Może zresztą były nimi napiowdę, chociaż kiedy przyjrzałem im się lepiej, a zwłaszcza kiedy zaczęły się poruszać, zauważyłem w nich pewną nieokreśloną miękkość, charakterystyczną dla istot, zbudowanych z ciała i kości. Z tym że w ich przypadku ciała było bardzo niewiele, natomiast kości, jeśli już trzymać się terminów zaczerpniętych z ziemskiej anatomii, tworzyły przedziwne szkielety, przypominające cienkie, splątane liny, zwisające ze złamanych masztów. Przyszło mi na myśl, że jeśli Stanza i jego towarzysze właśnie tak wyglądali w rzeczywistości, to trudno się dziwić ich pelerynom, golfom i czapeczkom, bez których nie pokazywali się ziemskim tłuściochom. Była to jednak przelotna myśl, bp sytuacja raczej nie sprzyjała zgadywaniu, co też mogło spotkać moich niedawnych współpasażerów. A nie potrafiłem jakoś zastanawiać się, jak wyglądali, nie współczując im równocześnie. W najlepszym razie czekał ich los nieco tylko gorszy od mojego.

— Bliżej.

Głos płynął z miejsca, gdzie znajdowały się trzy ażurowe stwory, ale brzmiał tak, jakby mówił ktoś stojący tuż przede mną. Zrobiłem jeszcze dwa kroki i stanąłem znowu. Nie śpieszyło mi się.

, — Wejść. Trzeba.

--W podstawie walca widniał wąski, czarny otwór. Właz. A więc zapraszają mnie do statku. Wnosząc z krajobrazu, jeśli można tak nazwać ogrodzone i oświetlone pole w morzu czerni, odbyłem już dostatecznie daleką drogę od momentu, kiedy pojazd Stanzy przestał nagle istnieć i zamienił się w posępną chmurę. Ale teraz mam wyruszyć dalej. Zapewne bardzo daleko, skoro nie wystarczała owa chmura, lecz potrzebny był specjalny statek.

Właz znajdował się dokładnie na przedłużeniu linii, biegnącej ode mnie ku trójce kosmicznych Don Kichotów. Żeby posłuchać ich ostatniego wezwania musiałbym iść prosto przed siebie, a doszedłszy albo czekać, żeby mnie przepuścili, albo precyzyjnie się pomiędzy nimi. Na to ostatnie zupełnie nie miałem ochoty. Ruszyłem jednak, tyle że bardzo powoli.

Podłoże stawało się stopniowo mniej śliskie lub, też ja przyzwyczałem się już do jego znikomej przyczepności. W każdym razie szedłem coraz pewniej. Co nie znaczy, że coraz pewniej się czułem.

Dzieliło mnie od nich nie więcej niż piętnaście metrów, kiedy raptownie straciłem ich z oczu. Ich samych, ich walcowaty statek, pole, na którym stał, i otaczający go malinowy płótek. Powróciła najczystsza, martwa czern. Pośliznąłem się i upadłem. To znaczy byłbym upadł, gdyby moje ciało, zgodnie z prawem grawitacji, które tu dotychczas obowiązywało, osunęło się w dół i znalazło tam tę lodową podłogę lub jakiegokolwiek inne oparcie. Nagle przeniosłem się jednak w stan nieważkości, jak na ćwiczebnych bazach orbitalnych. Wraz z chmurą pojawił się tym razem jak gdyby naładowany elektrycznością wiatr, który przeniknął mnie na wskroś, zamroził mi umysł i sparaliżował moje mięśnie. Nie było to uczucie obezwładnienia, raczej zmęczenia, a jeszcze lepiej bezgranicznego rozleniwienia.

Czarny obłok zaczął teraz gnać wokół mnie, a może razem ze mną, z szaloną szybkością. Przez zmrużone powieki widziałem przelatujące smugi, podobne chwilami do wyrwanych z korzeniami i niesionych huraganem wielkich drzew.

Nagle nastąpiła cisza. Wicher ustał, zrobiło się jasno. Przez chwilę czułem jeszcze mrowienie w szczękach i skroniach, kurczowo łapałem powietrze, ale od razu oprzytomniałem usłyszawszy obok siebie głos, który zawołał:

— Prędko! Zero!

Te ich głosy różniły się jednak czymś, co dla niewprawnego ucha z pewnością pozostawało nieuchwytnie. Lecz ja zbyt długo przestawałem już ze Stanza, żeby się pomylić, .y.

Stał tuż za mną, na platformie, chyba zawieszony w przestrzeni, ponieważ spoza kręgu światła patrzyły na mnie gwiazdy. W tym momencie zorientowałem się, że mam na sobie najprawdziwszy próżniowy skafander z aparaturą tlenową, czujnikami wewnątrz ku listego, przezroczystego kasku i że dotykam wargami miękkiej końcówki przewodu aprowizacyjnego.

— Nie ma sekundy do stracenia — usłyszałem w słuchawkach, przylegających do moich skroni. Tym razem jednak głos należał do Aldena, który stał nieco dalej niż Stanza i wskazywał dłonią trzy dobrze mi znane wielkie, kryształowe sopte, nawet tutaj pełne swojego czystego, nierzeczywistego blasku. Wisały swobodnie, pozbawione pozornie ciężaru, dotykając bokami brzegu latającej terasy niby poziomej tarczowej piły, która miała je przepołowić.

— Mam wsiąść? — spytałem, ruszając w ich stronę. — Przed chwilą także nakłaniano mnie do podróży. Mało brakowało, a byłibycie mnie nie zastali. Więc jednak Blanowi udało się wypróbować swoją aparaturę — mimo woli pokręciłem głową z niedowierzaniem. — Jak to właściwie jest? Już wróciłem?

— Najpierw musisz wystartować, Lin — odpowiedział Stanza. — Wybacz, że mówię ci po imieniu, ale sądzę, że naprawdę zostalibyśmy przyjaciółmi, gdybyśmy mogli się spotkać... potem.

— A nuż się spotkamy? — stałem już obok środkowego statku, szukając na rękawie skafandra owego aparaciku, który pozwoliłby mi wniknąć do środka pojazdu. Był na swoim miejscu. Dotknąłem czubkiem palca małego guziczka, ale jeszcze go nie wciskałem.

— Wiesz przecież, że nie. Jednak jeśli nie wystartujesz w ciągu najbliższych piętnastu sekund, to wrócisz tam, skąd teraz przybywasz. Urządzenie Blana może rozwijać pełną moc nie dłużej niż przez trzydzieści sekund. Połowa tego czasu już minęła.

— Słowem, udało wam się, a przy was i mnie „pożyczyć” od przyszłego świata zaledwie trzydzieści sekund, — powiedziałem, wdu-szając przycisk. Równocześnie stanąłem na krawędzi platformy, odwróciłem się i natarłem plecami na masę statku, która posłusznie wpuściła mnie, wybuchając radosnym światłem, jakby ucieszona, że tak bezbłędnie umiała przechować pamięć kształtów mojego ciała. Właśnie to światło, takie przynajmniej odniosłem wrażenie, opięło mnie niewidoczną błoną i wraz z nią zaniósło na fotel pilota. Roz-siadłem się wygodnie, zlustrowałem czujniki, które ujrzałem przed sobą na wysokości oczu, i sprawdziłem klawiaturę pulpitu sterowniczego. — Przez najbliższe dziesięć sekund jesteśmy jeszcze bezpieczni — mówiłem dalej, obserwując ekran — ponieważ istniejemy w przyszłym, dobrym świecie, przyjaznym wszystkiemu, co żyje. —

Już pewnie tylko pięć sekund — u góry panoramicznej tarczy zapalił się napis: „start”. — Żegnajcie. I dziękuję wam... mimo wszystko.

Odpowiedzi nie było, bądź też już do mnie nie dotarła. Chciałem jeszcze spytać, co zamierzają robić w przedziale czasowym po ustaniu pracy zdumiewającego urządzenia Elana, a przed osiągnięciem przeze mnie celu lotu, czyli zanim ten świat na zawsze stanie się taki, jaki był przez ostatnie pół minuty, ale cokolwiek bym usłyszał, mogło służyć najwyżej zaspokojeniu mojej pustej ciekawości. I tak nie byłem w stanie wpłynąć na zmianę ich losn. Mogłem się co najwyżej pocieszać, że jeśli moja podróż potrwa istotnie tak krótko, jak mnie zapewniano, to ich współcześni krajanie po prostu nie zdążą obejść się z nimi zbyt okrutnie.

Zerknąłem na ekran. Był tu rzecz jasna tylko jeden, mniejszy. Ten drugi, na którym[^] obserwowałem odwrócony film, ilustrujący wzrost wszechświata, a następnie dzieje życia, służył wszak jedynie celom dydaktycznym. Miał mnie przekonać, że naprawdę lecę w głąb czasoprzestrzeni, a więc że przynajmniej pod tym względem zamiar Stanzy i. jego grupy jest najzupełniej realny. Winien mi był także unaocznic całą nieszczęsną przypadkowość ewolucji natury, szukającej sobie dróg na oślep i bez planu, oraz tak samo bezładną historię nie zaprogramowanych cywilizacji. Teraz, mając świeżo w pamięci seanse szkoleniowe, mogłem sobie wyobrazić;

jak wygląda świat, przez który właśnie lecę.

Zamiast słowa „start” u góry tarczy widniała liczba: czternaście miliardów. Zdażyłem przebyć prawie pięć. Pięć miliardów lat. Pomyśleć, że automaty tego pojazdu, mknącego ku prapoczątkom czasu, są wyskalowane w tych samych jego jednostkach, jakimi operują stare, nie ufające robotom gospodynie podczas'pieczenia ma-zurków lub przyrządzania ja jęk na miękko. W sekundach[^]minutach.

Trzyście miliardów lat do celu. Dwanaście. Jedenaście. Dzie...

Przez ekran przebiegła plama, jakby przed receptorami czujników pojawiła się mała chmurka.

Jedenaście. Dwanaście. Trzydzieści.

— Co się stało? — spytałem nieswoim głosem, przypomniał sobie, że statek wyposażony jest w „centralny węzeł informacyjny”, umiemy mówić.

Cisza. Piętnaście miliardów. Szesnaście. Jeszcze trochę, a znajdę się z powrotem w punkcie startu. Znowu nie wiedziałem, kiedy pojazd zawrócił. A już zupełnie, dlaczego.

— Jak to, dlaczego — powiedziałem półgłosem. — Skończył się nowy, dobry świat. Skończył się czas ochronny. Zrozumieli, co zaszło i przedsięwzięli, co należy, żeby udaremnić moją piękną wycieczkę podjętą w jakże szlachetnym celu, którego jednak oni stanowczo nie doceniają. Na razie zaprosili mnie do siebie z powrotem. Muszą mieć urządzenia wynalezione już po emigracji Stanzji i dlatego nie znane ani jemu, ani Błanowi. One to pozwoliły im nie tylko nawiązać kontakt z moimi pokładowymi automatami, lecz także zmusić je do posłuszeństwa. Stanza, nie Stanza, to w końcu są automaty zbudowane na podstawie ich informatyki, i c h technologii i działające zgodnie z prawami i c h fizyki.

Osiemnaście miliardów. Został jeden. Przestałem myśleć o nieuchronności mojego losu. Przestałem myśleć o czymkolwiek. I właśnie w tym stanie ducha, tak niebezpiecznie zbliżonym do rezygnacji, doznałem nagłego olśnienia. Moja apatia ulotniła się jak sen, przerwany gwizdem sygnału alarmowego.

— Blokada! — wrzasnąłem — Przechodzę na ręczne sterowanie! — jednym ruchem przerwałem sprzężenie automatów nawigacyjnych z blokami pamięciowymi. Ekran szerniał i zgasł. Zniknęły także światełka czujników. Ale kiedy położyłem dłonie na pulpicie sterowniczym i przystąpiłem do manewru hamowania, przekonałem się, że statek reaguje normalnie. Że moje polecenia, wydawane z kabiny, są silniejsze od zdalnych impulsów przekazywanych... skąd? Z tego ogrodzonego poletka, na którym spoczywał walcowaty pojazd? Mniejsza z tym. Odzyskałem więc władzę nad statkiem. Pięknie; I co dalej? To pytanie, z pewnością wymagające natychmiastowej odpowiedzi, było jednak zarazem zgoła retoryczne. Nie miałem wyboru. Musiałem gdzieś wylądować i odczekać spokojnie jakiś czas, przed podjęciem próby powrotu na właściwy kurs. Pobratymcy Stanzji ani chybi nie pokazali jeszcze wszystkiego, na co ich stać. Lądowanie niczego wprawdzie nie gwarantowało, ale jeśli otaczające mnie pokładowe automaty będą milczeć dostatecznie długo, może moi prześladowcy zgubią ślad? Niemożliwe, żeby potrafili nieustannie patrolować cały wszechświat, wszędzie i zawsze. Może potem uda mi się przemknąć niepostrzeżenie?

Łatwo jednak powiedzieć: wylądować. Sterując ręcznie, mógłbym szukać już nie Ziemi; bo ona i tak nie wchodziła w rachubę, już nie jakiegokolwiek żywej planety, lecz pierwszego lepszego układu gwiazdowego setki, ba, tysiące lat. Poprzez przezroczystą masę statku widziałem czystą czerń nieba i gwiazdy, nieruchome teraz, jako że leciałem bardzo powoli. Niemniej z każdą chwilą zbliżałem się do mojej dotychczasowej teraźniejszości, a więc i do penetrujących ją istot, które wbrew ich woli postanowił uszczęśliwić Stanza, A gdyby tak polecieć dalej... a raczej później?

Nie. Może i zobaczyłbym własny świat za, powiedzmy, milion czy miliard lat, ale byłby to obraz nieprawdziwy. Ten świat będzie przecież ^wyglądał inaczej, ponieważ go zmienię. A muszę go zmienić... jeśli mam żyć. Zresztą, nie wolno mi zbliżyć się do współczesności. Nawet gdybym zaledwie przemknął przez nią, jak meteor, zwiększyłbym ogromnie ryzyko, co byłoby karygodną głupotą.

Nie powinienem zatem szukać chwilowego azylu zbyt blisko obecnego położenia i czasu Ziemi. Nie mogę także stanąć za daleko, to znaczy za wcześnie, bo nie znalazłbym jeszcze potrzebnej mi atmosfery. Czy miliard lat temu powietrze, na przykład na naszej planecie, nadawało się już do oddychania? Nie byłem tego pewny. Jedyne wyjście to odnaleźć układ słoneczny możliwie najbardziej podobny do naszego, a w nim glob, krążący wewnątrz ekosfery, który od obecnego momentu w procesie ewolucji dzieliłoby jakieś pół miliona lat. Byłby wtedy jeszcze pusty... a mnie zapewniłby spokojne i bezpieczne schronienie. Tylko jak to zrobić?...

Znowu mijały sekundy i minuty. Wykonywałem łagodne zwroty, aby zyskać większe pole widzenia, równocześnie bez przerwy przeczesując oczyma gwiazdną przestrzeń. Te zmiany kierunku były całkowicie realne, odsłaniały wciąż nowe mgławice, konstelacje i pojedyncze,

jasne słońca, a zarazem pozorne, bo przecież mogłem lecieć tylko albo w głąb czasu, albo też z powrotem, ku jego granicom, ciągle rosnącym, ciągle od początku obliczanym przez współczesnych mi ziemskich astronomów. Prowadziłem półmartwy su-perstatek, przeznaczony do podróży poza światami ludzkiej fizyki w taki sposób, w jaki dziecko prowadzi swoją plastikową raketkę na kółkach pomiędzy klombami śródmiejskiego parku, ale w tej łatwości pilotażu także tkwił fałsz, przeciw któremu protestowały mój umysł i moje zmysły. Wszak niezmiennie zmierzałem doni

kąd. Mogłem przeciąć czasoprzestrzeń szybciej niż myśl, a równocześnie kosmos nagle objawił mi się w swojej pierwotnej grozie, bijącej z jego obszaru, daleko przekraczającego zasięg człowieczej wyobraźni, dokładnie tak, jak jawił się pierwszym astronautom, gdy wkraczali w wieczną noc, poza światłem ziemskiej atmosfery. Oczywiście, wystarczy drobny ruch mojej dłoni, leżącej na pulpicie sterowniczym, aby w ciągu paru sekund zamienić otaczającą mnie pustkę na ową gładką platformkę, po której, ślizgając się, szedłbym w stronę obcego pojazdu i czekających cierpliwie przy władze szkiele-towatych istot. Równie dobrze mógłbym na przykład od razu teraz wyskoczyć 'w próżnię przez czarodziejską substancję kryształowego wehikułu. Wypuściłaby mnie przecież.

— A właśnie — powiedziałem na głos — zablokowałem automaty za karę, że zamiast mnie, zachciało im się słuchać kogoś innego, oślepiłem i ogłuszyłem całą aparaturę pokładową, nie mam ekranu ani czujników, ale to szklane ciasto oblepiające moje ciało nadal żyje swoim „informacyjnym” życiem, ustępując usłudze, gdy tylko przyjdzie mi ochota rozprostować nogi, odetchnąć głębiej czy choćby przymknąć na moment powieki. I całe szczęście. Inaczej stałbym się już dawno własnym pomnikiem, może nawet dość oryginalnym, ale umieszczonym wstydliwie przy ścieżce, którą nikt nigdy nie chodzi. Zaraz... zaraz... — jakby dla sprawdzenia, czy nic się nie zmieniło, odchyliłem głowę do tyłu i zamknąłem oczy. — W takim razie ów swoisty zespół informatyczny, jaki tworzy substancja statku, jest niewrażliwy na impulsy przychodzące z zewnątrz. W przeciwnym wypadku i on podporządkowałby się rozkazom przybyszów z gwiazd, którzy potrafili zdalnie odebrać mi władzę nad automatami nawigacyjnymi — mówiłem dalej. — A więc mimo wszystko mam do dyspozycji zespół informatyczny, tyle że trochę ograniczony, co przyznał sam Stanza, i zdecydowanie bardziej niż trochę cudaczny. Ale może właśnie dlatego, że jest taki, uda mi się go wykorzystać do czegoś więcej niż poruszanie rękami i nogami. Reaguje na efekt Kirliana... lecz także na fale biologiczne, na natężenie pól mózgowych, zmieniające się w zależności od kształtu moich myśli. Niech zatem te myśli przybiorą kształt pięknej, zielonej planety, obfitującej w czystą wodę i nakrytej błękitnym niebem z pogodnymi, białymi obłoczkami — uśmiechnąłem się mimo woli, nie otwierając oczu. — To, rzecz jasna, marzenia. No i co z tego? —

ciągnąłem. — Poeci, a nawet poniektórzy co odważniejsi uczeni psychologowie z dawien dawna utrzymywali, że marzenia... — urwałem raptownie.

Przez chwilę siedziałem bez ruchu, usiłując uchwycić istotę zmiany, jaka zaszła w moim otoczeniu. Nagle zrozumiałem. Statek niósł mnie przez czas i przestrzeń, rozwijając swoją pełną szybkość, jakby znowu ktoś z oddali uruchomił jego automaty napędowe. A raczej akurat zaczął wytracać tę szybkość, hamować i właśnie tylko to hamowanie sprawiło, że w moim systemie nerwowym odezwał się sygnał alarmu. Jak długo leciałem, nie wiedząc o tym, z maksymalną prędkością? Trzy, cztery sekundy? Nie dłużej, niż trwał obraz owej planety, oglądanej oczami wyobraźni, niż trwały moje marzenia. Ale to mogło wystarczyć. Gdzie jestem?

Uniosłem powieki i natychmiast musiałem mocno zacisnąć je z powrotem. Spojrzałem prosto w słońce, w którego płonąca tarczę celował ostry szpic statku, załamując promienie w taki sposób, że wokół mnie powstał świetlisty wir, jakbym już leciał w ognistych językach protuberancji. Odruchowo nasunąłem na szybę kasku ciemną osłonę i ponownie otworzyłem oczy.

Słońce było daleko, w każdym razie nie bliżej, niż gdybym patrzył prosto w górę, stojąc w samo południe na najwyższym szczycie Ziemi. To tylko te kryształki tworzące mój pojazd zwielokrotniały jego blask, zamieniając go w eksplodującą tuż przede mną* gwiazdę. Tu, w tym świetle, z pewnością nie czekali na mnie pobratymcy Stanzy. A więc jednak nie dzięki nim

znalazłem się w tej okolicy.

Statek, lecący teraz stosunkowo wolno, wszedł w dość ciasny łuk. Moment później ujrzałem już pod sobą jasną, lekko opalizującą planetę. Właściwie od kiedy otoczyła mnie jasność, powinienem był spodziewać się takiego widoku. Niebo wokół miało barwę ciemnoniebieską, a to musiało przecież oznaczać, że jestem w atmosferze.

Marzenie stało się rzeczywistością. Sterując ręcznie nigdy nie spotkałbym gwiazdy obdarzonej przez naturę rodziną planetarną, a gdybym ją nawet jakimś cudem znalazł, to pozbawiony automatów nawigacyjnych w żaden sposób nie potrafiłbym wejść pod odpowiednim kątem najpierw w płaszczyznę ekliptyki, a następnie w pole grawitacyjne i atmosferę wybranego globu, aby cało wylądować. Komu lub czemu zawdzięczałem ten najpiękniejszy i najmniej spodziewany prezent? Stanzy? Blanowi, wraz z jego niezwykłym urządzeniem? A może własnym marzeniem, jeśli to na nie zareagowała cudowna substancja mojego statku? Czy wobec tego piękny, zapraszający ląd pode mną jest tam naprawdę, czy istnieje w rzeczywistości? A jakież to ma znaczenie?!

Schodziłem powoli, po zacieśniającej się spirali, zgodnie z wszystkimi zasadami sztuki pilotażu. Niebo było teraz błękitne, z lekką domieszką zieleni. Wpadłem w chmury i przez następnych parę sekund posuwałem się jakby pośrodku galopującego' stada białych słoń. Wkrótce jednak chmury uciekły w górę i znowu ujrzałem bliską już powierzchnię globu, pofałdowaną pasmami wzgórz, lśniąca ręciovymi łatami wody otoczonymi bujną, świeżą zielenią. Minutę później statek łagodnie przekoziółkował w powietrzu i wylądował tak miękko, że musiałem dłuższą chwilę obserwować znie-ruchomiałp otoczenie, aby przekonać się, czy na pewno już stoję. Następnie odetchnąłem głęboko, potrząsnąłem głową z mimowolnym niedowierzaniem, po czym włączyłem nasłuch, zewnętrzny.

Słuchawki milczały. Albo glob był tak cichy, albo nie działały automatyczne anteny. Chociaż, jeśli lecąc z zamkniętymi oczami, pochłonięty bez reszty rozmyślaniami o niebieskich migdałach przemieściłem się w czasie-nie więcej niż o ćwierć miliona lat, to taka cisza powinna tu być czymś naturalnym i stałym.

Usiadłem z dala od gór. Krajobraz, jak okiem sięgnąć, rozbiegał się po daleki horyzont łagodnymi pagórkami, pokrytymi gęstą, choć niezbyt wysoką roślinnością. Wysunąłem na zewnątrz głowę i natychmiast skuliłem się z powrotem. Ponowiłem próbę, tym razem wychylając się do pasa. Ośmielony powodzeniem, dopiero teraz postanowiłem opuścić kabinę. Zrobiłem to bez entuzjazmu. Nie miałem żadnej pewności, czy aparacik przymocowany do mojego ramienia, pozwoli mi wrócić do statku, gdy już raz znajdę się cały poza nim. Nie wiedziałem przecież, w jakim stopniu skuteczność działania tego aparaciku zależy od pokładowych automatów, które wprawdzie przywiozły mnie na wymarzoną żywą planetę, ale na których funkcjonowanie sam nadal nie miałem najmniejszego świadomego wpływu. Z dwójga złego wolałbym jednak pozostać samotny wśród tej zieleni, w niewiadomym czasie i nieokreślonej przestrzeni, aniżeli dostać się w pieszczelowate łapy kosmicznych ziomek Stanzy. Chciałem zresztą od razu po oderwaniu stóp od pojazdu przekonać się, czy wpuści mnie on z powrotem równie łatwo jak podczas ćwiczeń i sięgnąłem nawet do lewego ramienia, ale już nie zdążyłem namacać małego, zbawczego guziczka. Jak tylko znalazłem się w powietrzu, poczułem, że tracę grunt pod nogami, ten sam grunt, który dawał mocne oparcie podstawie ogromnego, kryształowego superstatku i z ogłuszającym trzaskiem łamanych gałęzi runąłem w dół. Wydawało mi się, że lecę w nieskończoność, naprawdę jednak wysokość, z jakiej spadłem, nie przekraczała dwóch metrów. W dodatku ciasno zbite krzewy gęsto porośnięte długimi liśćmi osłabiły upadek, tak że zerwałem się natychmiast cały i zdrowy, lecz za to w zupełnych ciemnościach. Odruchowo objąłem obiema dłońmi kask, pewny, że go uszkodziłem. Kask był jednak w porządku. Ochłonawszy nieco przekonałem się nadto, że mrok wokół mnie jest tylko cieniem, panującym u stóp jakichś przedziwnych drzewek, których splecione korony tworzyły w górze szczelne, zielone sito.

— Trzeba mieć dużo szczęścia, żeby wylądowawszy na nieznanej planecie, od razu wdepnąć w zarośniętą chwastami dwumetrową dziurę — powiedziałem bardzo głośno. — W ogóle na brak szczęścia nie mogę narzekać — dodałem po chwili zastanowienia. — Tak się składa — zakończyłem.

— Co mówisz? — spytał lekko stłumiony baryton, -którego brzmienie wydało mi się podejrzenie znajome.

— Ja? — zdziwił się inny mężczyzna. — Byłem pewny, że to ty coś powiedziałaś. A może zaczynamy mieć halucynacje? Najwyższy czas. Już przeszło pięć godzin drepczemy w tym gąszczu jak kulawe sowy — zaśmiał się.

W tym momencie wstrzymałem oddech.

— Dlaczego akurat sowy i do tego kulawe? — zapytał pierwszy.

— Bo ślepe i ze związanymi skrzydłami. Ptak jest kulawy, kiedy nie może latać — padła wypowiedziana rzeczowym tonem odpowiedź.

Zagryzłem wargi. Gdyby nie kask, zamknąłbym sobie usta dłonią. Na wszelki wypadek. Nie mogłem przecież dopuścić do tego, żeby tutaj, czyli nie wiadomo gdzie, w tym idiotycznym lasku, nagle odezwało się równocześnie dwóch Lindsayów Hagertów. I żeby Wiktor Lambert, bo to on rozmawiając ze mną wspominał przed chwilą o kulawej sowie, uwierzył, że naprawdę zaczynają go nękać halucynacje.

Okazało się zatem, że miałem znacznie więcej szczęścia, niż myślałem jeszcze kilka sekund temu, gdy po udanym lądowaniu wpadłem w zarośniętą krzakami pułapkę.

— Co u ciebie, Kirsti? — spytał wyższy, odrobinę zdyszany głos, ponad wszelką wątpliwość należący do Daga Blandona.

— Och, świetnie! Oleg prowadzi mnie za rękę, jak dziecko. Poza tym idziemy waszym śladem, to znaczy tak wygodnie, jakbyśmy korzystali ze ścieżki, którą od lat codziennie o tej samej porze udaje się do wodopoju rodzina nosorożców...

Moi towarzysze z wyprawy „P — G”, wraz ze mną samym, znajdowali się chyba blisko. Ich głosy brzmiały wyraźnie i czysto. Zarazem jednak tylko te ich głosy docierały do moich uszu. A musieli przecież nieźle hałasować, torując sobie drogę, łamiąc i depcząc wysmukłe gałązki, splecione u góry w jeden ciasny warkocz. Wytlumaczenie tego faktu mogło być tylko jedno. Znajdowali się istotnie blisko, ale nie teraz. A jeśli nie teraz, to kiedy? Wcześniej czy później? Biorąc za punkt wyjścia bieżącą chwilę, ich podsłuchana przeze mnie rozmowa powinna odbyć się w przyszłości, ponieważ ja nigdy dotąd nie byłem, tu z nimi. Jednak jeśli polecę w końcu wykonać plan Stanzji, 'i wykonam go pomyślnie, to ta „bieżąca chwila” przestanie być podstawą jakichkolwiek rozsądnych spekulacji, bo po prostu zniknie jako geometryczny punkt jednej, określonej rzeczywistości. Zresztą skąd miałem wiedzieć, kiedy jestem teraz ja sam, ten ja, który właśnie wylądował w najbardziej angielskim z kosmicznych parków? Obecność drugiego Lina Hagerta tylko pod jednym względem mogła być pocieszająca. Oznaczała, że pozostanę wśród żywych... nie, nie oznaczała nic — sprostowałem natychmiast w myśli. Przecież te głosy rozbrzmiewają w przesuniętej przestrzeni, a więc nigdy nie staną się częścią żadnej mojej prawdziwej współczesności, jak ten staruszek na przystani, tonąca lekarka, pies Góro ze swoją panią i znowu lekarka.

— Czemu stoicie? — spytała Kirsti. — Co robisz? Usłyszałeś coś?

— Teraz ci nie odpowie — mój głos opadł o pół tonu. — Rozmawia z Bengtem. Nałożył słuchawki i ma taką minę, jakby słuchał sonetów Petrarcki.

— Gdybyśmy zabrali kaski, wiedzielibyśmy, o czym mówią. Od początku byłem zdania, że nie powinniśmy zapuszczać się w te krzaki bez skafandrów. Przecież nic nie widać. W każdej chwili może nas coś zaatakować — stwierdziła nadąsanym tonem Kirsti.

— Jak dotąd spotkaliśmy dwa okryte łuską koty, które na nasz widok niezwłocznie dały drapaka, trzy myszy w kształcie mydelniczek i jednego pająka uzbrojonego wyłącznie w kolosalnie długie wąsy — zaśmiał się cicho Oleg.

— Poza tym, gdybyś miała na sobie kask, nie mógłbym teraz tak bezkarnie zerkać na ciebie ukradkiem i podziwiać jakże wymowne błyski w twoich oczach, kiedy nas strofujesz. Czy wiesz, że w tych ruchomych cętkach światła, plądrujących tu w cieniu, wyglądasz jak marzenie miłosne Signaca, które poprzedziło powstanie najbardziej lirycznego z jego płócien?

Czy to naprawdę ja? — nagle ogarnęły mnie wątpliwości. — Czy ja mówilibym w ten sposób? Do Kirsti? A jeśli nawet, to czy byłbym z siebie zadowolony? Nie. Stanowczo nie. Każdy ma swój styl...

— No, no — odezwał się Oleg. — Lin jest niezawodny. Mamy w swoim gronie

stuprocentowego Don Juana ze starej ballady. Ale współczesnego. Don Juana ziemskiego, księżycowego i mgławicowego. Nie należy wątpić, że poszerzy teren działania, jak tylko wydostaniemy się poza obszar naszej Galaktyki. Pogratulować...

— Nie potrzebuję... — zaczęła Kirsti, ale nie pozwoliłem jej skończyć.

— Rzecz w tym, że ja ją kocham — w moim głosie brzmiała teraz spokojna pewność. — A widzisz, Oleg, prawdziwa miłość, nie podlega ograniczeniom pól grawitacyjnych, przestrzennych ani czasowych. Prędzej czy później sam to zrozumiesz...

— No, no... — zamruczał tym razem Wiktor. Nastąpiła cisza. Upłynęła dobra chwila, zanim ponownie usłyszałem Kirsti.

— Lin...

— Bengt wzywa nas do powrotu — przerwałem jej znowu. — Paleta wisi już nad nami. Ciekaw jestem tylko, jak dostaniemy się na pokład. Nie mamy skrzydeł... nawet związanych.

— Ale ty, jak widzę, zaopatrzyłeś się w dwie buteleczki natryskowego ceralitu. On tężeje natychmiast w zetknięciu z atmosferą, prawda? Proponuję — mówił dalej Oleg — : ebyśmy udeptali placyk

w tej zieleni, a[^] następnie utwardzili go ceralitem. W ten sposób uzyskamy skrawek gładkiego podłoża, a przede wszystkim zrobimy dziurę w tym zielonym parasolu, przez którą Bengt będzie mógł nam spuścić robota z drabinką. On ma rację. Powinniśmy skoncentrować uwagę na morzach. Tu nie ma już czego szukać. Nawet w najwyższych górach, nad którymi przelatywaliśmy przed lądowaniem, nie udało nam się przecież wypatrzeć bodaj centymetra gruntu, wolnego od tych rozkosznych krzaczków. Moglibyśmy spędzić w nich sto lat tylko po to, by w końcu odkryć jeszcze jednego wąsatego pająka.

— Tak, wracajmy — zgodził się tamten ja. — Masz rację, Oleg. Z tym ceralitem to niegłupi pomysł. **Że** też mnie nie przyszło to do głowy.

— Bo masz ją nabitą zupełnie innymi sprawami — odrzekł uprzejmie i był to ostatni fragment ich rozmowy, jaki dotarł do moich uszu, a zarazem ostatni znak ich obecności w świecie, w którym chwilowo przebywałem.

Dlaczego ich w ogóle słyszałem tutaj? I dlaczego jedynie ich głosy, wyjęte z akustycznego tła, bogatego przecież w dźwięki? Musiały szeleścić liście, gdy torowali sobie drogę przez zarośla, musiały trzeszczeć gałązki pod ich stopami, musiały wreszcie szumieć silniki palety, jak nazywaliśmy płaskie zwiadowcze sondy załogowe, używane do rekonesansów na obcych globach?

Widać właśnie ludzkie głosy i wyłącznie one były potrzebne... mnie? Nie. Komuś innemu. Komuś, kto postarał się o kanały informacyjne, działające wybiórczo, a zarazem łączące różne czasy i przestrzenie, jakby poprzez jakieś lokalne zwarcia czy przebicia. Wobec tego to albo sprawka istot tropiących Stanzę, albo jego samego. Tej drugiej ewentualności nie muszę rozpatrywać. Natomiast jeśli chodzi o pierwszą... tak. Zaraz na wstępie podzieliłem się z samym sobą refleksjami na temat szczęścia, dwumetrowych dziur w lądowisku i tak dalej. Nie żałowałem gardła. Umilkłem dopiero wtedy, kiedy ktoś chciał mi odpowiedzieć i kiedy zrozumiałem, że tym kimś jest niejaki Lin Hagert. A teraz umilkł także ów drugi Lin i jego towarzysze. Czy to sygnał, że tamci znaleźli głos, którego szukali? Czy też, że zmyliła ich mnogość tych głosów? Wyprawa „P—G” nie mogła ich przecież interesować.

Tak czy owak czas na mnie. Albo zostałem odkryty, albo też, przynajmniej na razie, jestem bezpieczny. W obu wypadkach mogę już przestać udawać, że mnie tu nie ma.

— Ba — odchrząknąłem, po czym powiedziałem półgłosem: —wszystko to bardzo pięknie, ale nade mną nie wisi paleta z drabinką i dyndającym na niej robotem. W odróżnieniu od siebie z innej przestrzeni, nie mam nawet ceralitu w sprayu, żeby utwardzić te gałązki i zrobić pomost, z którego mógłbym spróbować odnaleźć mój statek, gdyby przypadkiem był tu gdzieś jeszcze, w co wątpię. Ale jeśli jest, to jak .niby mam do niego trafić?

— Czy chce pan wrócić do' statku? — zabrzmiał w słuchawkach spokojny, obojętny głos.

Przeniknął mnie lodowaty chłód, a moment później oblała mi twarz fala gorąca. Nie wykonałem jednak najmniejszego ruchu. Nie próbowałem się rozglądać ani uciekać, co zresztą i tak było niemożliwe.

— Czy chce pan wrócić do statku?

^ Ochłonałem, ale nadal nie wierzyłem

własnym uszom.

— To ty? — spytałem przytomnie.

— Słucham?

— Czy jesteś naprawdę tym „centralnym węzłem informacyjnym”, który w czasie lotu miał mi dodawać otuchy dźwiękiem ludzkiej mowy?

— Tak.

Odetchnąłem głęboko i bezwiednie sięgnąłem ręką do czoła, aby otrzeć spływające po nim strużki potu. Uderzyłem rękawicą w kask i dopiero ten nonsensowny ruch sprawił, że zacząłem myśleć.

— Czy urządzenia pokładowe działają normalnie?

— Tak.

— Czy wiesz, że w pewnym momencie odmówiły posłuszeństwa i musiałem przejść na ręczne sterowanie? A ty przestałeś się odzywać. Co to było?

— Niestety, w naszej pamięci brak informacji, które pozwoliłyby mi odpowiedzieć na to pytanie.

— Czy możemy wznowić lot zgodnie z wyjściowym programem?

— Tak.

— Wobec tego rzeczywiście chciałbym wrócić do statku.

— Proszę chwilę poczekać.

Tuż nade mną rozległ się głośny chrzęst liści. Zanim zdążyłem zapytać, co się dzieje, poczułem pod kolanami i wokół pasa delikatny ucisk jakichś niezwykle mocnych ramion, które następnie oderwały mnie lekko od ziemi i uniosły w górę. Niemal natychmiast musiałem zmrużyć oczy, porażone jaskrawym, słonecznym blaskiem. Najzupełniej machinalnie sięgnąłem do lewego ramienia i wdusiłem guziczek opasującej go aparatury. Naciskałem ten guziczek jeszcze wtedy, gdy już siedziałem wygodnie w kabinie i gdy z pulpitu spojrzęły na mnie zmartwychwstałe światełka wskaźników. W czasie tej tak nieoczekiwanej łatwej i szybkiej drogi powrotnej zdołałem jednak dokonać pewnego odkrycia. Mianowicie mój statek, lądując, wcale nie osiadł na powierzchni gruntu, tylko najspokojniej zawisł w powietrzu, zaledwie muskając swoją ściętą podstawą wierzchołki krzewów. Może w jego programie umieszczono specjalny zapis zabraniający mu niszczenia życia... w jakiegokolwiek postaci? W każdym razie nie było pod nim żadnej dziury w ziemi, do której mógłbym wpaść. Po prostu zleciałem z wysokości dwóch metrów, jaką osiągał ten tutejszy globalny las.

Już otwierałem usta, żeby wydać komendę „start”, ale zamknąłem je bez słowa. Przecież nic z tego, czego doświadczyłem w ciągu minionych kilkunastu minut, nie mogło zdarzyć się naprawdę. Automatyka pokładowa nie czekała na moment, kiedy oderwę się myślami od rzeczywistości, aby z kosmicznej pustki przenieść mnie błyskawicznie w układ słoneczny, na żywą planetę, w dodatku taką, która w jakiejś tam czasoprzestrzeni już stanęła na drodze uczestników ziemskiej wyprawy. Nie ma jej. Nie było żadnych głosów. Jeśli je słyszałem, to ani Stanza, ani tym mniej jego i moi wrogowie z gwiazd nie mieli z nimi nic wspólnego. Po prostu substancja statku nieco zbyt poważnie potraktowała moje marzenia. Wyobraziłem sobie przecież zielony glob. No więc otrzymałem porcję „zieleni”. A cała reszta?...

— Kirsti — powiedziałem dopiero teraz. — Kirsti...

— Słucham?

— Nic, nic — potrząsnąłem głową. — Tutaj jest tlen. Oni chodzili bez kasków. To jedyna konkretna informacja, jaką zdobyłem — mówiłem szybko, jakbym za wszelką cenę chciał zagłuszyć jakiegoś natręta, który miał mi zbyt wiele do zakomunikowania. — Na szczęście nawet ta informacja nie przyda mi się już na nic. Możemy startować?

— Nie rozumiem... tak, oczywiście — głos nad moim uchem, po chwili wahania, stał się znowu rzeczowy.

— Czy mamy absolutną pewność, że wejdziemy na właściwy kurs... zaraz, poczekaj — urwałem, tknięty nową, niemiłą myślą.

— Tak, mamy pewność. Dobrze, czekam.

Informatyka statku utraciła pamięć. Nie całkowicie wprawdzie, skoro „głos” zapewniał mnie, że jesteśmy gotowi do kontynuowania lotu zgodnie z pierwotnym programem. Była to raczej luka, spowodowana chwilowym uderzeniem bardzo mocnych obcych impulsów, niż amnezja.

Tak, ale któż mi zaręczy, że ci, którzy wysyłali te impulsy, nie wykorzystali owej • luki, kiedy to oni rządzą pokładową aparaturą, aby „zajrzeć” także do pojemników zawierających kondensat informacji o pożądanym kierunku ewolucji życia w zmienionym wszechświecie? Może fakt, że teraz wszystko wróciło do normy, jest kolejnym podstępem z ich strony? A jeśli wymazali to, co Stanza i Amosjan nazywali zapisem osobowości?... Ba, gdyby tylko wymazali! Mogło być gorzej. Mogli w miejsce ładunku, sporządzonego w podziemiach, podstawić wzorec zaczerpnięty z ich świata, odzwierciedlający marzenia czy intencje władców tej nieszczęśliwej ponoć, a na pewno ponurej i groźnej cywilizacji, która wydała Stanzę i którą on pragnął zmienić. W takim razie powracając teraz jakby nigdy nic do realizacji powierzonych mi misji, stałbym się bezwiednie największym zbrodniarzem w dziejach kosmosu. Nawet nie bezwiednie, skoro właśnie rozważam podobną ewentualność. Czyli zanim wystartuję, muszę zyskać absolutną pewność, że jeśli w ogóle lecąc dalej doprowadzę do przeobrażenia życia w moim czasie i mojej przestrzeni, to potem nie będę musiał za to pokutować, zamknięty w jakiejś ciasnej szparze między podłogą a maszyną, której wiecznie pracujące zespoły "szczelnie opasują całą Ziemię.

Nie mogłem liczyć na zasobniki, umieszczone w dwóch statkach, tworzących moją eskortę, ponieważ tych statków już nie było. One nie miały przecież żywych pilotów, którzy przeciwstawiłby swą wolę i swe jakże niedoskonałe reakcje paraliżującym rozkazom, niebezpiecznych chudzielców. Tylko ja sam mogłem teraz ponieść początkom czasu wskazówki zegara, odmierzającego rozumnym *istotom* smutne lub wesołe, ale nigdy beznadziejne sekundy, minuty, godziny i wieki. Czy mam ryzykować, że osiągnę skutek odwrotny do zamierzonego? Czy w takim razie lepiej nie robić nic? Niechby świat został taki, jaki jest... a przynajmniej był.

Nie. Jeśli w tej cRwili znowu podlegam jedynie własnym decyzjom, to zawdzięczam tę względną wolność wyłącznie „pożyczce” zaciągniętej przez Stanzę, Blana i Aldena od rzeczywistości, zaistniałej po moim powrocie. A w każdym razie po pomyślnie przeprowadzonym przeze mnie zabiegu oczyszczenia źródeł ewolucji. W tej sytuacji po prostu nie mogę nie polecieć. Nie mogę, gdyż wobec wykorzystania udzielonego mi „kredytu” nie potrafię sobie nawet wyobrazić rozmiarów konsekwencji, jakie mogłoby spowodować odstępianie od planu. Pozostaje mi zatem jedno. Postąpić zgodnie z instrukcją mówiącą, co mam zrobić w wypadku awarii.

— Czy zasobniki, które powinniśmy wystrzelić w przewidzianych harmonogramem momentach, są pełne? — spytałem.

— Niestety, nie wiem — brzmiała odpowiedź. — Nie mam z nimi kontaktu.

— Tam są spreparowane w pewien specyficzny sposób dynamiczne modele związków chemicznych, katalizatory, a wreszcie wzorce geometryczne, tworzące wraz z innymi informacjami zapis osobowości. Interesuje mnie jedynie ten ostatni kompleks. Czy potrafiłbyś go wymazać z zasobników, tak jednak, żeby modele materii nieożywionej pozostały nienaruszone?

— Mogłbym to zrobić jedynie na wyraźne polecenie.

— Czyje?

— Twórców programu lub osoby dysponującej statkiem.

— Przecież teraz ja dysponuję statkiem. Dlaczego mówisz tak[^] zawile?

— Jestem zobowiązany do udzielania możliwie najobszerniejszych odpowiedzi, kiedy postuguję się symbolami fonicznymi, jak w tej chwili.

— Rozumiem. Chodzi o to, żebym nawet ja mógł cię zrozumieć. Przy okazji podziękuję Stanzę za ten wzruszający dowód jego czułej troski o stan mojego umysłu. Wracając do rzeczy, wydaję ci polecenie. Wymaż z pamięci zasobników to, .ale tylko to, co„autorzy projektu naszego lotu nazywali zapisem osobowości.

— Tak jest.

— Już? — spytałem po chwili.

— Tak jest.

Odróciłem się, a następnie, wykonując ruchy jakbym próbował pływać żabką w wąskiej wannie, wpełzłem na brzuchu do pojemnika, który miał odegrać tak szczególną rolę w minionych i przyszłych dziejach świata. Uruchomiłem ekran i projektory, jak to robiłem w czasie próby, przeprowadzonej w obecności Stanzę, po czym skrzyżowałem ramiona pod

głową, wtuliłem brodę w zgięcie łokcia i znieruchomiałem. Miałem tak leżeć piętnaście sekund. To znaczy, co najmniej piętnaście sekund. Ale nie chciało mi się patrzeć na zegarek.

Więc wyprawa „Pierścień Galaktyki” została wysłana także w jakiejś innej, nieokreślonej rzeczywistości i odkryła przynajmniej jedną planetę hodojącą na swej skorupie. Życie, rozkwitające w promieniach silnego, bliskiego słońca. To życie było. Wprawdzie dość monotonne, ale kto może wiedzieć, jak będzie wyglądać za ćwierć czy pół miliona lat, kiedy z „Araratu” naprawdę wystartuje ze mną, czy beze mnie, zespół realizatorów programu „P — G”? Mówili o jakichś okrytych łuską kotach, myszach, pająkach. Co te-raz mogło rodzić się, cieszyć, cierpieć i umierać w resztkach tej pierwotnej, karłowatej dżungli? Kto wie zresztą, czy wtedy, gdy rozbrzmiewały tutaj głosy Kirsti, Wiktora, Olega i... mój własny, miejscowe życie j u ż nie nosiło w sobie cech, które przekazywane z pokolenia na pokolenie i uzupełniane gromadzonymi w ciągu wieków doświadczeniami nie pozwolą nam powitać akurat na tej planecie kosmicznych braci? Jeśli w dodatku w wyniku mojego lotu ewolucja naprawdę zyska większą możliwość przekazywania następcom ulepszeń? Przecież są tutaj morza. Kirsti i inni, opuściwszy zarośla, polecili przyrzeć im się z bliska. Co w nich znaleźli? To znaczy, co mogliby znaleźć, gdyby kiedyś, przypadkiem, naprawdę zbiegły się obie współczesności: tego tutaj globu i Ziemi?...

Kirsti... — powtórzyłem w myśli. Zamknąłem oczy. Ogarnął mnie ten sam osobliwy spokój co wtedy, gdy siedziałem w fotelu u nieistniejącej Nory Speyer i czekałem na jej powrót z łazienki, czując na stopach ciepło ciała śpiącego psa. Kirsti... Te nasze rozmowy! Te niby moje własne słowa, których jednak przenigdy nie wymówiłbym w jej obecności. Ale to nic nie znaczy. Przecież nie było tych słów, tak jak nie było żadnej Nory, chociaż i ona na zawsze pozostanie w. mojej pamięci.

— No, dobrze — powiedziałem, podnosząc się na rękach. Wylazłem tyłem z mojej, teraz podwójnie, a nawet wielokrotnie mojej wanny czy też wanny będącej wielokrotnie mną, i na powrót przybrałem pozycję pilota. — Możemy startować?

— Tak jest.

— Start.

Liczby na ekranie ożyły. Linie przebiegające przez okienka wskaźników przyśpieszyły i zabłyśły nieco jaśniejszym światłem. Minęło kilka sekund i znowu ujrzałem przed sobą gwiazdy, które jednak wkrótce zniknęły, bo leciałem już zbyt szybko. Ponownie ukazał się napis: szesnaście miliardów. Za szesnaście miliardów lat osiągnę cel.

Wszystko zaczęło się od nowa. Siedziałem nieruchomo, wodząc oczami po ekranie. Bez żadnych przygód przeskoczyłem granicę dziesięciu miliardów, z której zawróciły mnie uprzednio impulsy, wysłane przez rodaków Stanzji i wtedy dopiero zdałem sobie sprawę, że podświadomie, czekając na ten moment, zaciskałem do bólu szczękę. Odetchnąłem głęboko i spokojniej już pomyślałem, jak wygląda świat, przez który lecę. Jakim, zmianom ulega z każdym niezauważalnym ułamkiem sekundy. Rozpalone obłoki pojawiają się, rozprężają i kumulują, skały przechodzą w purpurowy ogień, ogień w pył, pył w energię. Jeden miliard, ostatni. Życie, które mam zmienić na lepsze, wybuchnie dopiero po upływie tysięcy wieków, a równocześnie stale czeka na mnie tam, gdzie nie dotarło jeszcze czoło rozszerzającego się wszechświata. Trzy sekundy... dwie... jedna! Teraz!

Stało się. Mógłbym nawet powiedzieć „stało się światło”. Sam przecież byłem światłem, tkwiąc wewnątrz promienistej bryły, zmieniającej tylko barwy, bo w miarę jak na zewnątrz, choć oczywiście nie istniało tutaj żadne „na zewnątrz” w ziemskim rozumieniu, tych słów, rosły ciśnienie i temperatura, statek przeobrażał się z szlifowanego górskiego kryształu w rubin, następnie w obelisk granatu, potem krwawnika, wreszcie najczystsze, czarnego diamentu. Ale ja nie widziałem światła. Nie widziałem eksplodujących wokół mnie sił niepojętych dla żadnej rozumnej istoty, bo ostatecznych. Poczułem tylko, że statek zwolnił, a kiedy spojrzałem na ekran, zobaczyłem napis: rok. Wracalem.

— Odpalenie pierwszych zasobników — mówiąc to wiedziałem, że jest za późno, więc nawet nie podniosłem głosu. A przede wszystkim, zdążyłem już nabrać zaufania do pokładowej aparatury. / nie pomyliłem się.

— Odpalone w pierwszej sekundzie — usłyszałem. — Zgodnie z programem — dodał głos, jakby tłumacząc się, dlaczego nie czekał na mój rozkaz.

— Uważaj, żebyśmy we właściwym czasie i miejscu pozbyli się także następnych — powiedziałem, rozumiejąc doskonale, że i ta uwaga jest zbędna.

— Tak.

Cisza, która nastąpiła, trwała bardzo krótko.

— Odpalony drugi rzut zasobników — tym razem nie musiałem o nic pytać ani wydawać spóźnionych poleceń. Mruknąłem „dobrze” i wpatrzyłem się przed siebie. Kiedy głos poinformował o wystrzeleniu po raz trzeci, a potem czwarty i ostatni skopiowanego mnie, którego miała sobie przyswoić natura jako memento dla własnych procesów kreatywnych, poprawiłem się w fotelu i zawołałem:

— Stanza! Stanza, już!..!

Ale Stanza, rzecz jasna, nie przemówił. Nie tylko z tego powodu, że był za daleko. I nie dlatego, że zjawił się jako wytwór nie istniejącej już teraz cywilizacji. Przecież jeśli to, co przed chwilą zrobiłem, miało, ma i będzie mieć faktyczne następstwa, to moja cywilizacja także już nie jest tą samą, którą opuszczałem, a ja zachowałem w pamięci ją i tylko ją, ponieważ aby zmienić się razem z nią, musiałbym być kimś innym i kierować się w postępowaniu świadomością, ukształtowaną nie tylko przez odmienne życie osobiste, lecz także odmienną tradycję 4 historii, od momentu pojawienia się pierwszego skorupiaka na Ziemi. Stanza nie mógł przemówić, bo na tej nowej Ziemi nigdy nie miał do dyspozycji podziemnego ośrodka, zbudowanego z myślą o tajnym laboratorium zbrojeniowym, nie miał włącz i swojej aparatury, swoich urządzeń łączności. A kontakt myślowy... cóż, nie było go i do tej pory. Ale -jeśli przypadkiem on mógł mnie słyszeć, to niech wie. Niech zawiadomi jeszcze Amosjana.

Uśmiechnąłem się na myśl o tym, jak bardzo musiały być zdziwiony człowiek o nazwisku Amosjan, profesor, jeśli ktoś taki -istnieje, gdyby teraz zgłosił się do niego Stanza i poinformował go, że życie na Ziemi już zostało zmienione. Ciekawe swoją drogą, czy Amosjan nie poczynił jakichś specjalnych przygotowań?... Czy na przykład nie zapisał wszystkiego, co wiedział, w pamięci komputera, a potem postarał się zabezpieczyć jakoś zapis przed zmianą...

— Bzdury — powiedziałem głośno. — Amosjan nigdy by tego nie zrobił. Owszem, mógł czuć, licząc na to, że ten przełomowy ułamek sekundy poprzedzi jakiś ulotny sygnał, zrozumiały, a raczej odczuwalny jedynie dla wtajemniczonych. Jednak z całą pewnością nie utrzymałyby dziejów dawnej Ziemi... choćby był do nich nie wiem jak przywiązany. Wystarczyłoby przecież pięć takich zapisów, aby po pewnym, raczej niedługim czasie, w historii i w ogóle naukach społecznych powstał szkodliwy chaos. A zatem żegnaj, Amosjan:..

Z Ziemią pożegnałem się już dawno.

A jeśli akurat w tej rzeczywistości, do której wrócę, odnajdę starego konserwatora z przystani, learkę Iris North lub... Norę? Może będę jeszcze odpoczywał z ciepłym, rudozłotym psim pyskiem opartym na mojej stopie?

Pięć miliardów... Cztery... Trzy...

— Cóż to — mój głos zabrzmiał mi w uszach niezbyt pewnie — marzenia? Znowu? Pomyśl lepiej, co z sobą zrobisz po powrocie, gdy okaże się, że z twoją wiedzą, umiejętnościami i nawykami dobrze wytrenowanego astronauty jesteś równie użyteczny jak celnik po zniesieniu granic?, Czy postarasz się o domek z ogródkiem i będziesz hodował kaktusy? Czy może przygarnie cię jakaś drużyna wioślarska? I dale j' będziesz sam... do czego jesteś przyzwyczajony i co, podobno, lubisz...

Dwa miliardy... Miliard... f

— Nie sprzedajmy wypadków — podjąłem. — Najpierw musisz wylądować. Skąd wiesz, że nastąpi to na Ziemi? Dokąd lecimy? — podniosłem głos.

Milczenie. „Centralny węzeł informacyjny” utracił zdolność mowy. Ale wskaźniki funkcjonowały normalnie.

— Nie powiedziałeś mi nawet do widzenia. Stanza by tak nie postąpił.

Milion. Sto tysięcy. Lecę coraz wolniej. Hamujemy. Witaj, nowy wspaniały świecie! Skąd mi się to wzięło? Jakieś przysłowie? Wiersz? Nie wiem. Nie wiem i nigdy się nie dowiem. Nie ma przecież takiego wiersza ani takiego przysłowia. Nigdy go nie było. Nikt mi o nim nie przypomni. Mogę stać się autorem wszystkich światowych arcydzieł, jakie pamiętam. Poetą, nowelistą, dramaturgiem. Znam przecież dobrze na

przykład Szekspira. Od biedy potrafiłbym także napisać na nowo „Don Kichota”, „Fausta”, „Wojnę i pokój”, może nawet „Ulissesa”? Krytycy darzyliby mnie przez parę lat wzgardliwą niełaską, a następnie oszaleliby z zachwytu. Któż miałby im unaocznic całą niedoskonałość moich „płodów”, na tle oryginałów zaistniałych w innej rzeczywistości? Mógłbym zawodowym muzykom zanucić fugi Bacha i etiudy Szopena. Nie wspominając o kołaczących we mnie melodyjkach najstynniejszych przebojów. Mógłbym stać się Arystofanesem, Bernardem Shawem, Puszkinem... Ba, tylko kto zechce mnie czytać? Kto, nie znający pojęcia „wojna”, zrozumiałby Homera? Koń Trojański... pierwsze wielkie świństwo, unieśmiertelnione w arcydziele, które obowiązkowo musiało znać każde ziemskie dziecko...

Trzy sekundy... Dwie...

Jest Ziemia. Nie... skądże! Słońce zbyt wielkie i jasne, glob duży, spieczony...

Chwileczkę. Jakiś płat. roślinności... jakby niskiej, lecz niedorzecznie gęstej...

Zero. Nie zauważyłem momentu wejścia w płaszczyznę ekliptyki. Zatopiony w rozmyślaniach o artystycznych gustach obecnych Ziemian, przegapiłem też dane, które jeszcze kilka sekund temu mógłbym odczytać z ekranu. Teraz ten ekran był ciemny, martwy. **Za** obrębem bryły, w której tkwiłem jak pozostała w kryształowym kieliszku kropla czerwonego wina, widać tylko zbyt jasne niebo i bury ład, pokryty pagórkowatą pustynią, zaledwie gdzieś gdzieś żywną plamą zmęczonej zieleni. A jednak było w tym krajobrazie coś nieuchwytnego, co czyniło mi go znajomym. Pamiętałem tę ziemię. Te wzgórza, wciąż takie same, spokojnie malejące aż po kres horyzontu. Tylko, kiedy przybyłem tu po raz pierwszy, cały glob, za wyjątkiem mórz, których nie zdążyłem obejrzeć z bliska, porastał zbity kożuch dwumetrowych drzewek. No, cóż. Pokładowa aparatura także zapamiętała ostatnie miejsce startu i do niego skierowała teraz wracający statek. W to samo miejsce, ale, rzecz jasna, nie w ten sam czas. Na szczęście. Znalazłem się nagle na planecie, o której wiedziałem tylko tyle, że od Ziemi dzieli ją bardzo wielka, odległość. W naszych gwiazdnych katalogach próżno by szukać wzmianki o tym układzie słonecznym, nie mówiąc już o jego poszczególnych globach. Skądinąd jednak byłem teraz zapewne współczesny swojej macierzystej epoce. Czyli pozostała mi nadzieja, że ktoś tu kiedyś przyleci. Jeśli, rzecz jasna, ci nowi Ziemianie w ogóle latają, jeśli ich technika, pozbawiona w swoich dziejach okresów mobilizujących napięć, to znaczy wojen, pozwoliła im już przekroczyć próg własnego układu planetarnego.

— Poczekamy na „P — G” — powiedziałem. Zdawałem sobie sprawę, że muszę porzucić mój aż nazbyt piękny pojazd, ale na razie nie chciało mi się z niego ruszać.

— Koniec jazdy — dodałem. — Wysiadać.

Mijały sekundy. Nic się nie działo. Żadnych głosów z teraźniejszości, przeszłości ani przyszłości. Żadnych sygnałów z innych przestrzeni.

Westchnąłem, przeciągnąłem się leniwie i wstałem. Masa statku po raz ostatni rozstała się, przepuszczając moje ciało. Miałem tu w kabinie zapasy wody i żywności oraz lekkie, chłodne powietrze. Mogłem w niej spędzić życie, które ponoć imiym zmieniłem na lepsze.

Wyszedłem. Nie oglądając się ruszyłem od razu szybkim krokiem prosto przed siebie i zatrzymałem dopiero na szczycie najbliższego pagórka. Moje stopy grzęzły w drobnutkiem, pustynnym pyłe. Wszędzie wokół rozciągały się identyczne wzgórza, spłowiaste, gładkie, bez skał i kamieni. Tylko pod zamglonym widnokregiem widniała kępa niskich drzewek, tworząca brudnozieloną plamę. Bez żadnej myśli zacząłem iść w jej stronę. Uszedłszy jakieś sto metrów, obejrzałem się. Statek wyglądał jak baśniowa szklana góra. Będzie tak stał, pełen blasku, oblewającego jego nieskazitelne kształty aż do chwili, kiedy tutejsze słońce zacznie umierać i przerażone własną agonią w ostatniej erupcji uciekającej energii pochłonie otaczające je globy, które przedtem darzyło tylko życiodajnym ciepłem.

W tym momencie, nagle, bez żadnego ostrzeżenia, opadła mnie chmura, czarna i cicha. Znałem ją. Znałem także ten głos, który wypłynął z ciemności:

— Wsiadać.

Mrok przede mną zaczął rzednieć. Ujrzałem otoczone niewysokim ogrodzeniem okrągłe poletko, wokół niego gwiazdy, a pośrodku wielki, pionowy walec z otwartym włazem u dołu. Obok włazu stały trzy szkieletowate sylwetki.

— Wsiadać.

Rozdział VIII

Przeskok z czasu upalnego dnia na obcym, spokojnym globie w czas wrogiej próżni był zbyt raptowny, bym mógł od razu przyjąć go do wiadomości. Ale nawet kiedy objąłem już myślą moją nową, tak bardzo zmienioną sytuację, dominującym uczuciem, jakiego doznałem, pozostało zdumienie. Jak to? Teraz? Po tym, co się stało? Więc... może nic się nie stało?

Dwie z trzech ażurowych postaci poruszyły się. Nie spieszyło mi się do ich pojazdu, to prawda. Zrozumiałem, że zaczynają tracić cierpliwość. Skądinąd nie miałem najmniejszej ochoty czekać, aż przyjdą po mnie, sami czy w towarzystwie swoich mrówkowatych robotów. Cóż mogłem zrobić. Pokiwałem głową i ruszyłem im naprzeciw. Kiedy byłem już blisko, ten w środku, który stał na tle otwartego włazu, usunął się grzecznie, pozostawiając mi wolną drogę. Przeszedłem obok nich i dopiero w momencie, gdy znaleźli się za moimi plecami, ogarnął mnie chłód. Nie przyglądałem im się, nie potrafiłbym nawet powiedzieć, czy mają oczy, a jednak czułem na sobie ich spojrzenia. Wiedziałem, że idą za mną, chociaż nie słyszałem odgłosu ich kroków. Moich własnych zresztą także. Nie słyszałem tu nic poza krótkimi rozkazami, które zawsze rozbrzmiewały tak blisko i wyraźnie, jak wtedy, za pierwszym razem.

Do włazu prowadziła krótka; pochyła płyta. Minąłem coś w rodzaju progu błyszczącego jak ostrze noża i przeszedłem z ciemności w jasność. Istotnie, mieli oczy, bo w przeciwnym razie nie pomyśleliby o lampach.

Znalazłem się wewnątrz okrągłego pomieszczenia o ścianach tworzących w górze zarys wielkiego dzwonu. Pomiędzy ścianami, na wysokości czterech czy pięciu metrów, rozpięto coś w rodzaju delikatnej sieci, przez której nici przebiegały we wszystkich kierunkach różnobarwne, świecące paciorki. Zatrzymałem się i chwilę stałem z głową zadartą do góry. Raz czy dwa odniosłem przelotne wrażenie, że w tej ruchliwej pajęczynie odnajduję jakąś mowę, przekazującą znane mi symbole, ale było to chyba tylko złudzenie. Po prostu różnobarwność i mnogość sygnałów sprawiały, że patrzącemu, skądkolwiek by on przybył, musiały w końcu narzucić skojarzenia z matematyką, obowiązującą w jego ojczystym świecie.

— Widzisz, Lin — usłyszałem naraz miękki głos — jednak los zetknął nas znowu. Co prawda w okolicznościach, które muszą ci się wydawać niezbyt zachęcające...

Nic już nie było w stanie mnie zaskoczyć.

— Tylko wydawać? — spytałem spokojnie.

— W pewnym sensie tak... zresztą wkrótce sam się przekonasz. Natomiast mnie te właśnie okoliczności stwarzają szansę powrotu... nie, źle się wyraziłem. Szansę konfrontacji moich pragnień i planów z rzeczywistością. Tą, która już zostanie... a raczej w której pozostanie moja Ziemia.

— Zdaje się, że rozumiem — powiedziałem z uczuciem ogromnej ulgi, odruchowo rozprostowując ramiona, jakbym akurat odkrył, że zamiast nich mam skrzydła, z których na każdej chwili mogę zrobić użytek. — Splącamy pożyczkę, tak?

— Tak.

— Czyli mamy bardzo mało czasu. Wiesz, że byłem tam?

— Wiem.

Nie spytałem, skąd zaczerpnął tę informację. Czy dotarł do niego mój głos, czy odbierał moje myśli, czy też obecna sytuacja zawierała jakieś wskazówki, zrozumiałe tylko dla niego. Zamiast tego powiedziałem:

— Jednak jeśli ja zaraz znajdę się gdzie indziej i kiedy indziej, to chyba i ty nie wrócisz tym statkiem i nie wylądujesz wśród swoich, już uwolnionych od balastu dotychczasowej historii.

— Prawdopodobnie. Też mówię jedynie o szansie. Ona mimo wszystko istnieje... skoro jestem tutaj.

— Tego nie pojmuję... ale to zapewne najmniej ważne. Czy w tej chwili lecimy?

— Obejrzyj się.

Posłusznie odwróciłem głowę. Zamiast otwartego włazu zobaczyłem półprzeźroczystą płytę, a za nią czarne niebo z gwiazdami. Może ekran? W każdym razie byłem sam. Istoty, które

mnie tu wprowadziły, skorzystały widać z innego wejścia. ^

— Nic mi to nie mówi... zaraz — zawahałem się. — Gwiazdy są nieruchome — zauważyłem po zastanowieniu.

— Ponieważ jesteśmy już na miejscu. Za chwilę wylądujemy. To znaczy, wylądowalibyśmy, gdyby...

— Nie kończ. Powiedziałem przecież, że rozumiem. Gdzie jesteś?

— Na statku, tylko w innej kabynie.

— Dlaczego słyszę tak wyraźnie twój głos? I dlaczego oni pozwalają nam rozmawiać?

— Nie wiedzą, że rozmawiamy. A ty słyszysz mnie, ponieważ nauczyłem się przekazywać wam impulsy bezpośrednio do ośrodków mózgowych. Czy trafiłeś na Ziemię? Czy też przedzielili czas, jeszcze zanim twój powrotny lot dobiegł końca?

Chciałem mu powiedzieć, jak się sprawy mają i poprosić, aby mi pomógł określić miejsce mojego obecnego, rzeczywistego pobytu, ale nie zdążyłem. Bez żadnego przejścia, żadnego chwilowego zaćmienia, znalazłem się na płaskim wzgórzu, z którego patrzyłem ku horyzontowi, gdzie w masie drgającego, rozpalonego powietrza majaczyła nieregularna plama zieleni.

— Cześć, Stanza — zawołałem półgłosem. — Teraz już naprawdę nigdy się nie spotkamy. Chociaż... kto wie? Jeśli twój świat nie jest zbyt daleko? Jeśli przypadkiem leży na trasie wyprawy

„P—G”?... ~

Westchnąłem. Przypomniałem sobie Kirsti, Wiktora i innych. Słyszałem ich tutaj, na tym globie, na wiele wieków wcześniej, zanim stał się pustynią. Widać program, który podsunąłem materii w pierwszych stadiach jej istnienia, nie dotyczył wszystkich planet, pozostających w gwiazdnych ekosferach. Te pancerne koty, pająki i myszy wyginęły, zanim zdołały przekształcić się w stworzenia wyższego rzędu. A przynajmniej nie potrafiły przełamać bariery jednej, określonej rzeczywistości, tej mianowicie, w której dowiedziałem się o ich istnieniu.

— Swoją drogą — powiedziałem z wymuszonym uśmiechem — dobrze, że Blanowi nie udało się skonstruować urządzenia, które pozwoliłoby zaciągnąć od przyszłości kredyt dłuższy niż pół minuty.

Tyle tylko rodacy Stanzы mogli sobie teraz odebrać. Gdyby wtedy Blane zyskał, powiedzmy, pełną godzinę, wystartowałbym wprawdzie spokojnie i, być może, nie Zostałbym ściągnięty zaraz z dziesiątego miliarda lat na ten ogrodzony plac w próżni, ale obecnie wylądowałbym wraz, ze Stanza na jego macierzystej planecie, której przemili gospodarze mieliby jeszcze do dyspozycji pięćdziesiąt dziewięć minut i trzydzieści sekund, żeby się z nami rozprawić. Niczego nie byłoby już w stanie zmienić, lecz jeśli ich charakterystyka, jaką przedstawił Amosjan, nie odbiegała zbyt od prawdy, wykorzystaliby te minuty tak, że lepiej o tym nie myśleć. Na szczęście, przy całej swej technice, której zawdzięczali nieograniczoną niemal swobodę manewrowania przestrzenią i czasem, nie odgadli, co zrobił Blane. Przegapili sposobność. Wymknąłem im się po raz drugi i ostatni. Więcej okazji nie będzie. -

Spojrzałem za siebie. Kryształowy pocisk zmałał do rozmiarów wbitego w ziemię odprysku szkła. Odniosłem też wrażenie, że odrobinę przechylił się na bok. No, cóż. Może się pomyliłem. Może nie będzie stać tutaj wiecznie. Wiatr wywieje pył spod jego podstawy i wtedy upadnie. Minie rok, tysiąc lub sto tysięcy lat, przylecą z Ziemi paleoplanetolodzy, zaczną przeczesywać pustynię, znajdą go... a ja będę milczał. Nie pisnę słówkiem.

— Linie Hagert — powiedziałem. —• Wtedy będziesz milczał już od bardzo dawna. We wzorcu, który podniosłeś 'do początków wszechświata, nie było nic, co takim jak ty istotom mogłoby zapewnić nieśmiertelność. Trzeba było wcześniej o tym pomyśleć.

Poczułem pragnienie. Pochwyciłem wargami ustnik i lekko naciskając go zębami, uruchomiłem podajniczek. Pociągnąłem kilka łyków odżywczego płynu, wyprostowałem się, pokiwałem głową, jakby przyznając sobie rację, po czym ruszyłem w dalszą drogę.

Nie spieszyłem się. Stawiałem stopy z rozwagą, ostrożnie, aby nie wbić ich zbyt głęboko w miążki piasek. W pewnym momencie przypomniałem sobie o mikroskopijnych czujnikach przytwierdzonych od wewnątrz do kasku. Przyjrzałem im się uważnie. Działały tylko dwa. Pierwszy powiedział mi, że mam jeszcze stosunkowo dużo wody i żywności, drugi natomiast, że zapas energii w ogniwach skafandra wystarczy najwyżej na pół godziny. Okrągle oczka

Wskaźników promieniowania i temperatury, a także wielobarwny wiatraczek, kft&ry zazwyczaj informuje odzianego w kosmiczny strój astronautę o składzie atmosfery, były ślepe i martwe. No, tak. Skroili ten skafander na moją miarę i wyposażyli go we wszystko, co mogło człowiekowi dawać złudzenie, że uczestniczy w zwykłej, ziemskiej wyprawie, niemniej fikcja pozostała fikcją.

Powoli odpiąłem kryzę, mocującą kask. Najpierw odchyliłem go tylko odrobinę, wpuszczając próbkę pustynnego powietrza. Było gorące i, jak należało oczekiwać, suche, ale poza tym oddychało się nim zupełnie normalnie. Mimo to po chwili zapiąłem kask z powrotem. Postanowiłem ponawiać tego rodzaju eksperymenty co parę minut. Atmosfera, pozornie tak swojska, mogła przecież zawierać jakieś niebezpieczne domieszki, których działanie ujawniało się dopiero po upływie pewnego czasu. Skądinąd nie wolno mi eksperymentować zbyt długo. Muszę jak najoszczędniej gospodarować resztkami energii. Klimatyzator potrzebuje przecież prądu, a ja przekonam się dopiero, jak jest tutaj w nocy. Muszę maksymalnie, na ile mnie stać, przedłużyć oczekiwanie, a wraz z nim nadzieję. Wróciłem do zwykłego, stałego czasu. Trzeba zatem wrócić i do nawyków, wyniesionych z dobrej astronautycznej szkoły. Liczy się każda sekunda, każdy jej ułamek. Każdy może zdecydować o przetrwaniu.

Minęła godzina. Zostawiłem za sobą połowę drogi, dzielącą porzucony statek od kępy krzewów. Atmosfera nie zawierała chyba szkodliwych związków. Z pewnością dałyby już o sobie znać. Zdjąłem kask, przytroczyłem go do pasa i niemal natychmiast zacząłem się pocić. Z nieba płynął bezlitosny żar, chwilami musiałem walczyć ze sobą, by wciąż nie sięgać dłonią do głowy i pleców, płonących, jak mi się zdawało, żywym ogniem. Ale szedłem dalej, zadając sobie gwałt, by oddychać śmiało, pełną piersią, w rytm kroków. Mój marsz, gdyby go przedstawić graficznie, przypominałby wykres pracy archaicznej pompy. Pięć, sześć metrów w górę łagodnego zbocza, metr po przyplaszczonym, jakby zdeptanym wierzchołku, następnie w dół, znowu w górę i znowu w dół. Tak w nieskończoność.

— Spacer znikąd donikąd — powiedziałem. Mój głos rozbiegł się po otwartej przestrzeni tak, że ledwie go dosłyszałem. — Cóż, przyjmując „propozycję” Stany, żeby użyć jego określenia, zdecydowałem się przecież na emigrację. Nie wiedziałem tylko, jak ona będzie wyglądać. No, to teraz już wiem.

Dotarłem w końcu do skraju lasu, mniej gęstego i mniej zielonego, niż się spodziewałem. Wkroczyłem pomiędzy poczerniałe łodygi i rozpychając je bez trudu rękami brnąłem dalej, niewiele wolniej niż do tej pory. Wiotkie pnie krzewów były u dołu zupełnie gołe, a w górze wieńczyły je tylko nastroszone kępki liści, podobne do piór, przez które bez przeszkód mogłem obserwować niebo. Panował tu jednak chłód, przynoszący ulgę. Przyszło mi na myśl, że może, znajdując w okolicy wodę, bez której nie utrzymałyby się nawet te żalosne szczątki dziewiczej zieleni, nie ustałem jednak w marszu, aż znowu ujrzałem przed sobą otwartą, spieczoną słońcem pustynię, z tej strony lasu płaską jak taca. Widnokrąg zmienił barwę na jasnooliwkową i przybliżył się. A na pierwszym planie lśniły niepokalaną bielą rozległe zabudowania miasta.

— Gorąco — mruknąłem pod nosem. Zamknąłem powieki itrzymałem je przez chwilę mocno zaciśnięte, jakbym po przebudzeniu z najgłębszego snu zbyt szybko otworzył oczy i musiał wrócić na moment w krainę mroku, żeby spokojnie przygotować się na przyjęcie dnia. Ale kiedy znowu spojrzałem przez ostatnie wątle gałązki na równinę, miasto trwało nadal, ciche, niewzruszone, wyrastające wprost z burego piasku, tak jak z oceanu wyrastają śnieżne szczyty rezerwatu arktycznego.

Miasto.

Może natura istotnie nie działa już metodą prób i błędów, ale światem, wszystkimi światami nie przestał rządzić przypadek. Wylądowałem nie tam, gdzie chciałem, tylko tam, gdzie chciał statek. Opuściłem go i poszedłem przed siebie, obrawszy za cel marszu pierwszą lepszą kępkę dwumetrowej trawy. A minąwszy ją, od razu trafiłem do miasta.

— Nie marzyłem o białych gmachach, domkach, białych skwerach i ulicach — powiedziałem, potrząsając głową. — A gdybym nawet marzył, to przecież tym razem nie tkwię w żadnej półżywej przezroczystej substancji, która pośpieszyłaby natychmiast spełnić wszystkie moje ukryte pragnienia. Wiem. To fatamorgana. Wszak jestem na pustyni. Zresztą przekonamy się. W razie czego zawsze zdążę wrócić pod ten daszek — wzniosłem oczy w

górze. — Wrócę, zdrzemnę się, po czym przystąpię do kopania studni. Ale gdyby przypadkiem to miasto istniało naprawdę, może mógłbym sobie oszczędzić tego trudu.

Wychodząc z cienia mimo woli westchnąłem. Nie obejrzałem się jednak ani razu. Po kilku pierwszych krokach wpadłem w dawny rytm marszu, który nie stał się ani odrobinę łatwiejszy, chociaż szedłem teraz przez równinę. Za to grunt był bardziej miękki i grząski, a upał coraz trudniejszy do zniesienia.

Znowu minęła godzina.

Nie, te harmonijnie piętrzące się bryły domów nie miały nic wspólnego z fatamorganą. Tu istotnie zbudowano miasto. Tyle że bardzo dawno temu. I dawno je opuszczono.

Dokładnie tak, jak mi się zdawało, kiedy patrzyłem stojąc na skraju dalekiego już lasu, kompleks zwartej zabudowy wyrastał prosto z pustyni, nie poprzedzony żadnymi drogami, przedmieściami czy ochronnymi pasami zieleni. W pewnym momencie kończył się lotny pył, a zaczynały pionowe, białe jak kreda ściany. Widniały w nich duże, prostokątne okna, witające każdy mój ruch drobnymi

ukłuciami światła.

Myślałem początkowo, że mam przed sobą ruiny, że kiedyś wszystko tu wyglądało inaczej, ale zmieniłem zdanie ujrawszy pierwsze ulice, prowadzące pomiędzy domy. Były czyste jak świeżo wymiecione. Gdyby to pustynia zabrała temu miastu jego przedpola; języki brunatnego piasku sięgałyby z pewnością wszędzie, zaścieniałyby jezdnie i chodniki, wciskałyby się do okien -i pod progi. Tymczasem linia frontowych ścian stanowiła jakby niewidzialną granicę, której nie wolno było przekroczyć niczemu, co stanowiło naturalną część tego globu. Bo miasto samo do niego nie należało. To zrozumiałem od razu. Powstało jako baza przybyszów z innego układu lub tylko z sąsiedniej planety. Spełniło swoje zadanie i trwało teraz martwe, wyniosłe, niby biały pomnik ducha eksploracji.

Szedłem szeroką ulicą, wyłożoną twardą, szorstką masą. Stojące przy niej domy nie były wysokie. Dwa do czterech pięter. Zbudowano je bardzo regularnie, zbyt regularnie, gdyby chodziło o miasto mające swoją • historię, nasyconą gustami i potrzebami kolejnych pokoleń żywych mieszkańców. A może z jakichś powodów lokatorzy, dla których postawiono te bloki, nigdy się do nich nie

wprowadzili?

W tym momencie dotarło do mojej świadomości, że nie słyszę dźwięku własnych kroków. A przecież powinny się odbijać głośnie echem od ścian tego kamiennego korytarza jak od skalnych zboczy górskiego wąwozu.

Zwolniłam, zrobiłem jeszcze parę kroków, po czym stanąłem. Wokół panowała zupełna cisza. Doznałem tego samego uczucia, co w owej czarnej chmurze, za którą czekały obce szkieletowate istoty wraz ze swoim statkiem. Tylko że tutaj doskonałą czerń zastąpiła biel, równie doskonała, martwa i pusta.

Rozejrzałem się. Do każdego z budynków prowadziły prostokątne drzwi, poprzedzone jednym, szerokim stopniem. Wszystkie były szczelnie zamknięte. Wahalem się przez chwilę, ale w końcu, wzruszywszy ramionami, podszedłem do najbliższego domu, wkroczyłem na niski schodek i niezbyt mocno uderzyłem otwartą dłoń w białą tak jak ściany bramę. Ani drgnęła. Wtedy dopiero spostrzegłem przytwierdzone do drzwi na wysokości głowy niewielki, płaski krążek. Ostrożnie dotknąłem go wskazującym palcem i natychmiast cofnąłem rękę. Nic się nie stało. Nacisnąłem mocniej, z tym samym rezultatem. No, tak. Dom nie był przygotowany na przyjęcie gości. Nikt tu nikogo nie oczekiwał...

— Nie, to nie — mruknąłem, ruszając w dalszą drogę. — Nie będę się napraszał. Zawsze przecież byłem nieśmiały i delikatny. Niech sobie śpią...

Kilka minut później wyszedłem na rozległy, kwadratowy plac, pośrodku którego stał okazały, sześcienny gmach zwieńczony ażurowymi lustrami radiolatarni i wysokimi, rozwidlającymi się w górę pęczkami wysmukłych prętów. Anteny. A więc nie pomyliłem się. Miasto było tylko kosmiczną pracownią.

Okrzyżłem plac, odnalazłem po przeciwnej stronie przedłużenie ulicy, którą szedłem dotychczas, i nie przystając ani na chwilę, tym samym równym krokiem zacząłem oddalać się od centrum. Zapewne całe osiedle postawiono na planie kwadratu. Najpierw założono

ośrodek badawczy, a potem opasano go mieszkaniami. Dla kogo? No cóż, w każdym razie dla istot przynajmniej w swym zewnętrznym kształcie podobnych do ludzi. Świadczyły o tym rozmiary domów i drzwi, szerokość chodników i wysokość okien. A może byli tu po prostu badacze z Ziemi? Może w naszej obecnie obowiązującej przeszłości podejmowaliśmy już dalekie wyprawy, zakładali podobne białe miasta i zostawiali je potem nietknięte, jakby z ukłonem pod adresem ewentualnych przyszłych mieszkańców?

Uśmiechnąłem się. Tak mógłby powiedzieć Amosjan... oczywiście dawny Amosjan, ten, którego znałem dostatecznie dobrze, by mieć prawo zgadywać, co mógłby powiedzieć, a czego nie. Będzie mi go brakowało...

Przystanąłem, otarłem pot z czoła i spojrzałem przed siebie. Już dawno zauważyłem, że horyzont łączy się z niebem dziwnie wysoko i jakby coraz bliżej. Musiałem nieźle zadziierać głowę, chcąc odnaleźć nad sobą owe niemal niedostrzegalne pasemko mgły, stanowiące granicę lądu. Teraz nagle odkryłem, że to, co brałem dotąd za dalszą część pustyni, rozpościerającą się za miastem, było powierzchnią morza. Przybysze osiedlili się nad morzem. Jakież to naturalne... Oczywiście, potrzebowali wody. Morze stanowiło interesujący obszar badawczy. Ułatwiało transport. Ale czy niezależnie od tych praktycznych względów po prostu nie lubili patrzeć na fale? A teraz, kto wie, może bawią właśnie na urlopie, nad jakimś swoim szumiącym Pacyfikiem...

Zacząłem znowu iść, bezwiednie przyśpieszając kroku, aż nagle zobaczyłem morze zupełnie blisko. Domy rozbiegały się w lewo i w prawo, a dokładnie na wprost mnie wyrósł niewielki płaski budynek nakryty srebrnobiałym dachem, który błyszczał w słońcu jak świeżo zlany wodą. Do wnętrza pawilonu wiodły szerokie, otwarte na oścież drzwi, naprzeciw których znajdowały się drugie, wychodzące wprost na keję. Znalazszy się w środku stwierdziłem, że ten lśniący dach jest przezroczysty jak najcieńsze szkło. Równocześnie jednak rzucał jakiś dziwny cień, zapewniający schronienie przed palącymi promieniami słońca. Przeszedłem przez cały pawilon, minąłem nabrzeże i wkroczyłem na krótkie molo, wyłożone tym samym tworzywem, co nawierzchnia ulic. Dotarłem do samego zaokrąglonego cypla i wtedy dopiero usiadłem, tak samo jak pierwszego wieczoru po przylocie do Aitheropolu, z nogami luźno zwieszonymi nad wodą. Przechyliłem się do tyłu, oparłem na wyciągniętych rękach i spojrzałem na morze.

Nie było żadnych fal. Absolutnie żadnych. Jak okiem sięgnąć gładka, matowa płyta, pozbawiona najdrobniejszych bodaj zmarszczek. Wszystkie morza, jakie widziałem w życiu, posyłały w stronę lądu. swój specyficzny, pachnący oddech. To morze nie oddychało. Posiedziałem parę minut, po czym wstałem. Woda była ciemnoniebieska, zmętniała i w swojej martwocie przypominała brudną sadzawkę, ściętą lodem przy bezwietrznej pogodzie. Nawet gdyby to miasto za mną stało teraz w ogniu, nie przyszłoby mi na myśl szukać w niej ochłody.

Odróciłem się i powoli, noga za nogą, wróciłem do budynku na nabrzeżu. Tam był przynajmniej cień, jeśli już, wobec zupełnego bezruchu powietrza, i otwarte na przestrzał drzwi nie obiecywały orzeźwiającego przeciągu.

Znalazszy się w pawilonie, zacząłem szukać jakiejś deski czy skrzynki, na której mógłbym wygodnie usiąść. W pewnym momencie mój wzrok padł na osobliwego kształtu wąski, wysoki stolik, umieszczony w rogu, pod ścianą zamykającą budynek od strony miasta. Nie potrafiłbym powiedzieć, dlaczego ten widok przykuł moją uwagę i sprawił, że na chwilę wstrzymałem oddech. Może od razu dostrzegłem grę kolorów, tak niezwykłych w tym królestwie idealnej bieli, ale wtedy nie zdawałem sobie z tego sprawy. Szedłem jak zahipnotyzowany, nie myśląc o niczym i bezwiednie starając się stąpać jak najciszej, chociaż także i tu moje kroki nie budziły najstąbszego echa. Dopiero kiedy byłem już całkiem blisko, uprzytomniłem sobie, że ze stolika mrugają na mnie pastelowe lampki.

Stałem. Obok lampek wprawiono w matową, lekko skośną płytę wypukły prostokąt z dziewięcioma przyciskami, na których widniały cyfry o prostym, a jednak niepowtarzalnym rysunku. Nie mogłem się mylić, tak jak nie pomyliłby się autentyczny bibliofil odnalazłszy tekst złożony czcionką, używaną niegdyś przez jednego jedyne drukarza. Zresztą któż jak nie oni posłużyłby się tutaj ziemskimi cyframi? Bo przecież ani przez chwilę nie traktowałem poważnie przypuszczenia, że to ludzie zapędzili się kiedyś tak daleko.

Małeńki pulpit sterowniczy szkoleniowych programów holowi-zyjnych, zdobiący biurko w „kąciku mieszkalnym”. Podziemny ośrodek. Stanza.

Tuż koło stolika, w pełnym świetle przepuszczanym przez srebrno-szklany daszek, leżały trzy granatowe peleryny.

— Brakuje kartki: „Z najlepszymi- życzeniami od Boba” — powiedziałem chrapliwym i cienkim głosem. Odchrząknąłem. — Brakuje także innych rzeczy. Owalnej czapeczki z długim, śmiesznym daszkiem, furażerki z opuszczonymi klapkami, a także rozciągniętej, wełnianej pończochy.

Podniosłem wszystkie trzy peleryny i przerzuciłem je sobie przez ramię.

— Pozdrowienia od Pana Boga, Bob — mówiłem dalej, patrząc w gwiazdki, migające na zaimprovizowanym pulpicie. — Stwórcy, którego sam stworzyłeś — dodałem z uśmiechem. — Dzisiaj nie będę już ruszał tych klawiszy. Skończyłem szkołę, prawda? A w każdym razie mam właśnie wakacje. Poza tym nie wiem, czy te lampki świecą dla mnie, czy dla ciebie. Może świadczą o pracy jakiegoś nadajnika czy urządzenia, które prowadzi was teraz przez czasy i przestrzenie do waszej, już pięknej i pogodnej, ojczyzny? Staliście przecież obok siebie, tutaj, gdzie teraz ja.

Ale w takim razie moje lądowanie na tym właśnie globie nie było przypadkowe, jak myślałem. Czemu nie zostawiliście mi żadnej wskazówki? Czy też wszystko, co chcieliście mi powiedzieć, mówią za was te lampeczki? Niestety, Bob, nie znam ich języka. Umiąłem tylko naciskać guziki i patrzeć w ekrany, na których raz

jeszcze rodził się świat. W tym momencie z zewnątrz dobiegł jakiś przyciszony dźwięk, Nie oczekiwałem gości, ale mimo woli zacząłem nasłuchiwać, nie odrywając na razie oczu od tych światełek, mrugających tak dobrodusznie, jakby chciały mi dać do zrozumienia, że nie powinienem zrażać się własną niewiedzą, bo różnice między rozumnymi istotami są doprawdy nieistotne wobec łączącej ich ciekawości i niecierpliwości.

Nad przezroczystym dachem przemknął cień. Odczekałem chwilę, a następnie podszedłem do drzwi i ostrożnie wystawiłem na zewnątrz głowę. Nic się nie zmieniło. Miasto stało jak dekoracja do filmu, którego w końcu nie nakręcono, zbyt schludne, zbyt regularne i zamknięte jak opuszczone magazyny. W powietrzu, na lądzie, w wodzie nadal ani śladu życia lub choćby najbardziej leniwego

ruchu. A więc przywidzenie?

Nie. Nagle usłyszałem głośny, wysoki świergot, jaki wydają sprężarki sond. Zza wystającego okapu wyłonił się lecący zaledwie dziesięć metrów nad przybrzeżną ulicą dość duży, owalny pojazd. Znałem go doskonale. Uczestnicy wyprawy „P — G” nazywali go, jak wspominałem, paletą.

Cofnąłem się o ułamek sekundy za późno. Rzecz jasna, nie musiałem uciekać, jeśli jednak chciałem się ukryć, to nie zdążyłem.

— Lin!!! — zabrzmiał dziwnie zduszony, zniekształcony głos. — Liiin!!!

Spojrzałem na peleryny, zwisające z mojego ramienia. Gdyby tam, w tym pojeździe był Stanza, umiałby się ze mną porozumieć inaczej.

— Tu nikogo nie ma — powiedziałem cicho. — Jestem po prostu bardzo zmęczony. Muszę odpocząć. Inaczej zacznę widzieć i słyszeć nie takie rzeczy...

— Lin!!!

Paleta zniżyła się i wypuściła drabinkę. W otwartym włazie zamajaczył teleskopowy wysięgnik roboczego automatu. W następnej chwili zniknął, ustępując miejsca ludzkiej głowie, uzbrojonej w kask. Za przezroczystą osłoną tego ostatniego ujrzałem znajomą twarz. Wiktor wychylał się tak, że ktoś musiał trzymać go wewnątrz za nogi, bo inaczej z pewnością wypadłby z pojazdu. Dostrzegłszy mnie, znieruchomiał na moment, a następnie gwałtownym ruchem uderzył się kilkakrotnie w wierzchołek kasku.

— Dobrze, dobrze — mruknąłem. — Tylko bez paniki... Nie śpiesząc się, odpiąłem od pasa hełm, nałożyłem go, przymocowałem do kryzy skafandra i w tym samym momencie usłyszałem

przeraźliwie głośny krzyk.

— Lin!!! Co się stało?!!! Już idziemy!!!

— Nic się nie stało — syknąłem, odruchowo potrząsając głową. — Przynajmniej jak dotąd.

Ale zaraz popękają mi bębenki. Dlaczego tak wrzeszczysz?

— Czemu zdjąłeś kask? — głos w słuchawkach zabrzmiał odrobinę ciszej. — Sam badałeś tutejsze powietrze i wiesz, że ma domieszki halucynogenne?!

— Już go przecież włożyłem — powiedziałem pojednawczym tonem. — Więc mam urojenia? To by mi nawet dogadzało...

— Lin? Jak się czujesz? — spytał niewidoczny Oleg.

— Tak sobie. Ujdzie.

Wiktor nie tyle schodził, ile zjeżdżał po drabince, jak żegnany brawami akrobata, który chwilę temu zakończył szczególnie efektowny występ. W ślad za nim podążał mały, pomocniczy robot podobny do pająka, snującego za sobą mocną, lśniąca nić. W otwartym włazie ukazała się twarz Lukasa.

— Ty także chcesz obejrzeć człowieka, którego nie ma?

— Lin, proszę cię, czekaj spokojnie — powiedział szybko Wiktor. Twarz Paga zniknęła.

— Co wy wyprawiacie?! Nie mogę nastawić kamery — niecierpliwił się Oleg.

Lambert był już na dole. Zrobił kilka kroków w moją stronę i nagle stanął. Obejrzał się. Zrozumiałem, że czeka na automat, który marudził jeszcze w powietrzu.

— Możesz podejść — zapewniłem go. — Nie powiedziałem przecież, że jestem niebezpieczny, tylko że mnie nie ma. Boisz się duchów?

Wargi Wiktora wykrzywiły się w niepewnym uśmiechu. Zaczął znowu iść i szedł aż do chwili, kiedy jego wzrok padł na peleryny, przewieszane przez moje ramię. Wtedy zatrzymał się ponownie.

— cę tam masz?

— To na wypadek deszczu. Albo gdybym musiał ukryć swoje prawdziwe kształty przed istotami z innych planet, których zmysł estetyczny nie pozwoliłby im znieść widoku workowatego kadłuba, unoszonego na dwóch łamliwych słupkach i zakończonego u góry nieregularnym włochatym arbuzem z sześcioma otworami, w tym jednym podwójnym. Czy nigdy nie przyszło ci na myśl, jacy jesteśmy paskudni? A tak liczyłem na nową historię ewolucji. Ale cóż, posłałem jej informacje zaczerpnięte od człowiek a...

— Nie denerwuj się, Lin. Czy... jak to?... Peleryny?... Skąd je wzięłeś?

— Czytałem kiedyś legendę o kimś, kto podzielił się z rzekomym biedakiem własnym płaszczem i został potem za to sownie wynagrodzony. Te peleryny dostałem od pocziwych, kosmicznych przechodniów... i możesz być pewny, że potraktowałem ich me gorzej niż bohater owej legendy, której szczegółów, niestety, nie pamiętam — wciąż wydawało mi się, że mogę żartować swobodnie, ponieważ jest rzeczą absolutnie niemożliwą, żeby Wiktor", Oleg i Lu-kas byli tutaj naprawdę. — Skąd wiedzieliście, gdzie jestem? — spytałem tym samym lekkim tonem.

— Co, co?... nic nie wiedzieliśmy... — wymamrotał Wiktor, najwyraźniej pochłonięty bez reszty wpatrywaniem się w to, co spoczywało na moim ramieniu. A były to tylko trzy niewinne, granatowe okrycia. — Aha, skąd wiedzieliśmy?! — ocknął się wreszcie. — Lin, przecież polecałeś na rekonesans. Rozbiłeś się gdzieś w tej okolicy... ale automatyczny nadajnik twojej sondy widocznie ocalał. To jego sygnały zaprowadziły nas do ciebie... całe szczęście, że nie za późno. Czy rzeczywiście nic nie pamiętasz?...

— Ależ pamiętam, pamiętam! — zawołałem, patrząc na niego z wyrzutem. — Tylko widzisz, to było trochę inaczej. Sonda nie ocalała. W ogóle nie mam pojęcia, co się z nią stało — wtrąciłem szczerze. — To ja sam zainstalowałem w tym budyneczku — wskazałem otwarte drzwi nadmorskiego pawilonu — nader misterny nadajnik d,użej mocy. A jakie były te moje sygnały?

— No... zwykłe, namiarowe — zdecydował się w końcu podejść i dotknąć koniuszkiem palca skrawka leżącej na wierzchu peleryny. Zawahał się przez moment, po czym położył mi dłoń na ramieniu i przybliżył swoją głowę do mojej.

— Lin, znalazłeś to w mieście? — spytał patrząc mi wymownie prosto w oczy. — Wszedłeś do któregoś z domów? Dotykałeś czegoś?

— Nigdzie nie wchodziłem. Peleryny znalazłem tutaj, nad morzem, . ale widziałem je już

przedtem. Tak dawno temu, że nigdy byś w to nie uwierzył. Przed początkiem świata...

— Wiesz co — głos Wiktora stał się naraz niezwykle łagodny — nie mówmy teraz o tym. Przylecimy tu jeszcze, prawda? A na razie musisz odpocząć. Rozbiłeś się dwa dni temu... pełne dwie doby Pewnie nie masz już wody ani żywności. W dodatku chodziłeś bez kasku. Proszę ci, wracajmy...

— Nie musisz mnie prosić — uśmiechnąłem się. — I tak wróciłbym z tobą. Przecież wzywałem was i czekałem na was, czyż nie? Tylko pozwól, że przedtem jeszcze coś sprawdzę.

— Lin, naprawdę...

Uniosłem prawą dłoń w przepaszającym geście, odwróciłem się i wszedłem do otwartego hangaru. Stałem przed pulpitem, na którym przed chwilą pobłyskiwały sygnalizacyjne lampki i wpatrzyłem się w ich zmatowiałe, wygasłe oczka. Wraz z osobliwym stołem, w którym tkwiły, wyglądały tak, jakby były dziełem bawiących się dzieci, od dawna zresztą spoczywających na cmentarzu. I nagle, po raz pierwszy, zakołatała we mnie myśl, że wisząca tam, nad pawilonem paleta z Wiktorem, Lukaszem i Olegiem na pokładzie nie jest wcale wytworem mojej wyobraźni, rozkojarzonej, galopującej i nieodpowiedzialnej po wszystkim, co mi się przydarzyło od momentu rozpoczęcia ziemskiego urlopu. Lecz jeśli tak, to czy w ogóle przydarzyło mi się coś godnego uwagi? Czy jest możliwe aby we wszechświecie zaprogramowanym na nowo w pierwszy;.. ułamku sekundy jego istnienia, nie tylko ludzie wyglądali tak samo, lecz także by istniały te same nauki, te same środowiska, by przygotowano i wyprawiono tę samą ekspedycję „P — G”, w której, nie wiedząc o tym, jednak brałem udział? Aby wróciwszy na Ziemię, znalazł profesora Amosjana, nie pamiętającego naszych rozmów dotyczących sprawy Stanzji, ale wciąż darzącego mnie sympatią jako swojego ucznia? Aby na następny urlop mógł znowu wybrać się nad Pacyfik, tak samo rozfalowany, szumiący i ciepły, do pseudo-greckiego Aitheropolu? Więc może nikt nigdy nie powierzał mi żadnej „boskiej” misji? A wreszcie jeśli mimo wszystko podjąłem się takiej misji i wypełniłem ją, to czy związane z nią zdarzenia, tkwiące w mojej pamięci, miały najmniejszy bodaj związek z rzeczywistością i z czasem Ziemi? Lambert naprawdę stoi teraz za moimi plecami. Wobec tego gdzie byłem wtedy, kiedy leciałem z nimi na „Pierścień Galaktyki”, kiedy wyprawiałem się na sametny rekonesans i kiedy, straciwszy sondę, czekałem na tym spalonym globie zapewne bez cienia nadziei na to, że mnie odnajdą? Nie miałem przecież żadnego nadajnika. A oni odebrali moje sygnały namiarowe...

— Dziękuję, Bob — szepnąłem, gładząc dłonią powierzchnię wygaszonych lampek. — Nie domyśliłem się, że wasze automaty działają tylko do chwili, gdy wykonają swoje zadanie. Aparatura pokładowa twojego kryształowego pojazdu także umarła, zaledwie dotknąłem powierzchni tego ładu. Ale ty wiedziałeś, dokąd mnie ten pojazd przywiezie i wiedziałeś, że przyjdę tu, nad morze. Zawczasu ustawiłeś nadajnik, aby wezwał moich towarzyszy z innego czasu, kodem namiarowym sondy należącej do statku, przybyłego z Ziemi. Zostawiłeś peleryny. Nie potrzebowałeś ich, wracając do swoich. Jeśli twoi rodacy wyglądają inaczej niż przedtem, to są także z gruntu inni, czy nie tak? W takim razie, gdy już uda ci się do nich dotrzeć, czego ci serdecznie życzę, to co najwyżej przedstawiś się jako kosmiczny emigrant. Poprosisz o azyl. A wygląd zewnętrzny nie ma przecież żadnego znaczenia, kiedy ktoś spotyka się z prawdziwie rozumnymi istotami. Wtedy, na Ziemi, także mogłeś mi się pokazać w swojej rzeczywistej postaci, choć ja nie zasługuję jeszcze na miano istoty prawdziwie rozumnej. Ale może miałeś ra

cję? W każdym razie zachowam te granatowe, powłóczyste płaszczyki na wypadek... wiesz, o czym myślę, prawda? No, to powodzenia, Bob! — zakończyłem głośniejszym, zapominając, że nie jestem już sam. Wiktor zareagował natychmiast.

— Co mówisz?

Odwróciłem się do niego i przez chwilę patrzyłem mu chłodno w oczy. Stał lekko przygarbiony, ze zwieszonymi bezradnie rękami, wyrażając >-ałą swoją postawą niepewność i zatroskanie. Uśmiechnąłem się do niego.

— Pytałem, czy istotnie musimy już pożegnać to piękne miasto — skłamałem gładko. — Nie sądzisz, że zasługuje na dokładniejsze zbadanie?

— Lin... przecież... — zająknął się. — Jak to, pracujemy w tej okolicy od tygodnia...

oczywiście, że zostaniemy, ale teraz musisz polecieć z nami na orbitę i poleżeć trochę w salce medycznej. To powietrze na pewno przedostało ci się już do krwi i związało z...

— Od tygodnia... — przerwałem. — Aha. Od tygodnia. A ja jestem chory. Skoro jestem chory, to trzeba mnie traktować jak dziecko. Może wobec tego zechcesz mi powiedzieć, kiedy wystartowaliśmy z Ziemi?

— Lin, wszystko ci powiem po drodze...

— Kiedy?

— Co to znaczy „kiedy”? — znecierpliwiał się wreszcie. — Mierząc czas naszymi starymi, pocziwymi zegarkami, jedenaście miesięcy temu.

Na moment przymknąłem oczy i zagryzłem wargi. Zaraz jednak opanowałem się.

— Przedtem byliśmy na urlopie?

— Tak... oczywiście, że tak.

— A gdzie jesteście teraz?

— Gdzie? — powtórzył przeciągle. — Na delcie Panny. To znaczy, na czwartej planecie delty.

— Uhm — mruknąłem. — Rzeczywiście, to powietrze musi być trochę dziwne. Ale skądinąd czuję się świetnie, możesz mi wierzyć. Porozmawiajmy jeszcze przez chwilę. Więc wyruszyliśmy blisko rok temu. Wobec tego zatrzymywaliśmy się już kilkakrotnie. Odkryliśmy coś ciekawego?... Widzisz, ciągle jestem na bakier z pamięcią.

— Przypomnisz sobie — rzekł z zakłopotaniem. — Zażyjesz coś, wypisz się porządnie i jutro rano...

— Zapewne. Czekaj. Badamy to miasto od tygodnia. Czy nikt nigdy nie zajrzał do tego pawiloniku?

— Owszem. Byli tu Bengt, Jane, Arnolf, ja sam... Także Kirsti i ty wspominaliście o przystani zaraz po pierwszym rekonesansie. To przecież — wskazał ruchem ręki szerokie drzwi — jedyny, jak dotąd, otwarty budynek w całym mieście...

— Ale peleryny? — pomachałem mu przed nosem granatowymi okryciami. — I to? — przeniosłem wzrok na zaimprovizowany pulpit z paciorkami wygasłych sygnalizacyjnych lampek.

Zastanowił się przez moment, po czym potrząsnął głową.

— Będziemy musieli sprawdzić... są zdjęcia, filmy, zapisy... wątpię jednak, czy wszyscy przeoczylibyśmy rzeczy tak bardzo... — szukał przez chwilę słowa — nietutejsze — zakończył wreszcie. — Co to znaczy, Lin? Czy to naprawdę ty zbudowałeś tutaj nadajnik? Ale z czego, sk»ro twoja sonda utonęła w morzu? Nasze czujniki zlokalizowały ją przecież. Nic nie rozumiem...

— Widzisz. Sam jesteś oszołomiony. Nie martw się. Obydwaj pójdziemy grzecznie do kabiny medycznej. Jedenaście miesięcy...

— Lin, czy sądzisz, że ktoś był w tym pawilonie i zostawił te rzeczy?... Kiedy? Dzisiaj? Przedwczoraj pracowaliśmy tu pół dnia...

— Z Ziemi szliśmy napędem geonicznym, prawda? Spojrzał na mnie badawczo.

— Oczywiście. O czym myślisz? — najwyraźniej zapomniał, że ma mnie traktować jak chorego, zdanego na pastwę halucynacji, powstających w jego zgorączkowanym, rozprężonym umyśle.

Stanowczo za wcześnie. Wolałem jeszcze jakiś czas korzystać z przywilejów człowieka niepoczytalnego i stawiać najbardziej naiwne pytania, niż odpowiadać na te, które on mógł postawić.

— To, o czym myślę, nie ma żadnego logicznego sensu, skoro jestem zarażony tym narkotycznym powietrzem. Poczekaj. Postaram się wziąć w garść i za parę minut pójde z tobą do palety. Więc co najmniej przez kilka tygodni po starcie byliśmy w nadprzestrzeni...

— Co?... W... aha — pokręcił głową z niedowierzaniem. — Tak to śmiesznie nazywasz...

— Śmiesznie. Masz rację. To wszystko jest śmieszne... Umilkłem. A więc fakt, że Wiktor, Lukas i Oleg są tacy jak dawniej, że wyprawa „P—G” jednak wyruszyła i że została wyposażona w sprzęt będący tworem znanej mi świetnie ziemskiej techniki, nie świadczył absolutnie o niczym. Moja misja mogła zostać podjęta i spełniona. Mój dawny świat może już być zupełnie inny. Przecież leciałem swoim kryształowym soptem wtedy, gdy równolegle, w przesuniętej czasoprzestrzeni, wyprawa „P — G” od dawna już pokonywała kolejne odcinki gwiazdnej drogi. Jeden i drugi ja, obydwaj, choć w różny

sposób, podążaliśmy w głąb czasu, łamiąc prawa fizyki umożliwiające zgodny z zasadą ekstrapolacji, spokojny i logiczny tok ewolucji. Oczywiście nigdy nie było nas dwóch na raz, cóż znowu. W przeciwnym wypadku pamiętałbym historię tych jedenastu miesięcy. Ale mniejsza o mnie. Bo najzupełniej nieoczekiwanie ta „emigracja”, na którą się zdecydowałem, przystępując do gry zainicjowanej przez Stanzę, przestała być moją osobistą sprawą. W zmienionej rzeczywistości ja miałem pozostać i pozostałem dawnym sobą. A teraz okazuje się, że identyczny los zgotowałem moim dwudziestu siedmiu towarzyszom, którzy także w momencie, gdy ich wszechświat zaczął mieć za sobą inną przeszłość, przebywali poza obszarem przeobrażeń, poza „normalnym” z ludzkiego punktu widzenia nurtem czasu. Nie wiem, jak to się mogło stać, bo przecież wszystkie możliwe fizyki istnieją w jednym wszechświecie, ale stało się, czego najlepszym przykładem jestem ja sam. Już nie sam. W tym właśnie rzecz. Nie sam...

Dokąd wrócimy? Co zastaniemy na Ziemi? A jeśli okaże się, że w ogóle nie mogliśmy wystartować, bo ludzie dopiero zaczynają przebąkiwać o latających konstrukcjach cięższych od powietrza? Powitają nas przyjaźnie, jeśli są tacy, jacy powinni być w wyniku realizacji planów Stanzy, ale czy to nie okaże się... gorsze? Dzień dobry — dzień dobry. Skąd przybywacie? To miło z waszej strony, że wybraliście Ziemię... zobaczcie, jak tu u nas ładnie. Kiedy wracacie do siebie? Oczywiście, chcielibyśmy podejmować was jak najdłużej, ale...

— Do licha! — syknąłem.

— Co? Co? — przestraszył się Wiktor.

— Nic. Przepraszam cię — odetchnąłem głęboko. Odwróciłem się plecami do pulpitu nadajnika i wyszedłem z pawilonu na roz-

słoneczną ulicę, nad którą wisiał bez ruchu okrągły pojazd z otwartym włazem. Na tle olśniewająco białych ścian miasta był niemal czarny. — Lećmy już — rzuciłem przez ramię. — To znaczy, chciałem powiedzieć, wracajmy.

Na pokładzie palety Oleg, nie czekając, aż będzie mnie mógł oddać pod opiekę automatów medycznych w specjalnym pomieszczeniu głównego statku ekspedycji, zmierzył mi temperaturę, ciśnienie, a naatępnie długo patrzył mi w oczy. Znosiłem to wszystko cierpliwie do momentu, kiedy Lukas chciał mi odebrać peleryny.

— Wezmę to, dobrze? — wyciągnął rękę. Mocno przycisnąłem ramię do boku.

— Nie. Nie dam. Niech wam się zdaje, że ruszyłem na rekonesans w pelerynie. I że miałem jeszcze dwie zapasowe.

— Lin, bądź rozsądny — Lukas spojrzał na Olega, jakby szukając u niego pomocy. — Przecież trzeba je zbadać. Mogą w nich tkwić jakieś niebezpieczne mikroustroje, a poza tym musimy dowiedzieć się czegoś o istotach, które je uszyły. Tworzywo, technologia...

— Jeśli mi je weźmiesz, rozchoruję się naprawdę — zagroziłem. — Nie dam i już. Jesteście do niczego. Nie macie bladego pojęcia, jak postępować z wariatami.

Żaden z nich nie odezwał się więcej przez całą drogę na orbitę.

W statku, zaraz za śluzą, czekała Kirsti.

— Och, Lin! — zawołała z przejęciem. — Tak się o ciebie bałam!

— Niepotrzebnie, kochanie — powiedziałem serdecznym tonem. Wymawiając te słowa, musiałem odwrócić twarz. Jednak po krótkiej chwili ponownie spojrzałem jej prosto w oczy i nawet udało mi się uśmiechnąć. Ostatecznie byłem niepoczytalny, pozostawałem pod wpływem odurzającego gazu obecnego w powietrzu tego globu, który teraz widniał na ekranach, wielki, jaśniejszy od Ziemi, ale mniej kolorowy, a za to nieco bardziej przyplaszczony na biegunach. Poza tym gdzieś, w jakiejś przesuniętej przestrzeni, miałem przecież prawo tak mówić. Dźwięczy mi jeszcze w uszach ta rozmowa, podsłuchana w nedorzecznie gęstych krzewach porastających nie małą całą planetę, obecnie spaloną i pustynną. Podeszedłem do Kirsti, objąłem ją i przytuliłem.

— Och, Lin — powtórzyła. Oparła mi głowę na ramieniu, ale zaraz wyprostowała się i odsunęła. Ujrzałem wielkie, zwilgotniałe oczy... Nory Speyer.

Miałem przed sobą inną Kirsti. Zrozumiałem to, nie wypuszczając jej z uścisku. Czyżby więc oni jednak wystartowali już nie z tej dawnej Ziemi, którą znałem? Czy może zaszło coś między

czasami, co spowodowało, że ludzie zmienili się tylko o tyle, o ile te zmiany tkwiły w mojej podświadomości, jako pożądane wyłącznie dla mnie? Czy wreszcie w wyniku rekonstrukcji wszechświata zgodnie z programem, przygotowanym przez Stanzę, nie objawiło się w mieszkańcach Ziemi duchowe dziedzictwo jakichś chronologii, nie do zlokalizowania i określenia przez człowieka, patrzącego z jednego konkretnego momentu jednej konkretnej ewolucji swojego gatunku?

Wiktor, Lukas i Oleg zatrzymali się za mną i czekali w milczeniu, licząc zapewne na to, że Kirsti sama zaprowadzi mnie do salki medycznej. Wyprostowałem się i ponad jej jasną głową o sypkich, zawsze zgrabnie ułożonych włosach, zajrzałem przez otwarte drzwi do głównej kabiny. Prześliznąłem się wzrokiem po tak dobrze mi znanych twarzach, na których błąkały się nieco niepewne uśmieški.

— Paweł i Bengt mają dyżur w nawigatorni? — spytałem, ponieważ ani Kurskiego, ani Salmii nie było wśród osób zgromadzonych za progiem.

— Tak — odpowiedziała Jane. — Bruno zresztą także. To właśnie on zlokalizował twoje sygnały — uśmiechnęła się, ale zaraz spoważniała i spojrzała znacząco na Kirsti. — Aparatura diagnostyczna jest przygotowana — zniżyła głos.

— Dziękuję — zrewanżowałem jej się uśmiechem. — Ale nie ma pośpiechu. Wiesz, to zadżumione powietrze wywołuje wyłącznie miłe, a nawet wręcz rozkoszne omamy i napełnia umysł niezemską pogodą. Jestem teraz tak łagodny, że nie powinniście mnie wypuszczać ze statku tam, gdzie istnieje możliwość spotkania innych cywilizacji, ponieważ owładnięty przemożną tkliwością mógłbym zapomnieć o żelaznej regule: „Nieograniczona odpowiedzialność względem Ziemi”. W momencie, kiedy to powiedziałem, dostrzegłem biegnący przez całą ścianę kabiny napis: „Nieograniczona odpowiedzialność wobec wszystkiego, co żyje”. Od razu stanęła mi przed oczami pamiątkowa tablica na poziomie obserwacyjnym Stacji Alberta. A więc zmieniło się i naczelne hasło „P—G”. Znowu powiedziałem coś, co moich biednych towarzyszy musiało utwierdzić w przekonaniu, że bieganie bez kasku po planecie białego miasta gruntownie pozbawiło mnie władz umysłowych. Zresztą, czy byli tak dalecy od prawdy? Skąd na przykład wzięła mi się ta gadatliwość, stanowiąca krzyczące zaprzeczenie moich dotychczasowych, dobrych obyczajów?

— Wyglądasz prześlicznie — zwróciłem się znowu do Jane, której delikatna twarz, okolona czarnymi, lśniącymi włosami natychmiast pociemniała o jeden odcień. — Jak wy to robicie, dziewczyny, że w miarę upływu lat, ziemskich i gwiazdnych, jesteście coraz ładniejsze? Założę się, że kiedy wreszcie wrócimy, wy będziecie wyglądać jak nasze wyjątkowo udane wnuczki...

— Chodź już — Kirsti wysunęła się lekko z moich ramion. — Naprawdę potrzebujesz pomocy. Zobaczmy, co orzeknie komputer, a potem, niezależnie od diagnozy, zrobię ci okład z lodu.

Komputer wykrył w mojej krwi obecność pewnych zdradliwych alkaloidów, co od razu poprawiło humory zwłaszcza Wiktorowi, Olegowi i Lukasowi jako tym, którzy wysłuchali moich pierwszych pytań oraz moich wywodów na temat powabów ludzkiego ciała, dzielenia się płaszcami z mieszkańcami kosmosu i własnej nieobecności. Bo mimo że z miejsca uznali to, co mówiłem, za mającenie porażonego umysłu, to jednak nie pozbyli się niejasnych domysłów i niepewności, związanych z niezaprzeczalnym faktem, że miałem przy sobie peleryny, z całą pewnością nie pochodzące z naszego statku i że czekałem na nich przy nadajniku, którego nie mogłem zbudować. Teraz, choć obecność granatowych okryć i pochodzenie moich sygnałów namiarowych nie przestały być zagadką, to przynajmniej jedno stało się pewne, a mianowicie, że rewelacje, jakimi ich przyjąłem, wynikały wyłącznie z chorobliwych urojeń. Skwitowałem ten wyrok pełnym godności milczeniem.

Zjadłem lekki obiad, po czym pozwoliłem zaaplikować sobie potężną dawkę specyfików, zaordynowanych przez zespół diagnostyczny, a następnie zaprowadzić się do małej kabiny, urządzonej kubek

w kubek tak samo, jak mój dawny pokój na „Araracie”. Ulokowano mnie na wygodnym, rozłożonym fotelu i nakryto puszystym pledem. Kiedy wszyscy prócz Kirsti wyszli, życząc mi szybkiego powrotu do zdrowia, odetchnąłem głęboko i uśmiechnąłem się.

— Będziesz czuwać przy moim łóżku? — spytałem. — To dobrze. Choć i tak miałbym przyjemne sny. Chodziłbym sobie po szerokich ulicach białego miasta, pod rękę z pielęgniarką o brązowych oczach. Czy lubisz psy? Na przykład rudozłote spaniele?

Pochyliła się szybko, pocałowała mnie w czoło, po czym usiadła w nogach fotela.

— To zamiast okładu z lodu? W takim razie musisz powtórzyć kurację — stwierdziłem. — Wcale nie czuję chłodu... rzekłbym, że wręcz przeciwnie. Wiesz, dzieje się ze mną coś dziwnego. Mam szaloną ochotę mówić. Nie poznaję samego siebie. Owszem, tak się jakoś składało, że przez kilka ostatnich dni usta mi się nie zamykały. Ale aż do tej chwili nie zdawałem sobie sprawy, że po prostu rozpiera mnie niepoohamowane pragnienie wydawania głosu. Jak tak dalej'pójdzie, to zacznę śpiewać.

— No, nigdy nie należałeś do milczków — powiedziała. Nigdy? Ja? Świetnie. Jak nigdy, to nigdy.

— Więc jestem gadułą? Do tego od urodzenia? — pokiwałem głową. — W takim razie nic się nie zmieniło, prawda. To co z tym psem?

— Przecież wiesz, że je lubię. Po powrocie...

— Ale musi być spaniel — nie pozwoliłem jej skończyć. — Nazwiemy go „Góro”.

— „Góro”? Dlaczego akurat „Góro”? Czy to coś znaczy?

— Nie wiem... przepraszam, oczywiście, że znaczy! „Góro” to szczęśliwe imię. W każdym razie będzie szczęśliwe dla naszego psa. Gdyby kiedyś znalazł się w niebezpieczeństwie, gdyby powiedzmy miał spaść ze skały, zawsze znajdzie kogoś, kto go uratuje. Choćby ten ktoś przebywał wtedy w innym' czasie.

— Powinieneś jednak starać się zasnąć — powiedziała łagodnie, po krótkiej pauzie.

— Poczekaj. Jeszcze trochę pomajacę. To takie przyjemne, wiesz? Zwłaszcza kiedy siedzisz przy mnie, z tym zatroskanym spojrzeniem i pogodną miną, która ma mi dowieść, że nie potrzebuję niczyjej troski, bo jestem zdrowszy niż kiedykolwiek. O czym to mówiliśmy? A, o psie i o czasie. Właśnie. Pomińmy na razie psa. Chciałbym wiedzieć, czy w czasie minionych jedenastu miesięcy byliśmy kiedyś razem na planecie mniej więcej tak dużej jak ta pod nami, tylko całej za wyjątkiem mórz porośniętej koszmarnie poplątanymi krzakami i czy przedzierając się przez te krzaki nie spotkaliśmy jakichś okrytych łuską kotów, jakiegoś pająka — niepają-ka, myszy — niemyszy? A także, czy umilaliśmy sobie wędrówkę beztroskimi pogwarkami na tematy osobiste... między innymi o tym, że się kochamy?

— Lin, doprawdy lepiej będzie, jeśli teraz pójdę. Rzeczywiście jesteś dzisiaj bardziej rozmowny niż zwykle. Musisz leżeć spokojnie i odpoczywać, a moja obecność najwyraźniej ci w tym przeszkadza... pomimo że się kochamy — zaśmiała się cicho.

— Najpierw mi odpowiedz.

— Nie. Nie byłem na takiej planecie i mam nadzieję, że nigdy nie będę. Pająki? Brrr... Lin, przyrzekasz, że postarasz się zasnąć?

— Jaka wartość mogą mieć przyrzeczenia człowieka, któremu trzeba kłaść łód na głowę i który już przeszło godzinę bez przerwy mówi, w dodatku od rzeczy?

— Proszę cię...

— Dobrze — spokorniałem nagle. — Przyrzekam. Będę spał jak dziecko. Gdy tylko wyjdiesz, postaram się nawet przyjąć pozycję embrionalną. Zresztą w pewnym sensie jestem naprawdę oseskiem... nie, ja nie. Wszyscy, tylko nie ja. Dobrze już, dobrze. Widzisz, zamykam oczy. Pocałuj mnie jeszcze raz i idź. Dziękuję...

Poczułem na czole dotknięcie jej warg. Były chłodne. Może rzeczywiście miałem gorączkę?

— Dziękuję — powtórzyłem ciszej. Nie odpowiedziała. Odczekałem chwilę, po czym otworzyłem oczy. Zostałem sam.

Dłuższy czas leżałem bez ruchu, patrząc w sufit i uśmiechając się do siebie. Wreszcie westchnąłem

— Jeśli się spokojnie zastanowić — powiedziałem cicho — to cała ta historia, która komuś trzeciemu mogłaby się wydawać zupełnie zdumiewająca, nieprawdopodobna, a nawet podejrzana, jest całkiem zwyczajna. Najzwyczajniejsza pod słońcem. Jest wręcz banalna. Bo czymże, jeśli nie tworzeniem geometrii, integrującej przestrzeń materii nieożywionej i przestrzeń życia zajmowali się moi przodkowie, ilu ich tam było, od kiedy pierwszy z nich wyszedł rano z jaskini, ziewnął i powiedział: a niech to wszystko szlag trafi!? Że zbyt raptownie i że w taki osobliwy sposób? Głupstwo. Drobnym kolaps czasowy, jak ten, dzięki któremu mogłem teraz patrząc na Kirsti widzieć Norę Speyer. Ze akurat ja? No to co? Każdy, w kręgu oddziaływania swojego pola biologicznego, zmienia życie sobie i innym, choć o tych "innych" najczęściej nic nie wie. Owszem, to źle, że nie wie. Może nawet tu właśnie tkwi źródło wszelkich za-wichrowań, nieustannie spychających cywilizacje z najkrótszej i najlepszej drogi do celu? Ale nie przesadzajmy. Ja na przykład zawsze pamiętałem o innych i wiem, że zmieniłem świat, natomiast nie mam bladego pojęcia, jak go zmieniłem, a także czy owa zmiana przyniesie pożądane skutki. Która z tych dwóch wersji tej samej niewiedzy jest lepsza dla mnie, dla jednostki kształtującej wspólny czas na swój obraz i podobieństwo, a za to gorsza dla świata?

Naprawdę mam gorączkę. Komputer się nie myli. Jestem chory. Inaczej nie patrzyłbym teraz w sufit z tym beztróskim uśmiechem, zamiast dygotać ze strachu, wyobrażając sobie moment powrotu. Jaką Ziemię odnajdę?

Pomilczałem chwilę, po czym wzruszyłem ramionami i dodałem:

— Tak czy owak będzie to Ziemia. Człowiek, który potrafi sięgnąć, choćby nie w kryształowym statku, a tylko myślą, do pierwszej sekundy dziejów po to, by za miliardy lat jakiś Stanza nie miał kłopotów z własnymi ziolkami, by jakiś Amosjan nie musiał z głęboką troską mówić o Wschodzie i Zachodzie, by jakiś Lin Hagert nie stał bezradnie, nie wiedząc, co zrobić ze swoim urlopem i ze swoim życiem, znajdzie sobie miejsce wszędzie. Potrafi się jakoś urządzić na każdym ze wszystkich możliwych światów. Co, może nie?

KONIEC BAJKI O PIERWSZYM ZIEMIANINIE